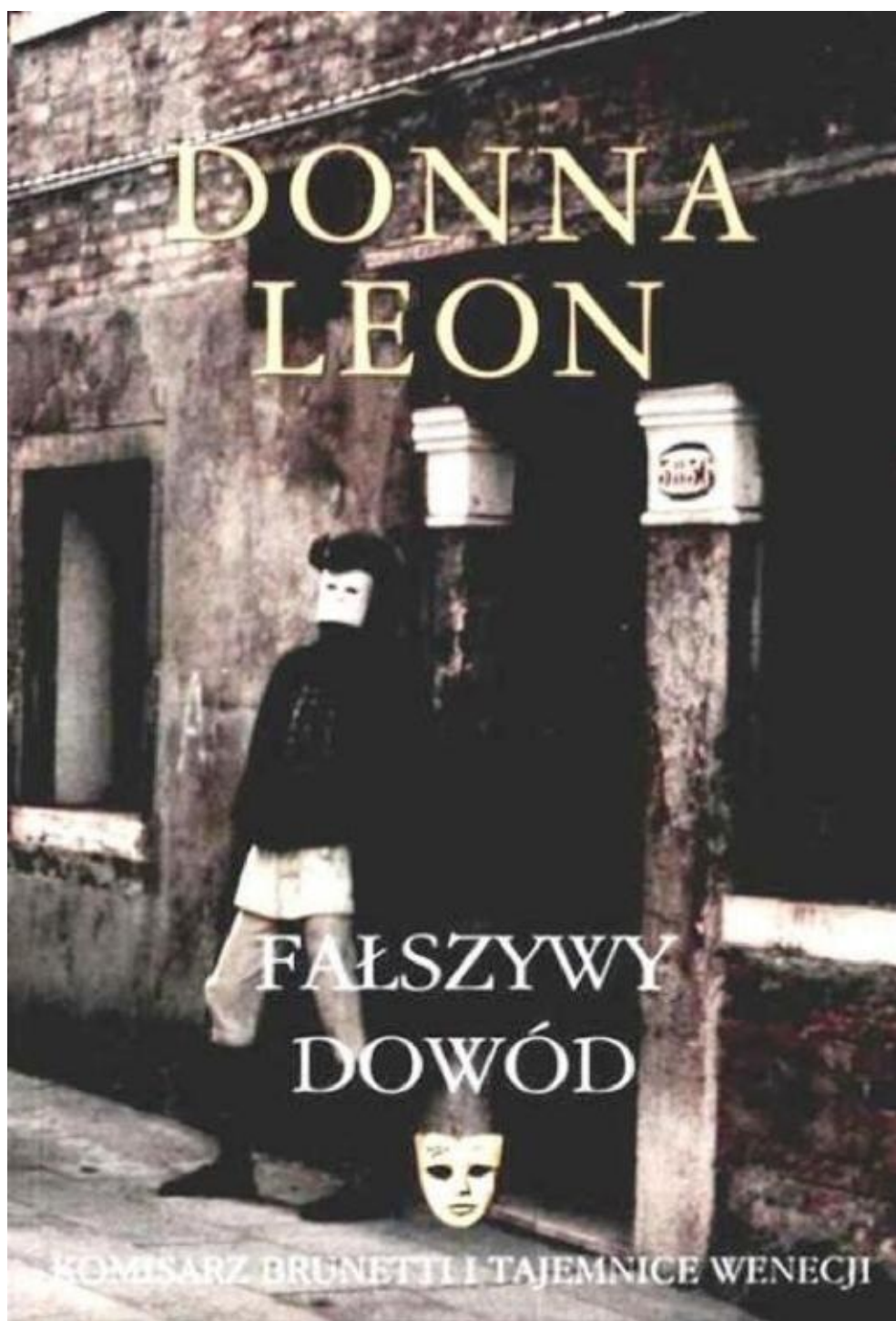


DONNA LEON

FALSZYWY
DOWÓD

KOMISARZ BRUNETTI I TAJEMNICE WENECCJI



DONNA LEON

FAŁSZYWY

DOWÓD

Przełożyła

Anna Brzezińska

NOIR SUR BLANC

Tytuł oryginału Doctored Evidence

Copyright © 2004 by Donna Leon and Diogenes Verlag AG Zurich All rights reserved

For the Polish edition Copyright © 2008, Noir sur Blanc, Warszawa ISBN 978-83-7392-276-1

Opracowanie redakcyjne Mirosław Grabowski Korekta Beata Wyrzykowska Janina Zgrzemska Projekt okładki Tomasz Lec

Zamówienia prosimy kierować:

- telefonicznie: 0 800 42 10 40 (linia bezpłatna)
- faksem: 0 prefiks 12 430 00 96 (czynnym całą dobę)
- e-mailem: nsb@wl.net.pl
- księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl Printed in Poland

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp, z o.o., 2008

ul. Frascati 18,

00-483 Warszawa

Skład i łamanie

DK

Druk i oprawa

Drukarnia Wydawnictw Naukowych, Łódź

Alanowi Curtisowi

Signor dottore,

Che si può fare?

Czcigodny doktorze,

Co można zrobić?

libretto opery

Così fan tutte

Mozarta

Rozdział 1

Nienawidził tej starej krowy. Ponieważ był jej lekarzem, a ona jego pacjentką, czuł się z tego powodu winny, ale nie aż tak, by choć trochę poskromić nienawiść. Wredna, chciwa, porywcza, wiecznie narzekająca na zdrowie, otoczona już tylko garstką ludzi, bo większość nie mogła ścierpieć jej towarzystwa, Maria Grazia Battestini była kobietą, o której nie dałoby się powiedzieć nic dobrego, nawet w przypływie wielkoduszności.

Książd już dawno temu postawił na niej krzyżyk, a sąsiedzi mówili o niej z obrzydzeniem, czasem wręcz z otwartą wrogością. Rodzina utrzymywała z nią kontakt tylko po to, żeby zachować prawo do spadku. Ale on był lekarzem, nie miał więc wyboru i musiał odbywać swoje cotygodniowe wizyty, choć teraz sprowadzały się jedynie do zdawkowych pytań o samopoczucie, po których następowało pośpieszne badanie tętna i ciśnienia krwi.

Przychodził do niej od ponad czterech lat, a jego niechęć tak się przez ten czas nasiliła, że nie próbował już tłumić rozczarowania, gdy podczas kolejnych odwiedzin nie stwierdzał oznak jakiegokolwiek choroby.

Mimo że kobieta przekroczyła osiemdziesiątkę, wyglądała i zachowywała się tak, jakby miała o dziesięć lat mniej; i tak go przeżyje, przeżyje ich wszystkich.

11

Miał własny klucz, którego używał, żeby dostać się do budynku. Cała kamienica należała do niej, wszystkie trzy kondygnacje, ale signora zajmowała tylko połowę pierwszego piętra.

Powodowana mściwością i skąpstwem, podtrzymywała fikcję, że zajmuje cały dom, przez co uniemożliwiała córce swojej siostry Santiny przeprowadzkę na któreś z dwóch wolnych pięter. Zapomniał już, ile razy w ciągu tych lat po śmierci syna obrzucała siostrę wyzwiskami i mówiła mu, jaką przyjemność sprawia jej to, że może pokrzyżować plany swojej rodziny. O

siostrze wyrażała się ze złością, która nagromadziła się w niej od czasów ich wspólnego dzieciństwa.

Przekręcił klucz w prawo, a ponieważ drzwi weneckie tym się charakteryzują, że nie otwierają się przy pierwszej próbie, jednocześnie odruchowo szarpnął je ku sobie. Potem pchnął

drzwi na oścież i wszedł do ciemnego przedsionka. Światło słoneczne nie mogło się przedrzeć przez wychodzące na calle wąskie okna nad drzwiami, oblepione grubą warstwą brudu i kurzu. Nie zwracał już uwagi na półmrok, który panował tu od lat, jeszcze zanim signora Battestini przestała chodzić po schodach; nie zanosilo się na to, że w najbliższym czasie ktoś umyje okna. Wilgoć uszkodziła kable, lecz signorą żałowała pieniędzy na elektryka, więc już dawno przestał zapalać światło.

Ruszył na górę po schodach, zadowolony, że to ostatnia wizyta domowa tego ranka. Jak tylko upora się z tą starą jędzą, pójdzie się gdzieś napić, a potem zje obiad. Dopiero o piątej musiał wrócić do gabinetu, żeby przyjąć pacjentów; nie miał

żadnych poobiednich planów i nic szczególnego nie chciało mu się robić, dopóki nie uwolni się od widoku wyniszczonych, wzdętych ciał i wydawanych przez nie odgłosów.

12

Kiedy minął podest, zaświtała mu nadzieja, że może nowa kobieta – przypuszczał, że była Rumunką, bo tak mówiła o niej signora Battestini, chociaż one nigdy nie zostawały na tyle długo, by zdążyć zapamiętać ich imiona – utrzyma posadę.

Przez wszystkie te lata obserwował, jak kobiety przychodzą i odchodzą; zjawiały się skuszone perspektywą pracy, nawet jeśli oznaczała mycie i karmienie signory Battestini i znoszenie jej bezlitosnych zniewag, a odchodziły, ponieważ każda czuła się w końcu tak udręczona, że nawet będąc w skrajnej potrzebie, nie wytrzymała złośliwych napaści chlebowdawczyni.

Z grzeczności zapukał do drzwi, choć wiedział, że to zbyteczna kurtuazja. Ryk telewizora, który było słychać na zewnątrz, zagłuszył ów odgłos; nawet uszy Rumunki – jak ona się nazywała? – choć młode, rzadko wyłapywały jego pukanie.

Wyjął drugi klucz, przekręcił go w zamku dwukrotnie i wszedł do mieszkania. Lśniło czystością. Był taki okres, chyba w rok po śmierci jej syna, gdy nikt tu nie zaglądał przez ponad tydzień i stara kobieta przebywała zupełnie sama. Wciąż pamiętał odór, jaki unosił się w tym miejscu, kiedy otworzył

drzwi – przychodził wtedy z wizytą dwa razy w miesiącu – a potem, gdy wszedł do kuchni, widok talerzy z rozkładającym się jedzeniem, pozostawionych przez tydzień na kuchennym stole. A także widok samej kobiety, jej otłuszczonego ciała, nagiego i oblepionego skapującymi resztkami czegoś, co pró-

bowiała jeść, skulonej w fotelu naprzeciwko wiecznie ryczącego telewizora. Wtedy trafiła do szpitala, ale już po trzech dniach chciano się jej stamtąd pozbyć, kiedy więc zażądała, by ją przewieziono do domu, skwapliwie skorzystano z tej okazji.

13

Wtedy pracowała u niej Ukrainka, ta, która zniknęła trzy tygodnie później, zabrawszy srebra, a on zaczął odwiedzać signorę raz w tygodniu. Lecz stara kobieta nie zmieniła się ani na jotę: jej serce biło jak dzwon, płuca wdychały zatęchłe domowe powietrze, a fałdy tłuszczu stały się jeszcze grubsze.

Gdyby nie ryk telewizora, prawdopodobnie usłyszałyby ten dźwięk, zanim wszedł do środka. Ale na ekranie blondynka po porządnym liftingu, z loczkami w stylu Shirley Temple, relacjonowała właśnie sytuację na drogach, ostrzegając kierowców z Veneto przed możliwymi utrudnieniami z powodu traf-fico intenso na A4. I zagłuszając bzyczenie much, które obsia-dły głowę starej kobiety.

Zdążył przywyknąć do śmierci ludzi starych, lecz śmierć w podeszłym wieku zwykle wygląda godniej niż to, co widział

teraz przed sobą. Starcy umierają łagodnie albo w mękach, ale ponieważ śmierć rzadko przychodzi z zewnątrz, niewielu stawia jej gwałtowny opór. Tak było i w tym wypadku.

Ten, kto ją zabił, zrobił to z zaskoczenia, bo kobieta leżała na podłodze na lewo od stołu, na którym obok pilota do telewizora stała pusta filiżanka. Uwagę much w równej mierze przyciągała miska pełna świeżych fig jak głowa signory Battestini, która leżała z rozrzuconymi na boki rękami i policzkiem przyciśniętym do podłogi. Rana znajdowała się w potylicy, a ten widok skojarzył mu się ze sflaczałą piłką do futbolu, którą kiedyś przegryzł pies jego syna. W przeciwieństwie jednak do głowy kobiety piłka pozostała gładka i nienaruszona – i nic z niej nie wyciekło.

Zatrzymał się w drzwiach i zaczął rozglądać po pokoju, zbyt oszołomiony panującym tu chaosem, by klarownie my-

śleć o tym, co widzi. Może szukał wzrokiem ciała Rumunki; może obawiał się, że z innego pokoju nagle wyłoni się ktoś, 14

kto to zrobił. Uniósł oczy, gdy jego uwagę przykuł dźwięk ludzkiego głosu, ale dowiedział się jedynie, że na autostradzie A3 koło Cosenzy doszło do wypadku z udziałem ciężarówki.

Przeszedł przez pokój i wyłączył telewizor, lecz cisza, któ-

ra zapadła, nie była ani uspokajająca, ani nabożna. Zastanawiał się, czy nie powinien się rozejrzeć po pozostałych po-mieszczeniach i poszukać Rumunki, być może udzielić pomocy, jeśli sprawca nie zdołał jej zabić. Zamiast tego wyszedł do przedpokoju, wybrał numer 113 i zgłosił, że w Cannaregio popełniono morderstwo.

Policja bez trudu trafiła na miejsce, ponieważ doktor wyja-

śnił, że dom ofiary znajduje się u wlotu calle, na prawo od Palazzo del Cammello. Motorówka gładkim ślizgiem dobiła do brzegu i zatrzymała się po południowej stronie Canale della Madonna. Dwaj umundurowani funkcjonariusze wyskoczyli na nabrzeże, po czym jeden z nich pochylił się ku łodzi, by pomóc trzyosobowej ekipie technicznej

wyładować sprzęt.

Dochodziła pierwsza. Pot ściekał im po twarzach, a kurtki lepiły się do ciała. Przeklinając upał, ocierając daremnie pot, czterech z pięciu policjantów zaczęło dźwigać ekwipunek w stronę Calle Tintoretto i dalej, w kierunku domu, gdzie czekał

już na nich wysoki, szczupły mężczyzna.

– Doktor Carlotti? – spytał umundurowany policjant, który nie pomagał w rozładunku.

– Tak.

– To pan dzwonił?

Obaj wiedzieli, że pytanie jest zbyteczne.

– Tak.

– Może mi pan powiedzieć coś więcej? Jak się pan tu znalazł?

15

– Przyszedłem, jak co tydzień, odwiedzić swoją pacjentkę, Marię Grazie Battestini, a kiedy wszedłem do mieszkania, znalazłem ją na podłodze. Martwą.

– Ma pan klucz? – spytał policjant niby zdawkowym tonem, z którego przebijała jednak podejrzliwość.

– Tak, mam od kilku lat. Mam klucze od domów wielu moich pacjentów – odparł Carlotti i zamilkł, uświadomiwszy sobie, jak dziwnie musiało zabrzmieć to jego tłumaczenie się przed policją, i na tę myśl zrobiło mu się nieswojo.

– Czy może mi pan powiedzieć, co dokładnie pan zastał?

– spytał policjant.

Podczas gdy oni dwaj rozmawiali, pozostali złożyli przy-niesiony sprzęt przed frontowymi drzwiami i poszli do motorówki po resztę.

– Nie żyje. Ktoś ją zabił.

– Skąd ma pan pewność, że ktoś ją zabił?

– Bo ją widziałem – uciał krótko Carlotti.

– Czy domyśla się pan, kto mógł to zrobić, dottore?

– Nie, skąd, przecież nie wiem, kim on był – upierał się doktor, próbując przybrać oburzony ton, lecz udało mu się jedynie okazać nerwowość.

– On?

– Co? – spytał Carlotti.

– Powiedział pan „on”, dottore. Jestem ciekaw, dlaczego pan uważa, że to mężczyzna.

Carlotti chciał powiedzieć coś zdawkowego, ale stracił panowanie nad sobą i wypalił bez ogródek:

– To niech pan obejrzy jej głowę i powie mi, czy to zrobiła kobieta.

Był zaskoczony swoim gniewem, a raczej jego siłą. Nie złościły go pytania policjanta, lecz to, że tak tchórzliwie na 16

nie odpowiadał. Nie zrobił nic złego, jedynie natknął się na zwłoki starej kobiety, mimo to jego bezwiedną reakcją na możliwy zatarg z policją był strach oraz pewność, że nie wyjdzie z tego bez szwanku. Jakimi tchórzami się staliśmy, pomy-

ślał, a wtedy policjant spytał:

– Gdzie ona jest?

– Na pierwszym piętrze.

– Drzwi są otwarte?

– Tak.

Policjant wszedł do ciemnego przedsionka, gdzie pozostali już się stłoczyli, żeby uciec przed słońcem, i skinieniem głowy nakazał im iść naprzód. Potem rzekł do doktora:

– Chciałbym, żeby poszedł pan z nami na górę.

Carlotti ruszył za policjantami, postanowiwszy zachować maksymalną powściągliwość w słowach i nie okazywać niepokoju ani strachu. Był oswojony ze śmiercią, więc widok zwłok, choć straszny, nie działał na niego tak mocno jak in-styktowny lęk przed zadawaniem się z policją.

Policjanci dotarli na piętro i bez pukania weszli do środka; doktor wolał poczekać na zewnątrz. Po raz pierwszy od piętnastu lat poczuł tak silną potrzebę zapalenia papierosa, że aż serce zaczęło mu szybciej bić.

Słyszał, jak policjanci rozchodzą się po mieszkaniu, słyszał

ich nawoływania, choć nawet nie nasłuchiwał. Głosy przycichły, gdy przeszli do następnego pokoju, w którym leżały zwłoki. Podeszedł do schodów i nie zważając na brud, przysiadł

na balustradzie. Zastanawiał się, do czego może się jeszcze przydać, i już zamierzał im powiedzieć, że gdyby okazał się potrzebny, to będzie w swoim gabinecie. Ale pozostał na miejscu i nie wszedł do mieszkania.

17

Po pewnym czasie policjant, który z nim rozmawiał, wyszedł na korytarz. W dłoni zabezpieczonej lateksową rękawiczką trzymał jakieś papiery.

– Czy ktoś z nią tu mieszkał?

– Tak.

– Kto?

– Nie znam jej nazwiska, ale chyba była Rumunką.

Policjant wyciągnął w jego stronę kartkę. Był to odręcznie wypełniony formularz. U dołu z lewej strony widniało zdjęcie paszportowe puciołowatej kobiety, która mogła być Rumunką.

– Czy to ta kobieta?

– Chyba tak.

– Florinda Ghiorghiu – przeczytał policjant.

– Tak, Fiori – potwierdził doktor. – Czy ona tam jest? –

spytał z ciekawości, licząc na to, że policja nie uzna za dziwne, że on sam nie próbował jej szukać, i mając nadzieję, że nie znaleźli jej ciała.

– Raczej nie – odparł policjant z ledwie skrywanym zniecierpliwieniem. – Nie ma po niej śladu. Ktoś splądrował

mieszkanie i zabrał wszystkie cenne przedmioty.

– Myśli pan, że... – zaczął Carlotti, ale funkcjonariusz mu przerwał.

– Oczywiście – powiedział z taką zaciekleścią, że doktor był zaskoczony. – Ta kobieta jest ze Wschodu. One wszystkie takie są. Hołota. – Zanim Carlotti zdążył zaoponować, dodał, cedząc słowa: – W kuchni jest fartuch cały zaplamiony krwią.

To Rumunka ją zabiła. – Po czym wygłosił epitafium ku czci Marii Grazii Battestini, na jakie doktor zapewne by się nie zdobył: – Biedna staruszka.

Rozdział 2

Oficer pełniący służbę, porucznik Scarpa, powiedział doktorowi Carlottiemu, że może iść do domu, ostrzegł jednak, że nie wolno mu opuszczać miasta bez zezwolenia policji. W głosie Scarpy pobrzmiwało tyle insynuacji co do domniemanej winy, że Carlotti nie odważył się zaprotestować i odszedł

bez słowa.

Następną osobą, która przybyła na miejsce, był doktor Ettore Rizzardi, medico legale dla miasta Wenecji. Do jego obowiązków należało stwierdzenie zgonu ofiary oraz wstępne oszacowanie, kiedy doszło do zdarzenia. Chłodno, choć z przesadną uprzejmością wobec

porucznika Scarpy, Rizzardi stwierdził, że signora Battestini zmarła w wyniku serii ciosów zadanych w głowę, co, jak uważał, potwierdzi sekcja zwłok.

Jeśli chodzi o czas śmierci, doktor, po zmierzeniu temperatury ciała, ocenił, że – pomimo obecności much – nastąpiła ona prawdopodobnie od dwóch do czterech godzin temu, a więc między dziesiątą rano a południem. Widząc minę porucznika, Rizzardi dodał, że bardziej szczegółowo wypowie się na ten temat po dokonaniu autopsji, jednak wydaje się mało prawdopodobne, by kobieta zmarła wcześniej niż przed czterema godzinami. Co do narzędzia zbrodni, Rizzardi mógł jedynie domniemywać, że był to jakiś ciężki przedmiot, może 19

metalowy, a może drewniany, o żłobionych lub nierównych krawędziach. Powiedział to nieświadom, że zakrwawiony brązowy posążek niedawno beatyfikowanego ojca Pio spoczywa już w przezroczystej plastikowej torebce na dowody rzeczowe i wkrótce trafi do laboratorium, gdzie zostanie prze-prowadzona ekspertyza daktyloskopijna.

Kiedy dokonano oględzin i sfotografowano zwłoki, Scarpa polecił, by przewieziono je do Ospedale Civile w celu prze-prowadzenia sekcji, i powiedział Rizzardiemu, że życzy sobie, aby stało się to niezwłocznie. Następnie nakazał ekipie policyjnej przetrząśnięcie mieszkania, choć panujący tam nieopisany bałagan nie pozostawiał wątpliwości, że coś takiego już się tu odbyło. Gdy doktor Rizzardi dyskretnie wyszedł, porucznik przystąpił do przeszukania małego pokoju w głębi, który przypuszczalnie zajmowała Florinda Ghiorghiu. Nie większy niż szafa ubraniowa pokoiik najwyraźniej nie wzbudził zainteresowania osoby, która splądrowała salon. Znajdowało się w nim wąskie łóżko i kilka półek zasłoniętych kawał-

kiem przetartej tkaniny, która mogła być kiedyś obrusem.

Scarpa odsunął tkaninę na bok i zobaczył dwie złożone bluzki i tyleż zmian bielizny, a na podłodze czarne tenisówki. Na parapecie obok łóżka stało oprawione w tanią kartonową ramkę zdjęcie trojga małych dzieci, a obok leżała książka, do któ-

rej porucznik nawet nie zajrzał. W papierowej okładce znalazł

fotokopie oficjalnych dokumentów Florindy Ghiorghiu: dwóch pierwszych stron paszportu oraz zezwoleń na pobyt i pracę we Włoszech. Urodzona w 1953 roku, wykonywała zajęcie określane jako „pomoc domowa”. Znajdował się tu również kolejny bilet powrotny drugiej klasy na pociąg relacji Bukareszt-Wenecja z niewykorzystaną drugą połówką.

20

Ponieważ nie było w tym pokoju stołu ani krzesła, nie pozostawało już nic więcej do zbadania.

Porucznik Scarpa wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do komendy. Poprosił o numer do policji granicznej w Villa Opicina. Wybrawszy numer, podał swoje nazwisko oraz stopień i opowiedział pokrótce o morderstwie. Spytał, kiedy następny pociąg z Wenecji będzie przejeżdżał przez granicę. Wyjaśnił, że może nim podróżować podejrzewana osoba, podkreślając z naciskiem, że morderczyni to Rumunka i jeśli uda jej się dotrzeć do kraju, szanse na ekstradycję będą niewielkie, więc koniecznie trzeba ją aresztować w pociągu.

Obiecał, że po powrocie do komendy przefaksuje zdjęcie kobiety, i jeszcze raz podkreślił odrażający charakter zbrodni, po czym się rozłączył.

Pozostawiając na miejscu ekipę techników, by kontynuowała oględziny, polecił pilotowi motorówki, żeby odwiózł go do komendy, a stamtąd przesłał formularz Ghiorghiu na posterunek policji granicznej, mając nadzieję, że zdjęcie będzie wyraźne. Następnie poszedł do swojego zwierzchnika, wice-komendanta Giuseppe Patty, by go poinformować o błyskawicznym tempie dochodzenia w sprawie brutalnego mordu.

Kiedy do Villa Opicina doszedł faks, pełniący służbę oficer policji granicznej, kapitan Luca Peppito, zadzwonił do capo-stazione i powiedział, że należy zatrzymać ekspres do Zagrzebia – na tyle długo, by on i jego ludzie zdążyli odszukać okrutną morderczynię, która usiłuje zbiec z kraju. Peppito odłożył słuchawkę, upewnił się, że jego pistolet jest naładowany, i zszedł na dół, by zebrać swoich ludzi.

21

Dwadzieścia minut później pociąg Intercity do Zagrzebia powoli wtoczył się na stację. Postój zwykle trwał tyle czasu, ile wymaga przestawienie lokomotywy i kontrola paszporto-wa. W ostatnich latach procedury celne pomiędzy tymi dwoma pośledniejszymi graczami zjednoczonej Europy stały się pobieżne i na ogół sprowadzały do pobierania opłat za nadwyż-

kowy karton papierosów lub butelkę grappy, niepostrzeganych już jako zagrożenie dla gospodarki jednego czy drugiego kraju.

Peppito posłał ludzi na oba końce pociągu, a dodatkowych dwóch ulokował przy wejściu na stację; polecono im żądać okazania paszportu od wszystkich pasażerek wychodzących na peron.

Trzech mężczyzn weszło do ostatniego wagonu i posuwało się ku czołu pociągu, kontrolując pasażerów w każdym przedziale i sprawdzając, czy nikt nie ukrył się w toalecie, a tymczasem Peppito z dwójką innych funkcjonariuszy robili to samo, tyle że przemieszczając się w przeciwnym kierunku.

To właśnie sierżant z grupy Peppita wypatrzył ją, siedzącą przy oknie w przedziale drugiej klasy w pierwszym wagonie za lokomotywą. Omal jej nie przeoczył, ponieważ spała – albo udawała, że śpi – z głową odwróconą ku oknu i opartą o szybę. Spozregł szeroką śniadą twarz, siwe odrosty przy skórze i kanciastą, umięśnioną sylwetkę, typową dla kobiet ze Wschodu. W przedziale siedziało też dwóch innych pasażerów: po-tężny mężczyzna o rumianej twarzy, czytający niemiecką gazetę, i starszy pan pochłonięty rozwiązywaniem rebusów w

„Settimana Enigmistica”. Peppito odsunął drzwi, uderzając nimi o framugę. Ten odgłos wyrwał kobietę ze snu; rozejrzała się zaskoczona. Dwaj mężczyźni patrzyli na umundurowanych 22

funkcjonariuszy, a starszy spytał: Sì?, jedynie tonem głosu zdradzając irytację.

– Panowie, proszę opuścić przedział – polecił Peppito.

Położył dłoń na kolbie pistoletu, zanim któryś z nich zaprotestował. Mężczyźni wyszli z przedziału, nawet nie próbując sięgnąć po walizki. Kobieta, widząc to, poderwała się na nogi, jakby uznała, że polecenie dotyczy również jej.

Kiedy próbowała się precyzyjnie obok Peppita, ten mocno chwycił ją za ramię.

– Dokumenty, signora – rzucił. Popatrzyła na niego, szybko mrugając oczami.

– Cosa? – spytała nerwowo.

– Documenti – powtórzył, tym razem głośniej. Uśmiechnęła się pojednawczo, napinając mięśnie twarzy w grymasie, który miał zapewniać o niewinności i dobrej woli, Peppito spostrzegł jednak, że jej wzrok prześlizgnął się wzdłuż korytarza, w stronę drzwi.

– Sì, sì, signora. Momento. Momento – powiedziała z tak silnym akcentem, że słowa były

ledwo zrozumiały.

W prawej ręce ścisnęła plastikową torbę.

– La borsa – rzekł Peppito, wskazując reklamówkę ze sklepu Billa, zawierającą, jak można było oczekiwać, zakupy.

W reakcji na ten gest kobieta szybko schowała torbę za siebie.

– Mia, mia – wydukała, zapewniając, że to jej własność, lecz jednocześnie okazując strach.

Zrobiła pół obrotu, lecz Peppito, silny mężczyzna, przycią-

gnął ją z powrotem. Puścił jej rękę i chwycił torbę. Rozchylił

ją i zajrzał do środka: zobaczył tylko dwie dojrzałe brzoskwinie i portmonetkę. Wziął portmonetkę, a torbę upuścił na 23

podłogę. Spojrzał na kobietę, której twarz zrobiła się biała jak odrosty przy skórze, i otworzył małą plastikową portmonetkę.

Natychmiast rozpoznał banknoty o nominale stu euro – cały zwitek.

Jeden z jego ludzi poszedł zawiadomić kolegów, że znaleź-

li poszukiwaną, a drugi wciąż stał na korytarzu, wyjaśniając dwóm mężczyznom, że będą mogli wrócić do przedziału, gdy tylko kobieta zostanie wyprowadzona z pociągu.

Peppito zamknął portmonetkę i chciał ją włożyć do kieszeni munduru. Widząc to, kobieta po nią sięgnęła, lecz Peppito odbił jej rękę i odwrócił się, by powiedzieć coś do mężczyznom na korytarzu. Stał w wejściu do przedziału, a kiedy kobieta naparła na niego całym ciałem, wypychając go na zewnątrz, zachwiał się i przewrócił. To jej wystarczyło, by prześlizgnąć się koło niego i rzucić biegiem w stronę otwartych drzwi na przodzie wagonu. Peppito zawołał za nią i dźwignął się z pod-

łogi, zanim jednak zdążył wstać, ona zbiegła po schodkach i popędziła peronem wzdłuż pociągu.

Peppito i towarzyszący mu policjant pognali do drzwi i zeskoczyli na peron. Kobieta, wciąż biegnąc i oddalając się już od lokomotywy, odwróciła się i zobaczyła w ich rękach broń.

Na ten widok wrzasnęła głośno i rzuciła się z peronu na tory.

W oddali można było usłyszeć – a przynajmniej mógł usłyszeć ktoś, komu nie udzieliła się panika i napięcie rozgrywającej się sceny – stukot pociągu towarowego jadącego tranzytem z Węgier na południe.

Policjanci i ich okrzyki ścigały uciekającą kobietę. Spojrza-

ła, zobaczyła zbliżający się pociąg, potem zerknęła za siebie, by ocenić dzielącą ją od policjantów odległość, i postanowiła zaryzykować. Podbiegła jeszcze parę kroków do przodu, po 24

czym gwałtownie skręciła i skoczyła w lewo, dosłownie o parę metrów od czoła pędzącego pociągu. Policjanci wrzasnęli, a powietrze rozdarł gwizd lokomotywy i

towarzyszający mu pisk hamulców. Być może któryś z tych odgłosów sprawił, że kobieta się zachwiała, a może po prostu postawiła stopę na szynie zamiast na żwirze. Cokolwiek było przyczyną, upadła na jedno kolano, a potem natychmiast się podźwignęła i rzuciła do przodu. Lecz – jak zaobserwowali policjanci z dużej odległości – było już za późno, bo w jednej chwili znalazła się pod kołami pociągu.

Peppito nigdy później nie wspomniał o tym, co się wówczas zdarzyło, i nie opisał tego w raporcie, który sporządził

tego samego popołudnia. Nie chciał o tym mówić również towarzyszący mu wtedy funkcjonariusz ani maszyniści lokomotywy pociągu towarowego, chociaż jeden z nich trzy lata wcześniej był świadkiem podobnego wypadku, niedaleko Bukaresztu.

Później gazety doniosły, że w portmonetce kobiety znaleziono siedemset euro. Siostrzenica signory Battestini, która została prawnym pełnomocnikiem zmarłej, oświadczyła, że poprzedniego dnia odebrała z poczty emeryturę ciotki i zanio-sła jej pieniądze do domu: siedemset dwanaście euro.

Ze względu na stan, w jakim znajdowało się ciało Rumunki, nie próbowano szukać na nim śladów krwi signory Battestini. Jeden z mężczyzn, którzy podróżowali z nią w przedziale, zeznał, że kobieta wyglądała na bardzo zdenerwowaną, kiedy wsiadła do pociągu w Wenecji, ale uspokajała się, w miarę jak oddalali się od miasta. Drugi zaś powiedział, że nawet idąc do toalety na końcu korytarza, nie omieszkała zabrać plastikowej torby.

Ponieważ nie było innych podejrzanych, uznano, że to ona prawdopodobnie jest morderczynią, a energię policjantów lepiej spożytkować na coś innego niż dalsze dochodzenie.

Sprawa nie została zamknięta, po prostu odłożono ją ad acta; w normalnych okolicznościach, po krzykliwych nagłówkach donoszących o morderstwie i ucieczce Rumunki, i tak poszła-by w zapomnienie z braku zainteresowania.

Władze próbowały przynajmniej stworzyć pozory urzędowej dokumentacji dotyczącej zabójstwa Marii Grazii Battestini. Jej siostrzenica oświadczyła, że rumuńska kobieta, którą ona знаła jedynie jako Fiori, posługiwała u ciotki przez cztery miesiące przed zabójstwem. Nie, to nie ona ją wynajęła: takimi sprawami zajmowała się prawniczka ciotki, Roberta Maneschi. Dottoressa Marieschi, jak się okazało, wspomagała sporą grupę starszych mieszkańców miasta i dla wielu z nich pozy-skiwała służące i pomoce domowe, głównie z Rumunii, gdzie utrzymywała kontakty z różnymi organizacjami charytatywnymi.

O Florindzie Ghiorghiu dottoressa Marieschi nie wiedziała nic oprócz tego, co zawierał jej paszport, którego kopię miała w swoim biurze. Oryginał znaleziono w płóciennym woreczku przywiązanym do pasa Rumunki. Kiedy go oczyszczono i dokładnie zbadano, okazało się, że jest podrobiony, w dodatku dość nieudolnie. Dottoressa Marieschi, wypytywana na tę okoliczność, odparła, że do jej obowiązków nie należy weryfikowanie autentyczności paszportów uznanych przez służby imigracyjne za prawdziwe, lecz jedynie znajdowanie klientów, dla których osoby posługujące się tymi paszportami – tu skorzystała z okazji, by powtórzyć: „uznanymi przez służby imigracyjne za prawdziwe” – mogą być w jakiś sposób przydatne.

Spotkała tę Ghiorghiu tylko raz, cztery miesiące temu, kiedy przyprowadziła ją do domu signory Battestini i zapoznała ze sobą obie kobiety. Owszem, signora Battestini narzekała na Rumunkę, ale ona zawsze narzekała na pomoce domowe, któ-

re jej przysyłano.

Ponieważ sprawa została zawieszona, siostrzenica nie mogła uzyskać odpowiedzi na pytania o status mieszkania ciotki: czy nadal jest to zabezpieczone miejsce przestępstwa, czy nie.

Kiedy znużył ją ten brak reakcji, skonsultowała się z dottoressą Maneschi, która ją zapewniła, że zapis w testamencie ciotki dotyczący mieszkania jest dostatecznie klarowny i gwarantuje jej prawo własności całego budynku. Tydzień po śmierci signory Battestini obie kobiety się spotkały, by szczegółowo omówić status prawny majątku zmarłej. Upewniona słowami prawniczki siostrzenica weszła do mieszkania następnego dnia po ich rozmowie i zrobiła gruntowne porządki.

Wszystko, co według jej oceny miało jakąś potencjalną wartość lub znaczenie, zapakowano do kartonowych pudeł i wyniesiono na strych. Całą resztę, w tym ubrania ciotki i jej rzeczy osobiste, upchnięto w wielkich workach na śmieci i wystawiono przed drzwiami. Nazajutrz pojawili się malarze, bo dottoressa Maneschi przekonała nową właścicielkę, że dobrze byłoby dokupić trochę mebli i wynajmować mieszkanie turystom na tygodniowe turnusy. Sama miała pilnować interesu i znajdować odpowiednich lokatorów. Co więcej, jeśli ten układ pozostałby nieformalny, a płatności byłyby dokonywane go-tówką, nie widziała żadnego powodu, by zgłaszać ów dochód władzom skarbowym. Po kolejnej naradzie z dottoressą Maneschi spadkobierczyni zgodziła się wyremontować mieszkanie, by móc pobierać za wynajem wyższe opłaty.

I tak się właśnie sprawy potoczyły zaledwie w trzy tygodnie po śmierci Marii Grazii Battestini. Dobra doczesne zmar-

łej zalegały na strychu, poupychane w kartonowych pudłach przez osobę, która się nimi kompletnie nie interesowała, choć liczyła na to, że pewnego dnia, kiedy im się bliżej przyjrzy, znajdzie wśród tych szpargałów jakiś cenny przedmiot. Tymczasem mieszkanie, świeżo odmalowane, stało się obiektem zainteresowania holenderskiego producenta cygar, który chciał

je wynająć na ostatni tydzień sierpnia.

Rozdział 3

Tak zatem wyglądały sprawy, a co ważniejsze, niektórzy mieli powody do zadowolenia: policja, bo znalazła sprawcę; siostrzenica signory Battestini, Graziella Simionato, bo liczyła na nowe źródło dochodu; i Roberta Maneschi, gratulująca sobie w duchu, że udało jej się utrzymać rodzinę Battestini na liście klientów. Bez wątpienia tak by pozostało, gdyby nie hołubione przez weneccjan bóstwo domowe – plotka.

Późnym popołudniem w trzecią niedzielę sierpnia otwarto na oścież okiennice na pierwszym piętrze kamienicy przy Canale della Misericordia, nieopodal Palazzo del Cammello.

Właścicielka mieszkania, graficzka Assunta Gismondi, mieszkała w Wenecji od urodzenia, a teraz pracowała głównie dla biura architektonicznego w Mediolanie. Otworzywszy okiennice, by wpuścić nieco świeżego powietrza do zatęchłego pokoju, signora Gismondi, pod wpływem wieloletniego nawyku, spojrzała ponad kanałem w okna domu usytuowanego dokładnie na wprost i ze zdumieniem stwierdziła, że okiennice w mieszkaniu na pierwszym piętrze są szczelnie zamknięte.

Zdziwiło ją to, ale nie zaskoczyło.

Rozpakowała walizkę, powiesiła parę ubrań w szafie, a in-ne wepchnęła do pralki. Przejrzała pocztę, która nagromadziła 29

się podczas jej trzytygodniowego pobytu w Londynie, przeczytała faksy. Ponieważ zarówno ze swym kochankiem, jak i z pracodawcami, którzy wysłali ją do Anglii na kurs językowy, utrzymywała stały kontakt e-mailowy, postanowiła na razie nie włączać komputera i nie sprawdzać, czy są jakieś nowe wiadomości. Zamiast tego wzięła torbę na zakupy i wybrała się do marketu Billa przy Strada Nuova, do jedyne miejsce, gdzie mogła zaopatrzyć się w odpowiednie produkty na kolację. Przerazała ją myśl o kolejnym posiłku w restauracji. Wo-lała zostać w domu i przyrządzić makaron z olio e peperoncino, niż znowu siedzieć samotnie nad talerzem wśród obcych ludzi.

Sklep Billa przy Strada Nuova był otwarty, więc signora Gismondi szybko zapełniła torbę: świeże pomidory, bakłażan, czosnek, sałata i – po raz pierwszy od trzech tygodni – dobrej jakości owoce i ser, których kupno, nawet w skromnych ilo-

ściach, nie pochłaniało tygodniowej pensji. Po powrocie do domu rozgrzała olej na patelni, posiekała dwa, potem trzy, a w końcu cztery ząbki czosnku, wdychając jego woń niemal w religijnym uniesieniu, szczęśliwa, że znów jest w domu, wśród ulubionych przedmiotów, zapachów i widoków.

Jej kochanek zadzwonił pół godziny później i powiedział, że nadal jest w Argentynie, gdzie, jeśli chodzi o jego sprawy, panuje totalny bałagan i robi się coraz gorzej, ale zamierza wrócić do Włoch za jakiś tydzień; wtedy przyleci z Rzymu przynajmniej na trzy dni. Nie, uprzedził już żonę, że musi wyskoczyć do Turynu w interesach, a zresztą jej i tak to nic nie obchodzi.

Assunta odłożyła słuchawkę, po czym usiadła w kuchni i zjadła makaron z sosem z pomidorów i grillowanym

bakłażanem, a potem jeszcze dwie brzoskwinie, wypijając do tego pół butelki cabernet sauvignon. Spoglądając przez okno na dom naprzeciwko, zmówiła cichą modlitwę w intencji, by jego okiennice na zawsze pozostały zamknięte, a jeśli tak się stanie, dodała, to ona już nigdy więcej nie będzie upraszać o żadną życiową łaskę dla siebie.

Nazajutrz rano, idąc do ulubionego baru na kawę i drożdżówkę, zatrzymała się przy kiosku, by kupić gazetę.

– Dzień dobry, signora – powitał ją sprzedawca. – Dawno pani nie widziałem. Urlop?

– Nie. Byłam w Londynie. Pracowałam.

– I co, zadowolona pani? – spytał, tonem głosu dając do zrozumienia, że ma poważne wątpliwości, czy jest to w ogóle możliwe.

Wzięła egzemplarz „Il Gazzettino” i przebiegła wzrokiem wytłuszczone nagłówki, które zapowiadały rychły upadek rządu i katastrofę ekologiczną, a także donosiły o zbrodni w afekcie popełnionej w Lombardii. Jak słodko być znów w domu! Wzruszyła ramionami w odpowiedzi na pytanie kioskarsza, jakby odrzucała przypuszczenie, że ktokolwiek może być zadowolony z tego, że pracuje, obojętne w jakim mieście i jakim kraju.

– Nie było tak źle – odparła w końcu wymijająco. – Ale cieszę się, że wróciłam. A jak u pana? Co nowego?

– Więc jeszcze pani nie słyszała – powiedział, a jego twarz nagle aż pojaśniała z zadowolenia, że to on pierwszy może przekazać złe nowiny.

– Nie. A co się stało?

– Signora Battestini, ta, co mieszka naprzeciwko pani...

Naprawdę nic pani nie słyszała?

31

Pomyślała o zamkniętych okiennicach, tłumiąc wzbierającą w niej nadzieję.

– Nie. Zupełnie nic. A co z nią?

Położyła gazetę na ladzie i pochyliła się w jego stronę.

– Nie żyje. Została zamordowana – powiedział, delektując się ostatnim słowem.

Signora Gismondi wydała cichy okrzyk zdumienia.

– Niemożliwe. Co się stało? Kiedy?

– Jakies trzy tygodnie temu. Lekarz ją znalazł. Wie pani, ten, co odwiedza starych ludzi. Ktoś uderzył ją w głowę. –

Przerwał, by sprawdzić efekt przekazanej nowiny, i oceniwszy, że signora Gismondi jest wstrząśnięta w zadowalającym stopniu, ciągnął dalej: – Mój kuzyn zna jednego z policjantów, którzy byli na miejscu, i powiedział, że ten, kto to zrobił, musiał jej szczerze nienawidzić. Tak podobno mówił ten policjant. – Popatrzył na swoją jednoosobową publiczność. – Ale chyba tak było, prawda? Ona jej nienawidziła.

– Co? – spytała signora Gismondi, którą ta dziwna uwaga kioskarza wprowadziła w nie mniejsze osłupienie niż cała niespodziewana wieść. – Jaka ona? Nie wiem, o kim pan mówi.

– No, o tej Rumunce. Tej, co ją zabiła. – Widząc jej zdumienie, zaczął odgrywać drugi, w swoim mniemaniu lepszy akt dramatu. – Próbowwała uciec z kraju, ale znaleźli ją w pociągu jadącym do Rumunii.

Signora Gismondi nagle pobladła, ale to tylko zwiększyło jego zadowolenie.

– Zatrzymali ją na samej granicy. W Villa Opicina, zdaje mi się. Siedziała sobie w pociągu, spokojna jakby nigdy nic, choć zabiła tę starowinę. Uderzyła jednego z policjantów 32

i próbowała wepchnąć go pod pociąg, ale się wyrwał i to ona wpadła pod koła. – Widział jej rosnącą konsternację i może z szacunku dla swoich informatorów, a może z innego powodu dodał: – Cóż, tak właśnie pisały gazety i to samo słyszałem od ludzi.

– Fiori wpadła pod pociąg?

– Chodzi pani o Rumunkę? To tak miała na imię? – zapytał podejrzliwie, zdziwiony, że signora Gismondi je zna.

– Tak – odparła. – Co się stało?

Wydawał się zaskoczony pytaniem. Bo co może stać się z człowiekiem, którego przejedzie pociąg.

– No przecież mówiłem, signora – powiedział, tracąc cierpliwość. – Pociąg ją rozjechał. Na północy, w Villa Opicina czy gdzieś tam.

Nie był zbyt rozgarnięty i brakowało mu wyobraźni, więc te słowa nic dla niego nie znaczyły. To znaczy kiedy je wypowiadał, w jego umyśle nie pojawił się obraz stalowych kół

przetaczających się po metalowych szynach; nie był zdolny sobie wyobrazić, co może się stać z człowiekiem – albo czymkolwiek – co dostanie się między koła a tory.

Położyła dłoń na stosie gazet, próbując się opanować.

– Ona nie żyje? – spytała, jakby wciąż go nie rozumiała.

– Oczywiście – odparł zniecierpliwiony, że tak wolno to do niej dociera. – Tak samo jak ta biedna staruszka.

Wyczuwalny w jego głosie ton oburzenia przeniknął do umysłu Assunty Gismondi.

– Oczywiście – powtórzyła łagodnie. – To straszne, naprawdę straszne.

Wyjęła drobne i położyła na ladzie, mimo że zapomniała zabrać gazetę. Wyszła z kiosku, obiecując sobie, że jej noga więcej tam nie postanie. Biedna staruszka. Biedna staruszka.

Po powrocie do mieszkania zrobiła coś, czego nigdy dotąd nie robiła, a nawet nie była pewna, czy to w ogóle jest możliwe: weszła do Internetu i odnalazła numer „Il Gazzettino” z tego dnia, kiedy wyjechała do Londynu. Teraz żałowała, że podczas pobytu za granicą postanowiła zatopić się w lokalnym języku: żadnych gazet, żadnych wieści z kraju, nie szukała też towarzystwa rodaków. To tak, jakby tych trzech ostatnich tygodni w ogóle nie było. „Il Gazzettino” szybko jednak pozbawiło ją tego złudzenia.

Przeczytała jedynie artykuły, które zawierały wzmianki o morderstwie signory Battestini, i tak dzień po dniu, numer po numerze, przeszledziła historię od początku. Fakty zasadniczo pokrywały się z tym, co mówił kioskarz: zwłoki kobiety zna-lezione przez lekarza, zniknięcie rumuńskiej służącej, potem pociąg zatrzymany na granicy, próba ucieczki, śmierć pod kołami. Fałszywe dokumenty – nie istniała kobieta o tym nazwisku – rodzina załamana z powodu śmierci starej ciotki, cichy pogrzeb ofiary.

Assunta Gismondi wyłączyła komputer i długo wpatrywała się w wygaszony ekran. Kiedy ją to znużyło, skierowała wzrok na rzędy książekapełniające jedną ze ścian pracowni i przeczytała nazwiska autorów: Arystoteles, Platon, Ajschylos, Eurypides, Plutarch. Potem spojrzała przez okno, ponad kana-

łem, na zamknięte okiennice.

Sięgnęła po telefon stojący na prawo od komputera, wybrała numer 113 i poprosiła o połączenie z policją.

Kiedy pół godziny później wchodziła do komendy, myślała o tym, jaka była naiwna, oczekując, że to oni wyślą kogoś, by z nią porozmawiał. Jako obywatelka chciała spełnić swój obowiązek, przekazując dobrowolnie informacje o dużym

znaczeniu, więc oczywiście znudzony policjant, który nie raczył podać nazwiska, powiedział jej, że to ona powinna się pofatygować do komendy. Gdy tylko usłyszała jego służbisty ton, od razu pożałowała, że się przedstawiła: gdyby tego nie zrobiła, na pewno poczułaby pokusę, żeby zapomnieć o całej sprawie – i niech oni się dalej martwią. Ale wiedziała, że wcale by się nie zmartwili; wiedziała też, że ostatnią rzeczą, o jakiej by pomyśleli – zakładając, że w ogóle myśleli – i jakiej by sobie życzyli, jest zmiana przyjętej hipotezy, a potem, niestety, konieczność wypracowania nowej.

Skręciła w prawo, w stronę szyby, za którą siedział umundurowany funkcjonariusz.

– Dzwoniłam przed godziną – zaczęła – i mówiłam, że muszę z kimś porozmawiać o przestępstwie. Powiedziano mi, że mam się zgłosić tutaj, no i jestem. – Policjant nawet nie drgnął, więc dodała: – Chciałabym porozmawiać z kimś o morderstwie, które popełniono parę tygodni temu.

Mężczyzna zadumał się na chwilę, tak jakby to było Dodge City, a on musiał się zorientować, o które morderstwo może chodzić.

– Sprawa tej Battestini? – spytał w końcu.

- Tak.
- To dochodzenie porucznika Scarpy – oznajmił.
- Mogę z nim porozmawiać?
- Sprawdzę, czy jest u siebie.

Odwrócił się do niej plecami i szeptał coś do słuchawki, więc signora Gismondi zaczęła się zastanawiać, czy on i porucznik Scarpa nie obmyślają razem jakiejś strategii, by wymusić na niej przyznanie się do udziału w morderstwie. Po długim, jak jej się zdawało, czasie funkcjonariusz wyszedł z małej kabiny i wskazał ręką w głąb budynku.

– Proszę pójść tym korytarzem, signora, a potem skręcić w prawo. To będą drugie drzwi po lewej. Porucznik czeka na panią. – Wrócił do szklanej kabiny i zamknął za sobą drzwi.

Ruszyła korytarzem, zdziwiona, że może tak swobodnie poruszać się po komendzie. Czyżby oni nigdy nie słyszeli o Czerwonych Brygadach?

Znalazła właściwe drzwi i zapukała. Poproszono ją, by we-szła. Mężczyzna mniej więcej w jej wieku siedział za metalowym biurkiem w pomieszczeniu niewiele większym od poko-iku oficera dyżurnego. Gdyby wstał, zobaczyłaby, że jest od niej znacznie wyższy. Miał ciemne włosy, a oczy sprawiały wrażenie, jakby widziały tylko powierzchnię rzeczy. A więc był tu umundurowany policjant, jego krzesło, biurko i jeszcze dwa, stojące po drugiej stronie, krzesła bez poręczy.

– Porucznik Scarpa? – spytała.

Spojrzał na nią i skinął głową, po czym ponownie opuścił wzrok na leżące na biurku papiery. Podała swoje nazwisko i adres.

– Czy to pan prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa signory Battestini?

– Prowadziłem – odparł, ponownie podnosząc wzrok.

Wskazał jedno z krzesel. – Proszę usiąść.

Wystarczył jeden krok, by znaleźć się przy krześle, ale kiedy usiadła, okazało się, że słońce wpadające przez małe okno świeci jej prosto w twarz, więc wstała i podeszła do drugiego krzesła. Zanim jednak usiadła, ustawiła je pod innym kątem w stosunku do biurka i okna.

Signora Gismondi nie miała dotąd bezpośredniej styczności z policją, lecz przez sześć lat była żoną bardzo leniwego i 36

równie brutalnego mężczyzny, więc po prostu cofnęła się w czasie do dawnych dni i dostosowała swoje zachowanie do okoliczności.

– Powiedział pan „prowadziłem”, poruczniku. Czy mam rozumieć, że teraz śledztwem zajmuje się ktoś inny? – Skoro tak, pomyślała, to po co mnie skierowano do tego człowieka?

Demonstracyjnie dokończył czytanie jakiegoś dokumentu, czy cokolwiek to było, odłożył go na bok i spojrzał na nią.

– Nie.

Czekała na wyjaśnienie, a ponieważ żadne nie nastąpiło, inaczej sformułowała pytanie.

– Czy mam rozumieć, że śledztwo jest zamknięte?

– Nie – powtórzył po długiej chwili milczenia.

– Czy mogłabym spytać, co to znaczy? – nalegała, nie zdradzając żadnych oznak

zniecierpliwienia ani irytacji.

– To, że nie jest ono obecnie aktywnie prowadzone.

Słyszając wymęczone samogłoski w jego akcencie, ujawnio-ne w dłuższym zdaniu, uznała, że policjant jest południowcem, prawdopodobnie Sycylińczykiem, postanowiła więc uderzyć w inny ton.

– To komu w takim razie mogę przekazać informacje związane z tą sprawą? – spytała, udając całkowitą obojętność.

– Gdyby śledztwo toczyło się dalej, mogłaby pani przekazać je mnie.

Dał jej chwilę, by wyciągnęła wnioski z jego stwierdzenia, po czym ponownie skupił uwagę na papierach leżących na biurku. Nie mógłby wyraźniej pokazać, że mało go obchodzi jej rewelacje, niż gdyby wyrzucił ją za drzwi.

Przez chwilę się zawahała. Jeśli zdecyduje się mówić, mo-

że to przysporzyć jej kłopotów, a gdyby nie uwierzyli – nawet narazić ją na duże przykrości. Jak łatwo byłoby teraz po prostu wstać i wyjść, zostawić tę sprawę i tego człowieka o zobojętniały eh oczach.

– Przeczytałam w „Il Gazzettino”, że signorę Battestini zamordowała Rumunka, która u niej mieszkała – odezwała się.

– Zgadza się – potwierdził. – Ona to zrobiła. – Ton jego głosu, podobnie jak słowa, wykluczał jakąkolwiek różnicę zdań w tej sprawie.

To właśnie ten kategoriyczny osąd sprawił, że postanowiła nie zwlekać z ujawnieniem prawdy.

– Może zgadza się to, że przeczytałam o tym w „Il Gazzettino” i że tam wydrukowano taką informację, ale nie zgadza się to, że Rumunka ją zabiła.

Obojętność porucznika wydawała się niewzruszona.

– Ma pani na to jakiś dowód? – spytał, w żaden sposób nie okazując, że nawet gdyby go miała, on byłby gotów go rozważyć.

– Rozmawiałam z Rumunką rano w dniu morderstwa.

– Obawiam się, że to samo można by powiedzieć o signorze Battestini – odparł, bez wątpienia sądząc, że to bardzo dowcipna uwaga.

– Odprowadziłam ją też na dworzec.

To wyraźnie wzbudziło jego zainteresowanie. Położył ręce przed sobą i mocno wychylił się do przodu, jakby miał zamiar rzucić się przez biurko i wydusić z niej zeznanie.

– Co takiego? – spytał ostro.

– Odprowadziłam ją na pociąg do Zagrzebia. To znaczy 38

ten, który jedzie przez Villa Opicina. W Zagrzebiu miała się przesiąść do pociągu do Bukaresztu.

– O czym pani mówi? O tym, że jej pani pomogła? –

Uniósł się z krzesła, ale zaraz usiadł z powrotem.

Nie zamierzała odpowiadać na tak postawione pytanie.

– Mówię, że odprowadziłam ją na dworzec i pomogłam jej kupić bilet z miejscówką na pociąg do Zagrzebia.

Przez dłuższy czas się nie odzywał, studiując twarz kobiety i być może zastanawiając się nad tym, co usłyszał. A potem ją zaskoczył:

– Pani mieszka w tym mieście – powiedział to tak, jakby właśnie zamierzał wszcząć przeciwko niej dochodzenie. Zanim zdążyła spytać, o co mu chodzi, dodał: – I dopiero teraz wyleczyła się pani z amnezji i przyszła tu, by nam to wszystko powiedzieć, po trzech tygodniach?

– Byłam za granicą – odparła, zaskoczona, że w jej głosie pobrzmiewa poczucie winy.

Zaatakował:

– Bez telefonu i dostępu do gazet?

– Byłam w Londynie na intensywnym kursie angielskiego. Postanowiłam w ogóle nie mówić po włosku – wyjaśniła, nie wspominając o telefonicznych rozmowach ze swoim kochankiem. – Wróciłam wczoraj wieczorem i do dzisiejszego ranka o niczym nie wiedziałam.

Zmienił temat, ale podejrzliwość nie znikła z jego głosu.

– Znała ją pani, tę Rumunkę?

– Tak.

– Przyznała się przed panią do tego, co zrobiła?

Signora Gismondi z trudem zachowywała spokój. To była jej jedyna broń.

39

– Ona nic nie zrobiła. Spotkałam ją tamtego ranka pod domem. On jest dokładnie po drugiej stronie calle. Drzwi wej-

ściowe były zatrzaśnięte, a signora Battestini znajdowała się na górze.

– Na górze?

– W oknie. Fiori stała na ulicy, dzwoniła do drzwi, ale starsza pani nie chciała jej wpuścić.

– Assunta Gismondi uniosła palec wskazujący prawej ręki i pokiwała nim powoli, naśladując gest signory Battestini.

– Mówi pani o niej Fiori. Przyjaźniłyście się? – spytał

Scarpa.

– Nie. Widywałam ją z okna mojego mieszkania. Czasem pomachałyśmy sobie na powitanie i zamieniłyśmy parę słów.

Prawie nie mówiła po włosku, ale jakoś potrafiłyśmy się do-gadać.

– A o czym ona pani opowiadała?

– Że nazywa się Fiori, że ma trzy córki i siedmioro wnucząt. Że jedna z córek pracuje w Niemczech, ale nie wiedziała gdzie, w jakim mieście.

– A o starszej pani coś mówiła?

– Tylko tyle, że jest trudna. Ale o tym wiedzieli wszyscy w sąsiedztwie.

– Nie lubiła jej?

Straciła na chwilę cierpliwość.

– Nikt jej nie lubił! – wypaliła.

– Aż tak, żeby ją zabić? – spytał natarczywie.

Signora Gismondi wygładziła spódnicę na kolanach, zsunęła skromnie stopy, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Poruczniku, obawiam się, że nie słucał pan zbyt uważ-

nie tego, co mówiłam. Spotkałam Fiori rano na ulicy. Starsza 40

pani stała w oknie na górze, wygrażała jej palcem i nie chciała wpuścić do środka.

Zabrałam Fiori do kawiarni i próbowałam z nią porozmawiać, ale była zbyt przybita, żeby zebrać myśli.

Powiedziała, że signora Battestini wyrzuciła ją z domu, a ona zostawiła tam wszystkie ubrania i rzeczy osobiste. Ale miała paszport. Mówiła, że zawsze go nosi przy sobie.

– Był podrobiony – stwierdził Scarpa.

– Czy to coś zmienia?! – odpałiła signora Gismondi. –

Dzięki niemu mogła stąd wyjechać i wrócić do Rumunii. –

Pod wpływem gniewu dodała nierozważnie: – Pozwolił jej również bez problemu dostać się tutaj. – Słyszając własny za-palczywy ton, zapanowała nad sobą, a przynajmniej nad swoim głosem, i powiedziała: – Tylko tego chciała: wrócić do domu, do rodziny.

– Chyba całkiem nieźle się panie dogadywały, zważywszy na to, że ona w ogóle nie mówiła po włosku – zauważył.

Signora Gismondi powstrzymała się od riposty i powiedziała tylko:

– Parę słów jednak opanowała: basta, vado, treno, fami-glia, Bucaresti, signora cattiva. – Natychmiast pożałowała, że wymknęło jej się ostatnie słowo.

– Więc mówi pani, że odprowadziła ją na pociąg?

– Nie tylko mówię, poruczniku, ale oświadczam. Bo to prawda. Zabrałam ją na dworzec i pomogłam jej kupić bilet z miejscówką.

– A ta kobieta z fałszywym paszportem, która, jak pani twierdzi, została wyrzucona z domu, akurat przechodziła obok, mając przy sobie wystarczającą sumę pieniędzy, żeby kupić bilet do Bucaresti? – spytał, w prosty sposób paro-diując jej wymowę.

41

- Ja zapłaciłam za bilet – oświadczyła signora Gismondi.
- Co takiego?! – wykrzyknął Scarpa takim tonem, jakby przyznała się do szaleństwa.
- Ja zapłaciłam za bilet – powtórzyła. – I dałam jej trochę pieniędzy.
- Ile?
- Nie wiem. Sześćset albo siedemset euro.
- Chce pani, żebym uwierzył, że nawet pani nie wie, ile jej dała pieniędzy?
- Bo to prawda.
- Jak to może być prawda? Zobaczyła ją pani na ulicy, pstryknęła palcami i nagle siedemset euro pojawiło się w dłoń. Pomyślała sobie pani, że miło by było podarować je tej rumuńskiej kobiecie, bo została wyrzucona z domu i nie ma dokąd pójść.
- Głos signory Gismondi był zimny jak stal.
- Akurat wracałam z banku, gdzie spieniężyłam czek przysłany przez klienta. Miałam pieniądze w portmonetce i kiedy Fiori mi powiedziała, że chce wrócić do Bukaresztu, spytałam, czy gospodyni jej zapłaciła. – Spojrzała na Scarpę, jakby go prosiła, by zrozumiał. Nie dostrzegła żadnych oznak, że byłby do tego zdolny, więc mówiła dalej: – Powiedziała, że nie dba o to; po prostu chce wrócić do domu. – Przerwała za-
- żenowana, że musi przyznawać się przed tym człowiekiem do takiej słabości. – Więc dałam jej trochę pieniędzy. – Nagle jego wzrok się zmienił; wyrażał pogardę dla jej łatwowierno-
- ści. – Była tu od paru miesięcy, ta kobieta wyrzuciła ją na bruk, nie zapłaciwszy tego, co była jej winna, a nawet nie pozwoliła jej zabrać z domu rzeczy osobistych. – Przyszło jej na myśl, żeby go spytać, jak on postąpiłby w tej sytuacji, ale 42
- znalazła lepsze wyjście: – Ja bym nie pozwoliła jej pracować przez parę miesięcy bez zapłaty. – I na tym poprzestała.
- I co potem? – padło pytanie.
- Zapytałam ją, co zamierza zrobić, a ona, jak już panu mówiłam, powiedziała, że chce tylko wrócić do domu. Uspokoiła się trochę i przestała płakać, więc zaproponowałam, że odprowadzę ją na dworzec i sprawdzimy rozkład jazdy. Przypomniała sobie, że koło południa jest pociąg do Zagrzebia. –
- To wszystko wydawało jej się takie proste. – I to właśnie zrobiliśmy, poszliśmy na dworzec.
- I za jej bilet, jak pani mówi, też pani zapłaciła, tak? –
- dopytywał się, jakby chciał jej wytknąć nieskończoną łatwowierność.
- Tak.

- A potem?
- Potem wróciłam do domu. Wybierałam się do Londynu.
- Kiedy?

Zastanowiła się chwilę.

- Samolot miałam o pierwszej trzydzięci. Taksówka przyjechała po mnie w południe.
- Do której była pani na dworcu, signora?
- Nie wiem, do dziesiątej, może dziesiątej trzydzięci.
- A o której to wszystko się zaczęło? To znaczy o której spotkała pani tę kobietę?
- Nie jestem pewna. Chyba około wpół do dziesiątej.
- Wyjeżdżała pani z kraju na trzy tygodnie, miała pani zamówioną taksówkę, a mimo to znalazła pani czas, żeby zabrać tę kobietę, którą podobno ledwo pani znała, na dworzec i kupić jej bilet?

Zignorowała tę umyślną prowokację. Chciała wytłumaczyć, 43

jak bardzo nienawidziła zawsze tych ostatnich godzin przed podróżą, tego kręcenia się po mieszkaniu, sprawdzania po raz kolejny, czy gaz jest zakręcony, czy okna i okiennice są pozamykane, a kabel telefoniczny odłączony od komputera, ale zupełnie nie miała ochoty mu o tym mówić. Powiedziała tylko:

- Miałam czasu pod dostatkiem.
- Może to pani jakoś udowodnić? – spytał.
- Co udowodnić?
- Że pani tam była.
- Gdzie?
- W Londynie.

Korciło ją, by spytać, jakie to w ogóle ma znaczenie, ale wtedy przypomniała sobie swojego męża i to, że wszelki opór wyzwał w nim agresję.

- Tak – odparła.
- I tam ją pani zostawiła? – spytał, porzucając temat Londynu.
- Tak.
- Gdzie dokładnie?
- Na dworcu, przy kasie biletowej.
- Ile czasu to pani zajęło?
- Co? Kupowanie biletu?
- Nie, powrót do domu.
- Jedenaście minut.

Uniósł brwi ze zdziwienia i oparł się z powrotem na krzesło.

- Jedenaście minut, signora? Precyzyjnie obliczone. Czy pani to wszystko wymyśliła?
- To znaczy co?
- Całą tę bajeczkę.

Zanim odpowiedziała, dwukrotnie zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Poruczniku, podałam precyzyjnie czas nie dlatego, że opowiadam bajkę, tylko dlatego, że trwa to jedenaście minut.

Mieszkam w tym domu prawie od pięciu lat i chodzę na dworzec co najmniej raz w tygodniu. – Na próżno próbowała opanować gniew. – Jeśli potrafi pan wykonać proste działanie arytmetyczne, oznacza to ponad pięćset przejść, tam i z powrotem. Więc jeśli mówię, że zajmuje to jedenaście minut, to tyle właśnie zajmuje.

Całkowicie zignorował jej wybuch.

– W takim razie ile czasu jej by to zajęło?

– Komu?

– Tej Rumunce.

Chciała mu powiedzieć, że „ta Rumunka” ma imię, Fiori, ale się powstrzymała.

– Tyle, ile by to zajęło każdej innej osobie, poruczniku.

– Która była godzina, kiedy zaczęła pani tę jedenastomi-nutową przechadzkę, signora?

– Już mówiłam. Wpół do jedenastej, może trochę później.

– A pociąg do Zagrzebia odchodzi o jedenastej czterdzie-

ści pięć – odparł pewnym głosem jak ktoś, kto sprawdził rozkład jazdy.

– Chyba tak.

– To więcej niż godzina, signora – powiedział takim tonem, jakby zwracał się do osoby, która, choć dorosła, zupełnie nie ma poczucia czasu.

Absurdalność tego stwierdzenia wywołała jej reakcję.

– To śmieszne. Fiori nie była osobą, która mogłaby wrócić i kogoś zabić.

– A pani miała do czynienia z takimi osobami?

Opanowała odruch, by go nie uderzyć. Wzięła tylko głęboki oddech i rzekła:

– Powiedziałam panu, co się zdarzyło.

– I spodziewa się pani, że ja w to wszystko uwierzę? –

spytał niemal szyderczo.

Wiedziała, że postąpiła tak, kierując się zwykłą ludzką przyzwoitością; a więc nie, nie spodziewała się, że Scarpa jej uwierzy.

– To, czy pan mi uwierzy, czy nie, poruczniku, nie ma żadnego znaczenia. Powiedziałam panu prawdę. – Zanim zdą-

żył się wtrącić, dodała: – Nie mam żadnego powodu, by kłamać w tej sprawie. W istocie pańska reakcja uświadomiła mi, że byłoby o wiele prościej, gdybym zachowała to wszystko dla siebie. Ale ja wiem, że starsza pani nie wpuściła jej do mieszkania. Dałam Fiori pieniądze i odprowadziłam ją na dworzec.

– Próbował coś powiedzieć, ale uniosła rękę. – I to pozostanie prawdą, poruczniku, bez względu na to, czy pan zechce w to uwierzyć, czy nie: ona nie zabiła signory Battestini.

Rozdział 4

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu naprzeciwko siebie, aż w końcu Scarpa wstał z krzesła, okrążył biurko i wyszedł z pokoju, z rozmysłem zostawiając otwarte drzwi. Signora Gismondi nadal siedziała i przyglądała się leżącym na biurku przedmiotom, niewiele jednak mówiły one o człowieku, z którym miała do czynienia: dwie metalowe tace z dokumentami, długopis, telefon. Przeniosła wzrok na ścianę: z krucyfiks spoglądał na nią Chrystus, jakby chciał się podzielić wiedzą, którą zebrał, obcując z porucznikiem Scarpą.

W pokoju było tylko jedno małe okno, w dodatku zamknię-

te, więc po dwudziestu minutach signora Gismondi zaczęła dotkliwie odczuwać dyskomfort, mimo otwartych za jej plecami drzwi. Zrobiło się nieprzyjemnie gorąco. Postanowiła wyjść na korytarz, mając nadzieję, że będzie tam nieco chłodniej. Jednak w chwili gdy wstała, do pokoju wrócił porucznik Scarpa z szarą teczką w ręku. Widząc, że kobieta stoi, spytał:

– Chyba nie zamierzała pani wyjść, signora?

Choć nie usłyszała w jego głosie groźby, zwiesiła ręce i usiadła z powrotem na krześle.

– Nie, ależ skąd!

W rzeczywistości tego jednak najbardziej pragnęła: opuścić ten pokój i nie zajmować się więcej tą sprawą; niech oni teraz próbują ją rozwikłać.

Scarpa wrócił na swoje miejsce i popatrzył na papiery leżące na tacach, jakby szukał jakiegoś śladu wskazującego na to, że kobieta grzebała w nich pod jego nieobecność.

– Miała pani czas, signora, by to jeszcze przemyśleć –

powiedział. – Nadal pani utrzymuje, że dała pani pieniądze tej Rumunce i odprowadziła ją na dworzec?

Chociaż porucznik nigdy się o tym nie dowiedział, to właśnie ten przebłysk szyderczej insynuacji umocnił ją w postanowieniu. Pomyślała o swoim mężu, który był niskim blondynem i ani trochę nie przypominał Scarpy, i uświadomiła sobie, jak bardzo ci dwaj mężczyźni są w istocie do siebie podobni.

– Ja niczego nie „utrzymuję”, poruczniku – odparła z wystudiowanym spokojem. – Ja stwierdzam, oświadczam, informuję, zawiadamiam i, jeśli da mi pan taką sposobność, to również zeznam pod przysięgą, że Rumunka o imieniu Fiori została wyrzucona z domu signory Battestini i że signora Battestini stała żywa w oknie, kiedy spotkałam Fiori na ulicy. Co więcej, oznajmiam, że nieco ponad godzinę później, gdy już odprowadziłam ją na dworzec, wydawała się spokojna, opamnotana i nie zdradzała żadnych oznak, że ma zamiar kogo-kolwiek zamordować. – Potem, przypomniawszy sobie jego uwagę, dodała: – Bez względu na to, jak wyglądają takie oznaki.

Chciała kontynuować, chciała wbić do głowy temu gburowi, że Fiori, biedna nieżyjąca Fiori, w żaden sposób nie mogła popełnić tej zbrodni. Jej serce rozsadzało pragnienie, by powiedzieć mu, jak srodze się myli; tak bardzo chciała go

zawstydzić, że aż pot zebrał jej się między piersiami, lecz nawyk zwykłej ludzkiej ostrożności wziął górę i zamilkła.

Scarpa, nadal niewzruszony, wstał i wyszedł z pokoju, zabierając kartonową teczkę. Signora Gismondi usiadła wygodniej na krześle i próbowała się odprężyć, powtarzając sobie, że powiedziała to, co chciała powiedzieć, i że ma to już za sobą.

Z wysiłkiem zaczerpnęła parę głębokich oddechów, oparła się i zamknęła oczy.

Po upływie kilku długich minut usłyszała za sobą jakiś dźwięk, więc otworzyła oczy i obróciła się w stronę drzwi. W

progu stał mężczyzna, równie wysoki jak Scarpa, trzymając w ręku tę samą, jak się zdawało, kartonową teczkę. Gdy ich spojrzenia się spotkały, skinął głową i nieznacznie się uśmiechnął.

– Zapraszam panią na górę do mojego biura. Są tam dwa okna, więc z pewnością będzie trochę chłodniej.

Odsunął się na bok zachęcająco. Wstała i podeszła do drzwi.

– A porucznik? – spytała.

– Nie będzie nam przeszkadzał – rzekł mężczyzna i wy-ciągnął rękę. – Komisarz Guido Brunetti, signora. Jestem bardzo zainteresowany tym, co może nam pani powiedzieć.

Przyjrzała się jego twarzy i uznała, że mężczyzna mówi prawdę. Ujęła jego dłoń. Po zakończeniu tych formalności komisarz gestem ręki przepuścił ją w drzwiach. Kiedy znaleźli się na dole klatki schodowej – jedyne zaskakująco eleganckie miejsce w tym gmachu, gdzie w imię skuteczności prawa panowały urągające godności warunki – stanął obok niej.

– Wydaje mi się, że pana znam – powiedziała.

– Tak. Ja też mam podobne wrażenie – odparł. – Pracuje pani niedaleko Rialto?

Uśmiechnęła się i odprężyła.

– Nie. Pracuję w domu, w pobliżu Sacca della Misericordia, ale chodzę na targ przynajmniej trzy razy w tygodniu.

Chyba tam mogliśmy się spotkać.

– U Piera? – spytał Brunetti, wymieniając maleńki skle-pik, w którym kupowała parmigiano.

– Oczywiście. Wydaje mi się, że widywałam też pana w Do Mori.

– Coraz rzadziej, niestety.

– Odkąd Roberto i Franco sprzedali sklep?

– Tak. Wiem, że ci nowi właściciele są niezwykle mili, ale to już nie to samo.

To musi być okropnie deprymujące, pomyślała, przejmować w tym mieście dobrze prosperujący interes. Bo bez względu na to, jak świetnie ci idzie i ile innowacji wprowadzi-

łeś, po dziesięciu czy nawet dwudziestu latach od zmiany wła-

ściciela ludzie wciąż będą grymasić, że dawniej było o wiele lepiej, kiedy Franco czy Roberto, czy Pinco Pallino – jak w tym wypadku – prowadził sklep. Ci dwaj nowi właściciele –

nigdy się nie dowiedziała, jak się nazywają– byli równie sym-patyczni jak poprzednicy, mieli lepsze wino, a nawet lepsze kanapki. Lecz choćby sprzedawali towar najwyższej jakości, byli zmuszeni przez resztę swego życia zawodowego podtrzymywać dawno zapomniany standard, wysoki, jednak wciąż pozostawiający wiele do życzenia – przynajmniej dopó-

ki wszyscy starzy klienci nie wymrą albo się nie wyprowadzą, a wtedy oni sami wytyczą nowe normy, według których bę-

dzie się oceniać ich następców, wytykając im niedociągnięcia.

Na szczycie schodów Brunetti skręcił w lewo, poprowadził

signorę Gismondi korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami, po czym skinieniem ręki zaprosił ją do środka. Pierwszą rzeczą, którą zauważyła, były wysokie okna wychodzące na ko-

ściół San Lorenzo, a także ogromna szafa przy ścianie. Tu również znajdowało się biurko i krzesło, a także dwa inne krzesła stojące po drugiej stronie.

– Czy mogę zaproponować pani coś do picia, signora?

Kawę albo szklankę wody?

Uśmiechnął się, żeby ją zachęcić, lecz ona wciąż czuła urazę z powodu zachowania Scarpy, więc odmówiła, aczkolwiek uprzejmie.

– Może później – powiedziała i usiadła na krześle, które stało bliżej okna.

Postanowiwszy nie wycofywać się za biurko, komisarz obrócił drugie krzesło i zajął miejsce na wprost. Odłożył teczkę i znów się uśmiechnął.

– Porucznik Scarpa zrelacjonował mi, co mu pani powiedziała, ale wolałbym to usłyszeć bezpośrednio od pani. Prosił-

bym o jak najwięcej szczegółów.

Zastanawiała się, czy komisarz ma zamiar włączyć magne-tofon lub wyjąć notes; naczytała się powieści kryminalnych.

Ale on siedział naprzeciwko niej w milczeniu, z łokciem opartym na biurku, i czekał, aż ona zacznie mówić.

Opowiedziała mu więc to wszystko, co mówiła wcześniej Scarpie: o tym, jak wracała z banku, gdzie zrealizowała czek; jak zobaczyła Fiori z plastikową torbą w ręku; o signorze Battestini patrzącej z okna na piętrze i kiwającej palcem na znak odmowy.

– Czy pamięta pani, ile pieniędzy dała tej kobiecie? – spytał, gdy skończyła.

51

Pokręciła głową.

– Nie. Czek był na jakieś tysiąc euro. Po drodze do domu kupiłam różne rzeczy: kosmetyki, baterie do discmana i parę innych drobiazgów, już nie pamiętam jakich. Przypominam sobie, że kiedy wyjęłam pieniądze, by jej dać, zostawiłam sobie kilka banknotów – wszystkie były o nominale stu euro –

a resztę oddałam. – Wróciła myślami do tej sceny i próbowała sobie przypomnieć, czy po powrocie do domu przeliczyła pieniądze. – Nie, nie pamiętam dokładnie, ale to musiało być sześćset albo siedemset euro.

– Bardzo hojna z pani kobieta – zauważył z uśmiechem.

Uświadomiła sobie, że gdyby te słowa wypowiedział Scarpa, odebrałaby je jako sarkazm i wyraz niedowierzania, lecz w ustach tego mężczyzny zabrzmiały jak komplement i pochlebi-

ła jej ta ocena.

– Sama nie wiem, czemu to zrobiłam – odparła. – Fiori stała na ulicy ubrana w jakąś podomkę z tworzywa sztucznego i płócienne tenisówki. Pamiętam, że jedna była rozerwana z boku. A poza tym ona przepracowała u signory Battestini parę miesięcy. Nie umiem powiedzieć dokładnie, kiedy zaczęła, ale wtedy jeszcze okna były pozamykane.

Uśmiechnął się.

– Dziwny sposób określania dat, signora.

– Wcale nie, jeśli się mieszkało po sąsiedzku – odpowiedziała z pewną zapalczywością. Widząc, że nie rozumie, doda-

ła: – Telewizor. Zawsze był włączony, przez cały dzień i całą noc, na okrągło. W zimie, kiedy wszyscy mamy pozamykane okna, nie jest to takie straszne. Ale latem, od maja do wrze-

śnia, doprowadzało mnie to do szału. Moje okna są dokładnie na wprost jej okien, rozumie pan. Zostawia włączony 52

telewizor na całą noc, grający tak głośno, że musiałam wzywać policję. – Zorientowała się, że użyła niewłaściwego czasu, i zaraz się poprawiła: – Zostawiała.

Pokiwał głową ze współczuciem i zrozumieniem, jak zrobiłby to każdy weneccjanin, mieszkaniec miasta, które ma najwęższe uliczki i jedną z najstarszych populacji w Europie.

Zachęcona tym gestem, kontynuowała:

– Dzwoniłam do was, to znaczy na policję, żeby się po-skarżyć, ale nigdy nikt nie zareagował. Dopiero ubiegłego lata jeden z funkcjonariuszy, z którym rozmawiałam, doradził mi, żebym zawiadomiła straż pożarną. Tak właśnie zrobiłam, lecz powiedziano

mi, że nie mogą przyjechać tylko z powodu hała-su, chyba że istniałoby jakieś niebezpieczeństwo lub stan zagrożenia.

Brunetti skinieniem głowy potwierdził, że słucha z zainteresowaniem.

– Więc jeśli zostawiała włączony telewizor, to mimo że widziałam ją śpiącą w łóżku, a mogę zobaczyć jej łóżko z okna mojej sypialni – dodała mimochodem, wciąż używając czasu teraźniejszego – dzwoniłam do strażaków i mówiłam, że jej nie widzę i mam obawy, że mogło jej się stać coś złego –

ciągnęła mechanicznym głosem, jakby odczytywała przygotowany tekst. – I oni, zobligowani przez prawo, musieli przyjechać.

Nagle, jakby otrzeźwiona powrotem do rzeczywistości, dodała:

– A teraz naprawdę coś straszego ją spotkało.

– Owszem – przytaknął Brunetti.

Na chwilę zapadło między nimi milczenie.

– Czy może mi pani powiedzieć coś więcej o tej kobiecie 53

imieniem Fiori? Czy poznała pani jej nazwisko? – spytał.

– Nie, nigdy – odparła. – To nie była tego rodzaju znajomość, to znaczy nie taka, jak gdybyśmy zostały sobie przedstawię. Po prostu widywałyśmy jedna drugą przez okno, uśmiechałyśmy się i mówiły sobie dzień dobry, a czasem zamieniałyśmy parę słów, ale to nie były rozmowy o niczym konkretnym, ot, zwykłe uprzejmości.

– Czy ona kiedykolwiek mówiła coś o signorze Battestini?

– spytał. Ton jego głosu wyrażał po prostu ciekawość, nie podejrzenie.

– Cóż... Doskonale zdawałam sobie sprawę, jakiego rodzaju osobą jest starsza pani. Wie pan, jak to jest między są-

siadami: jeden podpatruje drugiego, i wiedziałam, że ludzie nie darzą jej zbyt dużą sympatią. No i że ma na okraęto włączony telewizor. Więc kiedyś ją zapytałam, jaka jest signora, a ona tylko się uśmiechnęła, wzruszyła ramionami, pokiwała głową i powiedziała *difficile* albo coś w tym stylu, tyle żeby mi przekazać, że ona dobrze wie, jaki charakter ma starsza pani.

– Coś jeszcze?

– Od czasu do czasu telefonowałam i prosiłam ją, to znaczy Fiori, żeby ściszyła telewizor. Przez lata dzwoniłam z taką prośbą do signory Battestini i czasami okazywała się bardzo uprzejma i ściszała, a kiedy indziej wydierała się na mnie.

Jednego razu nawet rzuciła słuchawkę i nastawiła telewizor jeszcze głośniej, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. – Spojrzała na komisarza, by zobaczyć, jak on to wszystko przyjmuje, w końcu były to tylko małomiasteczkowe plotki w najgorszym stylu, lecz on nadal wydawał się autentycznie zainteresowany.

– A Fiori mówiła tylko: Sì, signora, i ściszała telewizor.

Myślę, że dlatego właśnie ją lubiłam czy było mi jej żal, jak-kolwiek to nazwać.

– To z pewnością była duża ulga. Nie ma niczego gorszego, kiedy człowiek próbuje zasnąć, prawda? – W jego głosie pobrzmiwał współczujący ton.

– Zwłaszcza latem było to nie do zniesienia. Mam domek w górach w pobliżu Trento i czasem musiałam tam jechać, żeby się porządnie wyspać. – Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową na myśl o absurdalności tej sytuacji. – To pewnie brzmi niedorzecznie, że ktoś może wypędzić człowieka z własnego domu, ale tak właśnie było. – Potem dodała z szelmowskim uśmieszkiem: – Dopóki nie wpadłam na pomysł ze strażakami.

– Jak dostawali się do środka? – spytał Brunetti.

Opowiedziała mu z nieskrywaną przyjemnością.

– Drzwi na dole były zawsze zamknięte i nie mogli ich otworzyć. Więc musieli pojechać do Madonna dell’Orto albo gdzieś w pobliże i wracali z drabiną. Opierali ją na ziemi przed domem i wysuwali, aż dosięgła jej okien.

– Na pierwszym piętrze?

– Tak. Musiała mieć z siedem albo osiem metrów długo-

ści. A potem jeden lub dwóch wdrapywało się na górę, przełaziło przez okno do jej sypialni i budziło ją ze snu.

– Pani to wszystko widziała?

– Tak, przyglądałam się z moich okien. Kiedy strażacy wchodzili do środka, przenosiłam się do okna w sypialni i patrzyłam, jak ją budzą. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– Zachowywali się naprawdę bardzo grzecznie, ci strażacy.

Wszyscy byli weneccjanami, więc bez trudu mogła ich zrozumieć. Zawsze ją pytali, jak się czuje, a potem sugerowali, żeby ściszyła telewizor. I w końcu wychodzili.

– Jak?

– Słucham?

– Jak wychodzili? Z powrotem po drabinie?

– Och, nie – odparła ze śmiechem. – Wychodzili drzwiami i szli na dół po schodach, a potem odstawiali drabinę, żeby ją złożyć.

– Ile razy to pani zrobiła, signora?

– Czemu pan pyta? Czy to niezgodne z prawem? – spytała z obawą, po raz pierwszy w trakcie rozmowy z Brunettim.

– Ależ skąd! – uspokoił ją. – A właściwie to wręcz odwrotnie. Skoro jej pani nie widziała z okien swojego mieszkania, to miała pani powody, by się zaniepokoić, że coś jej się stało.

– Chyba cztery razy – odpowiedziała, mimo że nie pono-wił pytania. – Zawsze przyjeżdżali na miejsce w ciągu jakichś piętnastu minut.

– Uhm – mruknął z uznaniem, a ona się zastanawiała, czy go to dziwi, czy cieszy. – Czy to ustało, kiedy pojawiła się Fiori?

– Tak.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Porucznik powiedział mi, że odprowadziła ją pani na dworzec i tam zostawiła. Czy to prawda, signora?

– Tak.

– Około dziesiątej trzydzieści?

– Tak.

Zmieniając temat, spytał:

– Czy signora Ghiorghiu miała tu też innych przyjaciół, o których pani wie?

Ucieszyło ją to, że w taki formalny sposób wyraża się o 56

Fiori, ale uśmiechnęła się tylko nieznacznie, jakby lekko zacisnęła usta.

– Trudno mnie nazwać przyjaciółką, commissario.

– Ale przecież postąpiła pani jak jej przyjaciółka.

Nie chcąc rozwijać tego tematu, wróciła do pytania:

– Nie, a przynajmniej ja o takich nie wiem. Nie przyjaźni-

łyśmy się, bo tak naprawdę nie rozmawiałyśmy ze sobą. Po prostu się lubiłyśmy i tyle.

– A jak by pani opisała jej zachowanie lub nastrój w chwili, gdy zostawiła ją pani na dworcu?

– Wciąż była przygnębiona tym, co się stało, ale już znacznie mniej niż przedtem.

Popatrzył przez chwilę na podłogę, a potem znów podniósł wzrok.

– Czy kiedykolwiek widziała pani ze swego okna coś jeszcze, signora? – spytał i zanim w ogóle pomyślała o tym, żeby bronić się przed posądzeniem o wścibstwo, wyjaśnił: – Pytam, bo jeśli przyjmujemy założenie, że Fiori tego nie zrobiła, będzie jasne, że zrobił to ktoś inny, i wszystko, co pani powie o signorze Battestini, może się okazać pomocne.

– W ustaleniu, kto to naprawdę był?

– Tak.

Z taką łatwością zaakceptował możliwość, że Fiori jest niewinna, iż nie zdążyła nawet okazać zdziwienia.

– Zastanawiałam się nad tym od chwili, kiedy do was zadzwoniłam.

– Z pewnością – powiedział.

– Mieszkam naprzeciwko niej od ponad czterech lat, od-kąd kupiłam mieszkanie. – Przerwała, mimo że on w żaden sposób jej nie ponaglał. – Wprowadziłam się w lutym, o ile 57

pamiętam, w każdym razie pod koniec zimy. I nie odnotowa-

łam jej obecności aż do wiosny, kiedy zrobiło się ciepło i za-częliśmy otwierać okna. To znaczy pewnie widziałam, jak się krząta po mieszkaniu, lecz nie zwracałam na nią uwagi. Ale jak tylko zaczęły się te hałasy, wołałam do niej przez calle, co nie odnosiło żadnego skutku. Zawsze spała jak kamień, ani razu się nie obudziła. Pewnego dnia poszłam pod jej dom i sprawdziłam nazwisko przy dzwonku, a potem znalazłam numer w książce telefonicznej. I zadzwoniłam. Nie powiedzia-

łam, kim jestem ani gdzie mieszkam, nic w tym rodzaju, jedynie poprosiłam, żeby łaskawie zechciała ściszyć w nocy telewizor.

– Jak zareagowała?

– Powiedziała, że zawsze go ścisza, zanim położy się spać, i odłożyła słuchawkę.

– I co było potem?

– Potem to samo zaczęło się w ciągu dnia. Dzwoniłam, a kiedy odbierała, prosiłam, zawsze bardzo grzecznie, o ścisze-nie telewizora.

– I?

– Najczęściej tak robiła.

– Rozumiem. A w nocy?

– Czasem był wyłączony, nawet przez parę tygodni. Więc zaczynałam łudzić się nadzieją, że coś się stało, że może gdzieś ją zabrano albo wyjechała.

– Nie przyszło pani na myśl, żeby kupić jej słuchawki, signora?

– Nigdy w życiu by ich nie włożyła – odparła z absolut-nym przekonaniem. – Była

szalona. Oto powód. Kompletnie zbzikowana. Niech mi pan wierzy, signore, że odrobiłam lek-cje, jeśli chodzi o tę kobietę. Rozmawiałam z jej prawniczką, 58

lekarzem, siostrzenicą, z ludźmi w ośrodku psychiatrycznym w Palazzo Boldù, z sąsiadami, nawet z listonoszem.

Spostrzegła jego zainteresowanie, więc kontynuowała:

– Kiedy mogła jeszcze poruszać się po schodach i wychodzić z domu, leczyła się w Boldù. Ale albo sama zrezygnowa-

ła z kuracji, albo ją stamtąd wyrzucili, o ile ośrodek psychiatryczny może wyrzucać ludzi.

– Wątpię – powiedział. – Ale mogli ją zachęcić do przerwania leczenia. – Po chwili spytał: – A ta siostrzenica? Co mówiła?

– Że jej ciotka jest „trudną kobietą”. – Fuknęła z pogardą.

– Zupełnie jakbym o tym nie wiedziała. Nie chciała się tym zająć. Właściwie to nie jestem pewna, czy w ogóle rozumiała, o czym mówię. To samo z policją, jak już wspominałam, i z carabinieri, – Zrobiła pauzę i dodała: – Ktoś z sąsiedztwa, nie pamiętam już kto, opowiadał mi, że pięć czy sześć lat temu umarł jej syn i od tej pory zaczęła głośno nastawiać telewizor.

Dla towarzystwa.

– Umarł, zanim się pani wprowadziła?

– Tak. Ale z tego, co słyszałam, ona chyba zawsze była „trudną kobietą”.

– A ta jej prawniczka? – spytał Brunetti.

– Obiecała, że porozmawia z signorą Battestini.

– I co?

Assunta Gismondi wyduła wargi jakby z obrzydzeniem.

– Listonosz? – dopytywał z uśmiechem.

Roześmiała się w głos.

– Też na nią narzekał. Każdy list musiał jej zanosić na gó-

rę, zawsze wdrapywał się po schodach, a ona nigdy nie dała mu napiwku. Nawet na Boże Narodzenie. Ani złamanego centa.

Widząc, że komisarz słucha jej ze skupioną uwagą, kontynuowała:

– Najlepszą historię o niej opowiedział mi sprzedawca wyrobów z marmuru, ten, co ma warsztat przy Miracoli.

– Costantini?

– Tak, Angelo – odparła zadowolona, że Brunetti wie, o kogo chodzi. – Jest starym przyjacielem rodziny, więc kiedy mu się zwierzyłam, z kim mam kłopot, opowiedział mi, że jakieś dziesięć lat temu signora Battestini zadzwoniła do niego i poprosiła, żeby przyniósł jej kosztorys na zrobienie nowego ciągu schodów. Już ją wtedy znał, przynajmniej ze słyszenia, wiedział więc, że ta wizyta nie ma sensu, mimo to poszedł.

Zmierzył schody, wykonał wszystkie obliczenia i nazajutrz znów się do niej wybrał, by powiedzieć, ile potrzeba schodów, jakiej wysokości i jaka będzie cena.

Jak każdy, kto lubi opowiadać zabawne anegdoty, zrobiła pauzę, a Brunetti zareagował jak dobry słuchacz.

– I?

– A ona powiedziała, że doskonale wie, iż on próbuje ją oszukać, i zażądała, by przygotował nowy kosztorys, bo stopni jest za dużo i powinny być niższe. – Dała mu chwilę, by ogarnął cały idiotyzm tej sytuacji, po czym dodała: – Człowiek gotów pomyśleć, że może w Palazzo Boldù rzeczywiście chcieli się jej pozbyć.

Skinął głową na te słowa.

– Czy odwiedzali ją jacyś ludzie, signora? – spytał po chwili.

– Nikogo sobie nie przypominam, a przynajmniej nie widziałam nikogo więcej niż parę razy. Były to głównie kobiety, które u niej pracowały, w większości ciemnoskóre. Kiedyś rozmawiałam z jedną, która powiedziała, że jest z Peru. Ale 60

wszystkie odchodziły, zwykle już po kilku tygodniach.

– Fiori jednak została?

– Mówiła, że ma trzy córki i siedmioro wnucząt, przypuszczam więc, że musiała utrzymać pracę, aby wysyłać im pieniądze.

– Myśli pani, że dostawała zapłatę?

– Kto? Fiori?

– Tak.

– Tak sędzę. Miała troszkę pieniędzy. – Zanim poprosił o wyjaśnienie, dodała: – Kiedyś spotkałam ją na Strada Nuova, jakieś półtora miesiąca temu. Piłam akurat kawę w barze, kiedy weszła. To ten narożny barek niedaleko traghetti przy Santa Fosca. Podeszłam do niej, a ona mnie rozpoznała, wie pan, jako osobę, którą widywała przez okno, i pocałowała mnie w policzek, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami. Mia-

ła w rękę otwartą portmonetkę i widziałam, że jest tam parę monet. Nie przyglądałam się specjalnie, ale nie było ich zbyt wiele. – Przerwała na chwilę, wracając pamięcią do tego spotkania w barze. – Zapytałam, po co przyszła, a ona odparła, że ma ochotę na lody. Znam właściciela baru, więc mu powiedziałam, że ja funduję i żeby nie brał od niej pieniędzy.

Dopiero teraz to sobie uświadomiła.

– Mam nadzieję, że jej nie uraziłam, nalegając, że to ja zapłacę.

– Nie sędzę, signora – odparł.

– Zapytałam, jakie lody by chciała, a ona na to, że czekoladowe, więc poprosiłam właściciela, żeby dał jej duży rożek, a kiedy go wzięła, widziałam po jej twarzy, że zamierzała sobie kupić mały, i zrobiło mi się jej bardzo żal. Nie dość, że 61

musiała znosić tę okropną kobietę, to w dodatku nie mogła sobie nawet pozwolić na podwójną porcję lodów.

Przez dłuższy czas milczeli.

– A te pieniądze, które jej pani dała, signora? – spytał.

– To był zwykły odruch. Pieniądze, które miałam wtedy przy sobie, dostałam za pracę, którą specjalnie wyceniłam za wysoko, mając nadzieję, że jej nie dostanę, bo była bardzo nudna: projekt opakowania do nowego typu żarówek. Dosta-

łam jednak to zlecenie i okazało się tak proste, że czułam się trochę winna, że aż tyle mi za to płacą. Pewnie bym się tak łatwo ich nie pozbyła, gdybym musiała ciężko na nie zapracować. – Przypomniała sobie tę sytuację i impuls, który skłonił ją, by dać pieniądze Fiori. – Ale i tak niczego dobrego jej nie przyniosły, prawda?

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Niech pan chwilę zaczeka. Właśnie sobie coś uświadomiłam. Z tych pieniędzy nadal zostało mi trzysta euro. Zostawiłam je w domu przed wyjazdem do Anglii. Wiedziałam, że mi się tam nie przydadzą. Wciąż mam te banknoty. – Widząc wyraźne zaciekawienie w oczach komisarza, ciągnęła: – Przecież tego właśnie pan potrzebuje, by dowieść, że faktycznie dałam jej pieniądze, że nie ukradła ich signorze Battestini. –

Ponieważ nie zareagował, dorzuciła: – Wszystkie banknoty były nowe i prawdopodobnie z tej samej serii, więc wystarczy, że dam panu banknoty, które mi zostały, a kiedy je pan porówna z numerami seryjnymi tych, które Fiori miała przy sobie w pociągu, przekona się pan, że ona niczego nie ukradła.

Zdziwiona jego brakiem entuzjazmu i – co musiała przed sobą przyznać – urażona tym, że jej nie docenia, spytała: 62

– I co? Czy to nie byłby dowód?

– Owszem – odparł z wyraźnym ociąganiem. – To mógłby być dowód.

– Ale?

– Ale te pieniądze zniknęły.

Rozdział 5

– Jak to możliwe?

Od tego pytania upłynęło sporo czasu, a kiedy odpowiedź

wreszcie nastąpiła, okazała się zbędna. Wystarczyła chwila zastanowienia, by signora Gismondi uświadomiła sobie, że taka suma pieniędzy wpuszczona w labirynt urzędu państwowego i urzędników miała takie same szanse na przetrwanie jak kostka lodu przekazywana z ręki do ręki na plaży.

– Wydaje się, że odkąd te pieniądze opuściły posterunek policji granicznej w Villa Opicina, wszelki śluch po nich zagi-nął – przyznał.

– Czemu pan mi to mówi, commissario?

– W nadziei, że nikomu więcej pani o tym nie powie –

odparł, nie próbując unikać jej spojrzenia.

– Boi się pan złej prasy? – spytała sarkastycznie, jakby ton porucznika Scarpy był zaraźliwy.

– Niezupełnie, signora. Ale wolałbym, żeby ta informacja nie przedostała się do opinii publicznej. Podobnie jak wszystko, co mi pani teraz mówi.

– Mogę zapytać dlaczego? – Sarkazm się ulotnił, ale w jej głosie nadal pobrzmiwał sceptycyzm.

– Dlatego, że im mniej osoba, która to zrobiła, wie o tym, co my wiemy, tym lepiej dla nas.

– Powiedział pan „osoba, która to zrobiła”, commissario.

Czy to znaczy, że pan mi wierzy, że Fiori nie zabiła signory Battestini?

Oparł się na krzesło i palcem wskazującym lewej ręki dotknął dolnej wargi.

– Po tym, co od pani usłyszałem, signora, nie wydaje mi się prawdopodobne, by to ona popełniła tę zbrodnię, zwłaszcza w taki sposób.

Słyszając te słowa i wierząc w nie, doznała ulgi. On tymczasem mówił dalej:

– Skoro miała bilet powrotny do domu i trochę pieniędzy, tym bardziej wydaje mi się niemożliwe, że mogłaby wrócić i zabić tę starą kobietę, bez względu na to, jak była „trudna”. –

Z kieszeni marynarki wyjął notes. – Czy może pani opisać, jak była ubrana, kiedy odprowadziła ją pani na dworzec?

– Miała na sobie coś w rodzaju podomki, jakich już od dawna się nie widuje. Zapinaną z przodu na guziki, z krótkim rękawem, z nylonu albo innego sztucznego tworzywa. Musiała się w tym czuć okropnie w czasie upałów. Szarą albo beżową, w jakimś neutralnym kolorze, w drobny wzorek, nie pamiętam jaki.

– Czy nosiła to ubranie, kiedy ją pani widywała ze swojego okna?

Signora Gismondi zastanowiła się przez chwilę.

– Chyba tak. Nosiła tę podomkę albo bluzkę w jasnym kolorze i ciemną spódnicę. Ale zazwyczaj miała jeszcze na sobie fartuch, więc nie pamiętam zbyt dobrze jej ubrań.

– Zauważyła pani u niej jakieś zmiany w czasie, kiedy pracowała u signory Battestini?

– Nie wiem, co pan rozumie przez „zmiany”?

– Czy na przykład obcięła lub ufarbowała włosy? Zaczęła nosić okulary?

Przypomniła sobie siwe odrosty na włosach Fiori tego ostatniego dnia, kiedy zabrała ją do kawiarni i próbowała uspokoić.

– Przestała farbować włosy – odpowiedziała w końcu. –

Prawdopodobnie nie mogła sobie na to pozwolić.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Czy ma pan pojęcie, ile kosztuje w tym mieście farbowanie włosów? – spytała, zastanawiając się, czy komisarz ma żonę, a jeśli tak, to czy ona jest już w takim wieku, że musi farbować włosy. Domyślała się, że on już przekroczył pięć-

dziesiątkę: pewnie wyglądałby młodziej, gdyby nie rzędzące włosy na ciemieniu i zmarszczki wokół oczu. Ale, paradoksalnie, miał oczy młodego człowieka: przenikliwe, bystre, bacznie rejestrujące świat wokół.

– Oczywiście – odparł, zrozumiałwszy podtekst jej pytania. – Czy coś jeszcze może mi pani powiedzieć o signorze Battestini? Cokolwiek, choćby się to pani wydawało nieistotne lub bez związku czy nawet – ciągnął z niewymuszonym uśmiechem – miało charakter plotki.

Chciała być pomocna i na taką zachętę zareagowała pozytywnie.

– Myślę, że wszyscy w sąsiedztwie dobrze ją znali. – Skinął głową, więc kontynuowała: – Wiedzieli też, że sprawia mi wielki kłopot... – Po krótkiej pauzie wyjaśniła: – Widzi pan, tylko moja sypialnia położona jest od frontu, na wprost jej mieszkania. Nie wiem, czy sypialnie pozostałych lokatorów zawsze znajdowały się w głębi domu, czy może z biegiem lat pozamieniali pokoje, żeby odseparować się od hałasu.

– A może to się zaczęło całkiem niedawno – podsunął.

– Nie – odparła natychmiast. – Wszystkie osoby, z którymi rozmawiałam, mówiły mi, że trwało to, odkąd zmarł jej syn. Moi sąsiedzi po prawej mają klimatyzację, więc śpią przy zamkniętych oknach, a starsi państwo mieszkający pode mną zamykają i okna, i okiennice. Bóg jeden wie, jak to możliwe, że latem się nie uduszą. – Nagle uświadomiła sobie, że to wszystko może brzmieć jak niedorzeczna paplanina, zamilkła więc, próbując sobie przypomnieć, dlaczego zaczęła o tym mówić. Po chwili odnalazła wątek: – Wszyscy ją znali, a ilekroć wspomniałam jej nazwisko, chętnie zaczęli o niej mówić.

Słyszałam historię jej życia dziesiątki razy.

– Naprawdę? – spytał, wyraźnie zainteresowany. Przewrócił kartkę w notesie i spojrzał na signorę Gismondi z uśmiechem wyrażającym zachętę.

– No cóż, dowiedziałam się tego i owego.

– Mogłaby mi pani o tym opowiedzieć?

– Mieszkała tam od dziesięcioleci. Podobno była już grubo po osiemdziesiątce, może nawet starsza. Miała jednego syna, ale zmarł. Ludzie mówili, że nie układało jej się w mał-

żeństwie. Mąż też już nie żyje od jakichś dziesięciu lat.

– Wie pani, czym się zajmował?

Zamilkła i próbowała sobie przypomnieć zasłyszane przez lata plotki.

– Chyba miał jakąś posesję w magistracie albo we władzach prowincji, nie jestem pewna. Ludzie mówili, że większość czasu po pracy spędzał w narożnym barze, grając w karty. Mówili też, że była to jedyna rzecz, która go powstrzymała przed zabójstwem żony. – Usłyszawszy własne słowa, 67

zerknęła nerwowo na komisarza, ale zaraz podjęła: – Ci, któ-

rzy go wspominali, wyrażali się o nim tak, jakby był dość sympatycznym człowiekiem.

– Zna pani przyczynę jego śmierci?

– Nie, ale chyba ktoś mi mówił, że to był udar lub atak serca.

– Czy to się stało tutaj?

– Nie mam pojęcia. Ludzie mówili tylko, że zmarł i zostawił wszystko jej i synowi: dom, pieniądze, jeśli jakieś zgromadził, drugie mieszkanie na Lido, o ile pamiętam. Po śmierci syna signora pewnie to wszystko odziedziczyła.

W trakcie opowieści Brunetti raz po raz dla zachęty potakiwał ze zrozumieniem.

– To chyba wszystko, co słyszałam o jej mężu.

– A syn?

Wzruszyła ramionami.

– Co ludzie o nim mówili?

– Właściwie nic – odparła, wyraźnie zdziwiona własną odpowiedzią. – To znaczy nikt o nim nie wspominał. Cóż, oprócz osoby, od której dowiedziałam się, że w ogóle istniał.

– A o signorze Battestini co mówiono?

Tym razem odpowiedź była natychmiastowa.

– W ciągu tych lat skłóciła się ze wszystkimi ludźmi z sąsiedztwa.

– O co głównie chodziło?

– Pan jest weneccjaninem, prawda? – spytała, ale było to tak widoczne na jego twarzy i słyszalne w sposobie mówienia, że sama potraktowała to jako żart.

Uśmiechnął się, a ona mówiła dalej:

– W takim razie dobrze pan wie, o co ludzie się kłócą: o śmieci zostawione pod czyimiś drzwiami, list omyłkowo 68

wrzucony do cudzej skrzynki i nieprzekazany adresatowi, o psa ujadającego bez przerwy. Tak naprawdę powód jest nie-istotny. Wie pan o tym. Wystarczy tylko zareagować w niewłaściwy sposób, i ma się wroga do końca życia.

– Signora Battestini była, jak się zdaje, osobą, która tak właśnie reagowała.

– Owszem – powiedziała, dwukrotnie kiwając głową.

– Czy zdarzył się jakiś szczególny incydent?

– Ma pan na myśli taki, który mógłby kogoś skłonić do zabójstwa? – Signora Gismondi próbowała zażartować, ale chyba niezbyt jej się to udało.

– Niezupełnie. Ludzie tego pokroju nie giną z ręki sąsiadów. Poza tym – dodał z zuchwałym uśmiechem – sądząc z tego, co mi pani powiedziała, to pani miała ku temu ważne powody, ale wątpię, żeby to pani zrobiła.

Słyszając te słowa, pomyślała, że to jedna z najdziwniejszych rozmów, jakie kiedykolwiek odbyła, ale też jedna z najprzyjemniejszych.

– Czy chce pan, żebym dalej powtarzała plotki, które słyszałam od ludzi, czy sama spróbowała wyciągnąć z tego wszystkiego jakieś wnioski?

– Sądzę, że to drugie będzie bardziej pomocne.

– I krócej potrwa.

– Nie, nie, signora. Mnie się nie śpieszy, proszę tak nie myśleć. Wszystko, co pani mówi, bardzo mnie interesuje.

Gdyby taka uwaga padła z ust innego mężczyzny, mogłaby zabrzmieć dwuznacznie – kokieteryjny podtekst ukryty pod pozorem szczerości – ale w tym wypadku odebrała ją dosłownie.

Oparła się na krzesło, zrelaksowana, a jednocześnie świadoma, że nie byłaby w stanie tak się poczuć w obecności 69

poprzedniego policjanta, bo wiedziała, że nigdy nie mogłaby być z mężczyzną jego pokroju.

– Mówiłam panu, że zajmuję to mieszkanie dopiero od czterech lat. Ale pracuję w domu, więc chętnie wysłuchuję tego, co mówią ludzie, bo większość czasu spędzam w samotności, pracując. – Po chwili namysłu dodała z żalem: – To znaczy jeśli hałas mi pozwala.

Skinął głową, ponieważ z biegiem lat zaobserwował, że większość ludzi odczuwa potrzebę rozmowy i że okazując autentyczne albo udawane zaciekawienie, bardzo łatwo ich skłonić do mówienia o czymkolwiek.

– Więc widzi pan, ludzie z sąsiedztwa opowiadali mi o signorze Battestini różne rzeczy – powiedziała z cierpkim uśmiechem. – Ale bez względu na to, jak wielką przebijała z ich słów nienawiść, zawsze w końcu mówili, że to biedna wdowa, która straciła jedyne dziecko, i dlatego trzeba jej współczuć.

Wyczuwając, że kobieta ma ochotę podzielić się plotkami i tylko czeka na zachętę, spytał:

– A o czym takim pani mówili, signora?

– Choćby o jej skąpstwie. Wspominałam już panu, że nigdy nie dała listonoszowi napiwku; od wielu osób słyszałam też, że zawsze kupowała najtańsze rzeczy. Potrafiła przejść pół

miasta, żeby paczkę makaronu kupić o pięćdziesiąt lirów ta-niej. A mój szewc powiedział, że już mu obrzydło jej ciągle obiecywanie, że zapłaci mu następnym razem, bo gdy przychodziła następnym razem, to się upierała, że już mu zapłaciła, aż w końcu przestał ją wpuszczać do zakładu. – Widząc wyraz jego twarzy, dodała: – Nie wiem, ile w tym prawdy. Wie pan, jak to jest: jak do kogoś przyłgnie opinia, że jest taki czy inny, 70

to ludzie zaczynają opowiadać różne historie i już nie ma znaczenia, czy coś się naprawdę zdarzyło, czy nie.

Brunettiemu od dawna nieobce było to zjawisko. Znał ludzi, którzy zostali zabici z tego powodu, znał też takich, którzy z tego powodu odbierali sobie życie.

Signora Gismondi mówiła dalej:

– Nieraz słyszałam, jak wydzierała się na kobiety, które u niej pracowały, słyszałam aż po drugiej stronie campo. Wykrzykiwała straszne rzeczy: oskarżała je, że kłamią lub kradną, narzekała na jedzenie, które jej przygotowały, lub źle pościelone łóżko. Słyszałam to wszystko zwłaszcza latem, kiedy nie używałam discmana. Czasem widywałam je w oknie i macha-

łam do nich albo się uśmiechałam, tak zwyczajnie. A kiedy spotykałam którąś na ulicy, zawsze wymieniałyśmy pozdrowienia lub ukłony. – Spojrzała w bok, jakby nigdy wcześniej nie zastanawiała się, dlaczego to robiła. – Pewnie chciałam, by wiedziały, że nie wszyscy ludzie są tacy jak ona, a przynajmniej nie wszyscy weneccjanie.

Brunetti znów skinął głową na znak, że rozumie taką potrzebę.

– Jedną z nich, Jana, dziewczyna z Mołdawii, zapytała mnie któregoś dnia, czy nie

miałabym dla niej jakiejś pracy.

Musiałam jej powiedzieć, że już mam kobietę do sprzątanania, która pracuje u mnie od lat. Ale wyglądała na tak zdesperowaną, że zaczęłam rozpytywać to tu, to tam i okazało się, że kobieta, która sprzątała u mojej znajomej, właśnie odeszła, więc ta znajoma przyjęła Janę do siebie, polubiła, a potem mówiła, że to bardzo uczciwa i pracowita dziewczyna. – Uśmiechnęła się i pokręciła głową, jakby zaskoczona własnym gadulstwem.

– W każdym razie Jana przyznała się jej, że dostawała tylko 71 siedem tysięcy lirów, to było przed wejściem euro, za godzinę.

– Nie tłumiąc oburzenia w głosie, dodała: – Na litość boską, to mniej niż cztery euro za godzinę! Nikt za to nie przeżyje.

Pełen podziwu dla niej za ten wybuch gniewu, Brunetti spytał:

– Myśli pani, że tyle samo płaciła signorze Ghiorghiu?

– Nie mam pojęcia, ale wcale bym się nie zdziwiła.

– Jak Fiori się zachowała, kiedy dała jej pani te pieniądze?

– spytał.

– Była zażenowana. Ale przypuszczam, że również zadowolona.

– Z pewnością. Ale jak zareagowała?

Signora Gismondi spojrzała w dół na swoje dłonie i klepnęła się po udach.

– Rozplakała się. – Po krótkiej pauzie dodała: – A potem próbowała pocałować mnie w rękę. Ale nie mogłam na to pozwolić, nie na ulicy.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Brunetti, tłumiąc uśmiech. – Czy przypomina sobie pani coś jeszcze na temat signory Battestini?

– Zdaje się, że była kiedyś sekretarką w szkole, nie wiem jakiej, chyba podstawowej. Ale pewnie przeszła na emeryturę co najmniej dwadzieścia lat temu, kiedy to było takie łatwe.

Brunetti nie był pewien, lecz wydawało mu się, że usłyszał

w jej głosie raczej wyrzut niż żal.

– A jej rodzina, signora? Podobno rozmawiała pani z jej siostrzenicą.

– Owszem, ale ona nie chciała mieć z ciotką nic wspólnego. W Dolo mieszkała siostra signory Battestini, przypuszczalnie matka tamtej, ale gdy ostatnio do niej dzwoniłam, 72

odebrała córka i powiedziała mi, że jej matka zmarła. – Po zastanowieniu dodała: – Miałam wrażenie, że w ogóle nie chce słyszeć o ciotce, dopóki ta żyje. Jakby interesowało ją tylko odziedziczenie po niej domu.

– Rozmawiała też pani z prawniczką?

– Tak, z dottoressą Maneschi. Ma kancelarię, która figuruje w książce telefonicznej, gdzieś w okolicy Castello. Nigdy się z nią nie spotkałam, tylko rozmawialiśmy przez telefon.

– Jak pani odnalazła te wszystkie osoby, signora?

Wyczuwając w jego głosie tylko zwykłą ciekawość, odparła:

– Rozpytywałam tu i tam i szukałam ich w książce telefonicznej.

– A jak pani ustaliła nazwisko prawniczki?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

– Któregoś razu zadzwoniłam do signory Battestini, powiedziałam, że jestem z firmy energetycznej i że muszę z nią wyjaśnić sprawę niezapłaconego rachunku za prąd. Podała mi nazwisko prawniczki i kazała zwrócić się z tym do niej, nawet podyktowała mi numer telefonu.

Brunetti posłał jej uśmiech pełen uznania, ale powstrzymał

się od wyrażenia głośnej pochwały za coś, co bez wątpienia było pewnego rodzaju wykroczeniem.

– Wiedziała pani, że ta prawniczka prowadzi wszystkie sprawy signory Battestini?

– Dała mi to wyraźnie do zrozumienia, gdy z nią rozmawiałam.

– Kto? Signora Battestini czy prawniczka?

– Och, przepraszam. Signora Battestini. A prawniczka, no cóż, jak to prawniczka: udzieliła mi skąpych informacji i 73

zasugerowała, że w niewielkim stopniu kontroluje poczynania swojej klientki.

Był to jeden z trafniejszych opisów sposobu działania prawników, jaki komisarz kiedykolwiek słyszał. Zamiast jednak komplementować signorę Gismondi za roztropność, spytał:

– Czy w tym wszystkim, czego udało się pani dowiedzieć, jest według pani coś istotnego?

– Obawiam się, commissario, że nie mam pojęcia, co mo-

że być ważne, a co nie. Wszyscy sąsiedzi naprawdę zgodnie twierdzili, że była okropną osobą, a jeśli któryś wspomniał o jej mężu, to zawsze w tym duchu, że to był zwyczajny człowiek, całkiem przeciętny, i że nie byli razem szczęśliwi.

Brunetti oczekiwał komentarza, że to niemożliwe, by ktoś zaznał szczęścia u boku signory Battestini, lecz nic takiego nie nastąpiło.

– Przykro mi, że nie byłam zbyt pomocna – rzekła, dając sygnał, że chciałyby już zakończyć rozmowę.

– Wręcz przeciwnie, signora. Powiedziałbym, że była pa-ni niesłychanie pomocna. Powstrzymała nas pani przed zamknięciem sprawy, zanim ją dokładnie zbadaliśmy, a ponadto dostarczyła nam pani ważnych powodów, byśmy uznali nasze pierwotne wnioski za błędne. – Nie stwierdził wyraźnie, że jej zeznania są wiarygodne i nie wymagają dalszej weryfikacji.

Pozostawił to jej domysłowi.

Wstał i odsunął się o krok od krzesła. Wyciągnął rękę.

– Chciałbym podziękować za to, że przysłała pani z nami porozmawiać. Niewielu ludzi byłoby na to stać.

Traktując to jako przeprosiny za zachowanie porucznika Scarpy, uścisnęła mu dłoń i opuściła biuro.

Rozdział 6

Kiedy wyszła, Brunetti wrócił za biurko, myśląc o tym wszystkim, co właśnie usłyszał, nie tylko od signory Gismondi, ale też od porucznika Scarpy. To, co ona powiedziała, wydawało się całkowicie wiarygodne: ludzie wyjeżdżali z miasta, a w czasie ich nieobecności życie toczyło się dalej. Często woleli nie utrzymywać kontaktu z domem, żeby delektować się pobytom z dala od niego, albo, jak powiedziała porucznikowi Scarpie, żeby całkowicie wtopić się w obcą kulturę i język. Zastanawiał się, dlaczego kobieta na pozór tak rozsądna i uczciwa jak signora Gismondi miałaby wymyślić podobną historię i konsekwentnie przy niej trwać mimo – tego był pewien – sprzeciwu ze strony Scarpy. Nie znalazł jednak prze-konującego wyjaśnienia.

Łatwiej było spekulować na temat motywów Scarpy. Zaak-ceptowanie jej wersji wydarzeń oznaczałoby przyznanie się, że policja działała w niezwykłym pośpiechu, przyjmując wygodne dla siebie rozwiązanie. Ponadto wymagałoby to wyjaśnienia, w jaki sposób zniknęły powierzone policji pieniądze.

Obie te sprawy należały do kompetencji porucznika Scarpy. A co ważniejsze, przyjęcie wersji signory Gismondi było równo-znaczne z tym, że po ponad trzech tygodniach od morderstwa należało zbadać sprawę od początku.

W tym czasie, kiedy znaleziono ciało signory Battestini, Brunetti był na urlopie. Wrócił do Wenecji już po zawieszeniu dochodzenia, a potem prowadził rozpoczęte wcześniej śledztwo w sprawie okradania bagaży na lotnisku. Ponieważ oskar-

żonych wielokrotnie sfilmowano, jak grzebią i wyciągają rzeczy z walizek pasażerów, i ponieważ niektórzy z nich byli gotowi zeznawać przeciwko pozostałym w nadziei na łagodniejszy wyrok, komisarz nie miał zbyt wiele do roboty prócz uporządkowania całej dokumentacji i przesłuchania osób, które nie złożyły jeszcze zeznań, a być może należało je do tego nakłonić. Czytał o morderstwie, będąc poza Wenecją, i dawał naiwną wiarę temu, co pisały gazety; on także był przekonany o winie Rumunki. Bo dlaczego próbowała uciec z kraju? Czyż nie z powodu panicznego strachu przed policją?

Signora Gismondi właśnie udzieliła mu odpowiedzi na te pytania. Florinda Ghiorghiu wyjechała z Włoch, ponieważ straciła pracę, a próbowała uciec przed policją, bo pochodziła z kraju, w którym podobno policja była skorumpowana i brutalna, i sama myślała o tym, że wpadnie w jej ręce, mogła ją skłonić do panicznej ucieczki.

Kiedy godzinę wcześniej Brunetti zobaczył Scarpę w biurze signoriny Elettry, porucznik aż kipiał złością z powodu, jak twierdził, kłamstw świadka. Wyczuwając jego gniew, signorina Elettra zasugerowała:

– A może ktoś inny powinien spróbować wydobyć z niej prawdę?

Brunettiego zdumiało, jak uprzejma jest wobec porucznika i gotowa mu uwierzyć. Cała jej przebiegłość stała się oczywista, gdy odwróciła się do Brunettiego i powiedziała: 76

– Commissario, wydaje mi się, że porucznik wykonał już solidną robotę, demaskując kłamstwa tej kobiety. Może teraz ktoś inny powinien ustalić, jakie motywy nią kierowały.

–

Zwracając się ponownie do Scarpy i unosząc ręce w geście wyrażającym niepewność, dodała: – Jeśli oczywiście pana zdaniem, poruczniku, mogłoby to w czymś pomóc.

Komisarz zauważył, że miała na sobie skromną bawełnianą bluzkę: może to ten zapięty pod szyją kołnierzyk sprawiał, że wyglądała tak niewinnie.

Przez oblicze Scarpy przemknęła atawistyczna podejrzliwość wobec signoriny Elettry, zanim jednak zdążył się odezwać, wtrącił się Brunetti:

– Niech pani na mnie nie patrzy, signorina. Wciąż zajmuję się sprawą lotniska, więc nie mam czasu na takie rzeczy.

Opór Brunettiego zmusił porucznika do reakcji.

– Ona mi będzie w kółko opowiadać tę samą historię. Jestem tego pewien.

Było to tylko stwierdzenie, nie prośba, więc Brunetti się nie ugiął.

– Mam na głowie sprawę lotniska – rzekł i ruszył do drzwi.

To wystarczyło, by sprowokować Scarpę.

– Jeśli ta kobieta kłamie w sprawie morderstwa, to jest to chyba ważniejsze niż drobne kradzieże na lotnisku.

Brunetti przystanął w drzwiach. Odwrócił się do signoriny Elertry, która powiedziała z rezygnacją:

– Sądzę, że porucznik ma rację, commissario.

Komisarz, przybity smutkiem, być może zbyt widocznym, odparł zniechęcony:

– No dobra, ale nie chcę się do tego mieszać. Gdzie ona jest?

I w taki właśnie sposób doszło do jego rozmowy z signorą Gismondi, a po tym wszystkim, co od niej usłyszał, skłonny był uwierzyć, że faktycznie, tak jak powiedziała signorina Elettra, wydobyl z niej prawdę.

Teraz zszedł do biura signoriny Elettry i zastał ją rozmawiającą przez telefon. Uniosła dwa palce, dając mu znak, że za chwilę skończy, schyliła się, żeby wziąć jakieś notatki, po czym podziękowała rozmówcy i odłożyła słuchawkę.

– Jak to się pani udało? – spytał.

– Trzeba znać wroga – odparła.

– To znaczy?

– On pana nienawidzi, a wobec mnie jest bardzo podejrzliwy, więc jeśli tylko stworzę mu okazję, w której może pana zmusić do zrobienia czegoś, czego pan zrobić nie chce, to już samo to pragnienie wystarczy, by przełamać jego nieufność do mnie.

– W pani ustach brzmi to tak prosto jak formułka z podręcznika.

– Zasada kija i marchewki – odparła. – Podsunęłam mu marchewkę, a on myślał, że zrobi z niej kij, którym pana obije.

– Potem, nagle poważniejąc, spytała: – Co powiedziała ta kobieta?

– Że odprowadziła Rumunkę na dworzec kolejowy, kupiła jej bilet do Bukaresztu i potem ją zostawiła.

– Na długo przed odjazdem pociągu? – spytała natychmiast.

Ucieszył się, że ona również dostrzegła najsłabsze ogniwo w historii signory Gismondi.

– Około godziny.

– Gazety pisały, że zabójstwa dokonano niedaleko Palazzo del Cammello.

– Tak.

– To najwyżej dziesięć minut drogi na piechotę?

– Owszem.

– I?

– A jakie to ma znaczenie? – spytał. – Ta kobieta, Assunta Gismondi, twierdzi, że dała Rumunce około siedmiuset euro –

zaczął, a widząc, że signorina Elettra unosi brwi, powiedział: –

I ja jej wierzę. – Po czym, uprzedzając jej pytanie, szybko dodał: – Signora Gismondi to kobieta spontaniczna i myślę, że szczodra. – Naprawdę był przekonany, że oprócz uczciwości to właśnie te dwie cechy przywiodły ją tego ranka do komendy.

Signorina odsunęła się z krzesłem od biurka i założyła no-gę na nogę, ukazując krótką czerwoną spódniczkę i pantofle na tak wysokich obcasach, że uniosłyby ją ponad poziom wo-dy podczas najgorszego ataku acqua alta.

– Jeśli mi pan pozwoli na bezczelne z pozoru pytanie... –

powiedziała, a kiedy skinął głową, dokończyła: – Czy w tej sprawie przemawia pańska głowa czy serce?

– Jedno i drugie – odpowiedział po chwili namysłu.

– W takim razie – rzekła, wstając i niemal zrównując się z nim wzrostem – sądzę, że powinnam zejść do gabinetu porucznika Scarpy i skopiować akta sprawy.

– A nie ma ich pani tutaj? – Skinął ręką w stronę jej komputera.

– Nie. Porucznik woli wystukiwać raporty na maszynie i trzymać je u siebie w pokoju.

– Czy on je pani da?

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście, że nie.

– No to jak je pani wydobędzie? – spytał, udając głupiego.

Schyliła się i wysunęła szufladę. Wyjęła cienką skórzaną kasetkę, a kiedy ją otworzyła, zobaczył cały zestaw wytrychów i innych narzędzi, zatrważająco podobnych do tych, jakich sam czasem używał.

– Ukradnę, commissario. I skopiuję. A potem odłożę na miejsce. Ponieważ jednak porucznik jest z natury podejrzliwy i zapewne uważa, że ktoś będzie próbował zajrzeć do tych ważnych akt, ze szczególną ostrożnością umieszczę z powrotem między siódmą a ósmą kartką przełamaną wykałaczkę. –

Uśmiechnęła się szerzej. – Niech pan zaczeka na mnie w swoim biurze, commissario. Niedługo przyniosę panu kopię.

Musiał zaspokoić ciekawość.

– A gdzie on teraz jest? – Tak naprawdę chciał spytać, skąd ona wie, że Scarpy nie ma teraz w gabinecie.

– Na jednej z motorówek, w drodze do Fondamenta Nuove.

Brunettiemu wryły się w pamięć statyczne sceny, których się naoglądał jako dorastający chłopak, kiedy to pozytywny bohater i czarny charakter stali naprzeciw siebie twarzą w twarz, próbując zmiażdżyć się wzajemnie wzrokiem. Tu jednak nie chodziło o starcie adwersarzy, dobrego i złego; chyba że przyjęłoby się ciasny pogląd, iż włamywanie się do czyjegoś pokoju w komendzie w celu zrobienia nielegalnej kopii urzędowych dokumentów jest czymś nagannym. On miał zbyt wzniosłą wizję prawa, by dopuszczać taki pogląd, toteż podszedł do drzwi i przytrzymał je, przepuszczając signorinę Elettrę. A ona, mijając go, rzuciła z uśmiechem: 80

– To nie potrwa długo.

Jak ona to robi? – zastanawiał się w duchu, wracając do swojego biura. Nie interesowały go środki, które miała do dyspozycji, to znaczy komputer i przyjaciele po drugiej stronie linii telefonicznej, zawsze chętni wyświadczyć przysługę za cenę złamania zasad, a nawet prawa. Nie obchodziły go też techniki, które stosowała, by dowiedzieć się jak najwięcej o życiu prywatnym i słabostkach swoich zwierzchników. Najbardziej intrygowało go to, skąd miała w sobie tyle odwagi, by tak otwarcie i konsekwentnie im się przeciwstawiać, nie pró-

bując nawet ukryć, co jest dla niej priorytetem. Kiedyś mu wyjaśniła, jak to się stało, że porzuciła karierę w bankowości i zdecydowała się na – jak zapewne to wyglądało w oczach jej rodziny i przyjaciół – znacznie bardziej podrzędną pracę w policji. Odchodząc z banku, kierowała się zasadami. Przypuszczał, że teraz też tak jest, choć nigdy nie miał śmiałości jej spytać, o jakie właściwie zasady chodzi.

Usiadłszy ponownie za biurkiem, zrobił listę potrzebnych mu informacji: wielkość

posiadanego przez signorę Battestini majątku; do jakiego stopnia avvocatessa Marieschi była zaangażowana w jej sprawy i jakie to były sprawy; czy nazwisko zamordowanej kiedykolwiek pojawiło się w kartotece policyjnej; to samo w odniesieniu do jej męża; kto z sąsiedztwa wiedział o jej konfliktach z różnymi ludźmi; i – co mało prawdopodobne po upływie trzech tygodni – czy tamtego dnia ktokolwiek widział, by jakaś inna osoba oprócz Rumunki wchodziła lub wychodziła z mieszkania signory, i byłby gotów opowiedzieć o tym policji. Musiał także porozmawiać z lekarzem starszej pani.

Zanim skończył sporządzać listę, signorina Elettra była już 81

z powrotem, pamiętając o tym, by zapukać przed wejściem.

– Zrobiła pani też kopię dla Vianella? – spytał.

– Tak, commissario – odparła, kładąc na biurku cienką teczkę, drugą taką samą trzymając w ręce.

– Czy wie pani, gdzie on teraz jest? – spytał, starając się nie akcentować słowa „on”, by uniknąć wrażenia, iż sugeruje, że signorina Elettra zainstalowała elektroniczne czipy za uszami wszystkich pracowników komendy i może ich śledzić dzięki satelitarnemu połączeniu ze swoim komputerem.

– Powinien tu być po południu, commissario.

– Przeglądała to pani? – spytał, wskazując głową teczkę.

– Nie.

Wierzył jej.

– Może więc rzuciłaby pani okiem na kopię Vianella, zanim mu ją pani da? – Nie musiał wyjaśniać, dlaczego mu na tym zależy.

– Oczywiście, commissario. Chciałby pan, żebym zaczęła sprawdzać najbardziej oczywiste rzeczy?

Parę lat temu pewnie by ją dopytał, co ma na myśli, ale dzięki długiej znajomości wiedział, że owe „rzeczy” prawdopodobnie całkowicie pokrywają się z notatkami, które sporzą-

dził, więc powiedział tylko:

– Tak, proszę.

– Dobrze – odparła i wyszła.

Pierwszym dokumentem w aktach był raport z autopsji.

Długie doświadczenie kazało mu najpierw spojrzeć na podpis; to samo doświadczenie sprawiło, że poczuł ulgę, zobaczywszy gryzmoł wskazujący, że autopsję przeprowadził Rizzardi.

W chwili śmierci signora Battestini miała osiemdziesiąt trzy lata. Mogłaby, zgodnie z sugestią doktora, pożyć jeszcze z dziesięć. Jej serce i pozostałe narządy były w doskonałym stanie. Rodziła przynajmniej raz i w przeszłości przeszła za-bieg usunięcia macicy. Poza tym nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek cierpiała na jakąś poważną chorobę lub miała złamanie kości. Z powodu tuszy – ważyła ponad sto kilogramów – kolana nosiły oznaki nadmiernego obciążenia, do tego stopnia, że poruszanie się musiało jej sprawiać ogromną trudność, a wchodzenie po schodach było wręcz niemożliwe.

Zwiotczenie tkanki mięśniowej świadczyło o ogólnym braku aktywności.

Śmierć nastąpiła w wyniku serii ciosów – Rizzardi doliczył

się pięciu – zadanych w tył głowy. Ponieważ wszystkie były skupione mniej więcej w jednym miejscu, nie potrafił określić, który z nich spowodował zgon; najpewniej razem złożyły się na głęboki uraz. Zabójca, prawdopodobnie praworęczny, albo był znacznie wyższy od ofiary, albo też stał za plecami siedzą-

cej kobiety. Rozległe uszkodzenie powstałe wskutek ponawia-nych uderzeń wskazywało raczej na tę drugą możliwość, ponieważ ciosy spadały na głowę ofiary z co najmniej metrowej wysokości, po łuku.

Jeśli chodzi o narzędzie, Rizzardi nie chciał spekulować i nie wiadomo, czy powiedziano mu o posążku znalezionym w pobliżu ciała kobiety. W raporcie napisał tylko, że był to przedmiot o chropowatych brzegach, ważący od jednego do trzech kilogramów. Mógł być z drewna lub metalu. Poza tym patolog dodał jedynie, że wzór odcisnięty na roztrzaskanej czaszce wskazuje na przedmiot o kilku biegnących poziomo rowkach lub żłobieniach.

Do tej kartki dołączony był raport z laboratorium, który 83

stwierdzał, że żłobienia na posążku z brązu pasują do uszkodzeń na rozbitej czaszce signory Battestini, a odkryta na nim krew zgodna jest z grupą krwi ofiary. Na narzędziu zbrodni nie było natomiast odcisków palców.

Zgon nastąpił wskutek urazu i utraty krwi; poważne uszkodzenie tkanki mózgowej spowodowało tak duży uraz neurolo-giczny, że nawet gdyby starszą panią znaleziono, zanim wy-krwawiła się na śmierć, dotknięte nim narządy i tak przestały-by wkrótce funkcjonować.

Policyjne oględziny miejsca zbrodni były, jak się zdawało, w najlepszym razie pobieżne. Tylko w jednym pomieszczeniu zdjęto odciski palców, a do akt dołączono zaledwie cztery zdjęcia, wszystkie ukazujące zwłoki signory Battestini. Niewiele mówiły o tym, co jeszcze mogło się znajdować w pokoju, i zupełnie nic o „pospiesznym przeszukaniu”, jakie według raportu się tam odbyło. Brunetti nie wiedział, czy ta zdawko-wość wynikała z wyciągniętej naprędce konkluzji, że winna tej zbrodni jest Rumunka; miał nadzieję, że nie stało się to już standardową procedurą. Sprawdził podpisy widniejące pod raportem opisującym miejsce przestępstwa, lecz inicjały były nieczytelne.

Następny w kolejności był paszport, który miała przy sobie Florinda Ghiorghiu. Jeśli

dokument był fałszywy, to jakie nazwisko nosiła kobieta pochowana w Villa Opicina? Nawet tego nie wiedział, ponieważ w raporcie nie wspomniano, gdzie właściwie została pochowana. Zdjęcie ukazywało osobę o ciemnych oczach i ciemnych włosach i twarzy zupełnie po-zbawionej uśmiechu: kobieta patrzyła w obiektyw, jakby się bała, że zrobi jej krzywdę. W pewnym sensie była to uzasadniona obawa – dzięki zdjęciu uzyskała paszport, dzięki 84

paszportowi dostała pracę, to zaś doprowadziło do sceny, która rozegrała się w pociągu, i zakończonej śmiercią ucieczki po torach.

Kolejnymi dokumentami były fotokopie wydanych Florindzie Ghiorghiu zezwoleń na pobyt i podjęcie pracy we Włoszech. Na obu powtarzały się dane z paszportu. Udzielono jej zgody na sześciomiesięczny pobyt, chociaż wstemplowana do paszportu data wjazdu do Włoch była sprzed ponad roku. Signora Gismondi powiedziała, że kobieta pojawiła się późną wiosną, co oznaczało osiem lub dziewięć miesięcy nieudokumentowanego pobytu we Włoszech.

I to wszystko. Nie było tam informacji, jak do tego doszło, że Florinda Ghiorghiu zaczęła pracować u signory Battestini.

Ani żadnych pokwitowań potwierdzających, że płacono jej za te usługi, wystawionych przez chlebodawczynię lub przez nią samą. Brunetti wiedział, że taka jest norma i że większość tych kobiet pracuje na czarno, więc brak takich dokumentów go nie zaskoczył. W istocie opiekunki starzejącej się coraz bardziej populacji na ogół nie były oficjalnie zarejestrowane i najczę-

ściej pochodziły z Europy Wschodniej lub Filipin.

Wziął kopię akt i zszedł na dół, świadom tego, jak bardzo nieprofesjonalnie się zaraz zachowa. Kiedy przestąpił próg biura signoriny Elettry, ta spojrzała na niego spokojnie, jakby się go spodziewała.

– Sprawdziłam kartotekę w Ufficio Stranieri dla rejonu Veneto – zaczęła i szybko dodała:
– Niech się pan nie martwi, zrobiłam to legalnie. Wszystkie te informacje są tu, w naszym komputerze.

Puścił tę uwagę mimo uszu.

– Co pani znalazła?

– To, że Florinda Ghiorghiu miała całkowicie legalne zezwolenie na pracę – powiedziała i spojrzała na niego z uśmiechem.

– I co jeszcze? – spytał w reakcji na jej uśmiech.

– To, że aż trzy kobiety posługiwały się tym samym paszportem.

– Co takiego?

– Trzy – powtórzyła. – Jedna tu, w Wenecji, druga w Mediolanie, a trzecia w Trieście.

– To przecież niemożliwe.

– Cóż, powinno być niemożliwe – zgodziła się – ale najwyraźniej nie jest. – Zanim spytał, czy to ta sama kobieta ubiegała się o zezwolenie w różnych miastach, wyjaśniła: –

Jedna z nich rozpoczęła pracę w Trieście, podczas gdy ta zarejestrowana tutaj pracowała już u signory Battestini.

– A trzecia?

– Nie wiem. Z Mediolanem mam problem.

Zamiast poprosić o wyjaśnienie tej zagadkowej uwagi, powiedział:

– Czy jest jakiś centralny urząd lub rejestr, gdzie gromadzi się takie dane?

– W założeniu coś takiego istnieje – odparła – tyle że nie ma wymiany informacji pomiędzy prowincjami. Nasza ewi-dencja obejmuje tylko rejon Veneto.

– No to jak to pani ustaliła? – spytał z autentycznym zaciekawieniem, nie zdradzając przy tym ani cienia niepokoju co do legalności używanych przez nią metod.

Po długim namyśle powiedziała w końcu:

– Chyba wolałabym tego nie mówić, commissario. To znaczy mogłabym łatwo wymyślić odpowiedź, tak zawią 86

technicznie, że by jej pan nie zrozumiał, ale sądzę, że uczci-wiej będzie powiedzieć, że nie chcę tego wyjaśniać.

– W porządku – zgodził się, wiedząc, że ona ma rację. –

Ale jest pani pewna?

Przytaknęła ruchem głowy, a potem wyjaśniła krótko:

– Odciski palców.

Miała na myśli butne zapowiedzi rządu, że w ciągu pięciu lat zostanie stworzony kompletny rejestr zawierający odciski palców wszystkich osób mieszkających w kraju, zarówno Włochów, jak i cudzoziemców. Kiedy Brunetti po raz pierwszy usłyszał o takich planach, roześmiał się w głos: koleje państwowe nie potrafią utrzymać pociągów na szynach, szkoły walą się przy najlżejszym drzeniu ziemi, trzy osoby mogą używać

jednocześnie tego samego paszportu, a oni chcą zgromadzić ponad pięćdziesiąt milionów kompletów odcisków palców!

Jeden z jego znajomych, Anglik, zauważył kiedyś, że tutejsze życie przypomina mu życie w loony-bin, czyli w wariat-kowie. Brunetti nie wiedział, skąd się wzięło to określenie ani gdzie konkretnie to wariatkowo się znajduje, mimo to wierzył, że ów znajomy ma rację. Co więcej, uważał, że to najtrafniej-szy opis Włoch, jaki kiedykolwiek słyszał.

– Czy pani wie, gdzie teraz przebywają te pozostałe kobiety? Zna pani ich adresy?

– Znam adres tej mieszkającej w Trieście, tej z Mediolanu nie.

– A sprawdzała pani w innych prowincjach?

– Nie, tylko na Północy. Chyba nie warto tracić czasu na sprawdzanie reszty. Ci na dole nie kłopotczą się zbyt wiele takimi rzeczami jak zezwolenie na pobyt czy pracę.

Zwykle gdy słyszał wyrażane przez kogoś innego uprzedzenia, które sam podzielał, nie czuł goryczy. „Ci na dole”, „ci z Południa” – ileż to razy spotykał te określenia, ileż to razy sam ich używał! Pomyślał o tym, że on sam zawsze się pilnował, by nie wyrażać się w ten sposób przy dzieciach, przynajmniej nie tonem pogardy czy obrzydzenia, jaki wciąż czę-

sto słyszał. Lecz nie mógł zaprzeczyć, że już dawno temu doszedł do wniosku, iż południe kraju stanowiło nierozwiązywalny problem i wiele lat po tym, jak on przestał się zajmować zawodowo tym regionem, nadal pozostawało dziką krainą. Do przzerwania tych rozważań skłoniło go poczucie fair play, a także napływ wspomnień związanych z wydarzeniami, których sam niedawno był świadkiem tu, na tej och-jakże-wspaniałej Północy. Z zamyślenia wyrwał go również głos signoriny Elettry:

– ...pójść i obejrzeć jej mieszkanie.

– Słucham? – spytał. – Właśnie myślałem o czymś innym.

Co pani powiedziała?

– Że może byłoby dobrze, gdyby rzucił pan okiem na rzeczy w jej mieszkaniu i spróbował wywnioskować, co tam się mogło wydarzyć.

– Tak, koniecznie – zgodził się. Wskazał skopiowane akta, które położył na jej biurku. – Czy w teczce z oryginalnymi dokumentami znajdują się klucze do mieszkania signory Battestini?

– Nie, nic takiego nie ma.

– W aktach też nie ma o nich żadnej wzmianki. Scarpa nie mówił, czy mieszkanie jest nadal zapieczętowane?

– Nie.

Brunetti zastanowił się. Skoro nie było kluczy, to powinien 88

poprosić o nie Scarpę, ale nie chciał tego robić. Gdyby zażądał

ich wydania od najbliższej krewnej signory Battestini, z pewnością zaalarmowałyby to ludzi, których można by zaliczyć do kręgu podejrzanych, bo dowiedzieliby się, że policja znowu interesuje się tą sprawą, i w efekcie wzmogliby czujność.

W końcu zwrócił się do signoriny Elettry: – Czy pożyczycy-

łyby mi pani swoje wytrychy?

Rozdział 7

Zbliżała się pora obiadu, więc Brunetti, znając od dawna upór Paoli, która zawsze chciała wiedzieć, ilu domowników zjawi się na posiłek, zadzwonił, by ją zawiadomić, że nie przyjdzie.

– Cudownie – odparła.

- Że co, proszę? – spytał, nie kryjąc zdziwienia.
- Och! Nie bądź dziecinny, Guido. Raffi i Chiara wybierają się na obiad do swoich przyjaciół, więc będę mogła sobie poczytać przy jedzeniu.
- Co będziesz jeść? – spytał.
- A nie jesteś ciekaw, co zamierzam czytać?
- Nie. Chcę wiedzieć, co będziesz jeść.
- Czyli chcesz wiedzieć, co cię ominie?
- Tak.
- I się dąsać?
- Nie.

Nastąpiła długa przerwa i nawet na drugim końcu linii Brunetti słyszał, jak pracuje jej umysł. Wreszcie spytała:

- Jeśli obiecuję, że zjem tylko grissini z serem, a potem przejrzałą brzoskwinie, to poczujesz się lepiej?
- Och, daj że spokój, głuptasie – przekomarzał się ze śmiechem.

– Zgoda – oświadczyła. – A żeby ci wynagrodzić stracony obiad, obiecuję, że przyrządę na kolację steki z miecznika i krewetki.

– W sosie pomidorowym?

– Tak. A jeśli starczy mi czasu, to z pozostałych brzoskwiń zrobię lody.

– I może dodaj trochę mniej czosnku niż zwykle, co? – zasugerował, wykorzystując, jak mu się zdawało, silną pozycję przetargową.

– Do lodów?

Roześmiał się i odłożył słuchawkę, próbując wbić sobie w pamięć, żeby po powrocie do domu spytać Paolę, co czytała przy jedzeniu.

Dzięki temu miał czas, by wybrać się do mieszkania signory Battestini, co, jak uznał, najlepiej było zrobić w porze obiadowej, kiedy większość ludzi przebywa w domu, a upał wygania turystów z ulic. Z poczuciem, że nie jest to zadowalająca alternatywa dla porządnego posiłku, postanowił zjeść tramezzini, a po poważnym namyśle uznał, że najlepszym miejscem będzie bar Boldriniego. Poza tym ów lokal znajdował się mniej więcej na trasie, gdyby zdecydował się pójść na piechotę, i dzięki temu dotarłby do mieszkania signory Battestini około pierwszej.

Kocur imieniem Olga spał na swoim zwykłym miejscu, na podłodze przed kontuarem, i Brunetti ucieszył się, widząc, że wreszcie odrosła mu sierść, choć straciła dawną jedwabistość.

Choroba, która przed trzema laty dotknęła tego kota, stała się już lokalnym mitem: jedni twierdzili, że ktoś oblał zwierzę kwasem, inni tłumaczyli tę szokującą utratę sierści nagłą alergią. Tak czy inaczej wielu ludzi, w tym również Brunetti, pomagało płacić rachunki u weterynarza podczas długiej 91

rekonwalescencji Olgi. Teraz komisarz dał duży krok nad kotem i podszedł do kontuaru.

Dwóch tramezzini z szynką i cukinią, choć wybornych, i dwóch kieliszków białego wina nie można by, nawet w chwilowym zamroczeniu, nazwać obiadem, ale i tak uznał ich wyż-

szość nad pałeczkami chlebowymi, serem i podgniłą brzoskwinia Paoli, co pozwoliło mu uznać swój posiłek za coś mniej dotkliwego od pokuty.

Kiedy dotarł pod dom signory Battestini, zobaczył, że okiennice są pozamykane. Obok jedyne dzwonka przy drzwiach widniało jej nazwisko, nie mógł więc użyć swojego zwykłego podstępu polegającego na tym, że naciskał pierwszy lepszy dzwonek i mówił, że przyszedł z wizytą do kogoś innego, podając jedno z nazwisk znajdujących się przy dzwonekach. Teraz musiał posłużyć się wytrychem. Opanowując odruch, by się nie rozglądać i nie sprawdzać, czy ktoś go widzi, wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyjął najmniejszy wytrych. Był to prosty zamek, więc szybko dostał się do środka, znów pamiętając, by nie oglądać się za siebie, gdy pchnięciem otwierał drzwi.

W przedsionku powitał go chłód, przyjemny w porównaniu z upałem panującym na zewnątrz. Ściany były świeżo wybiełone, a przez okna nad drzwiami wpadało światło. Zaczął

wchodzić po schodach na piętro i stwierdził, że ściany i klatka schodowa są równie czyste, a marmurowe stopnie lśnią. Obok drzwi do mieszkania nie było wywieszki z nazwiskiem, zresztą wydawało się to niepotrzebne, skoro cały dom należał do signory Battestini. Schylił się, by obejrzeć zamek, i zobaczył, że to zwykła cisa, model, jaki otwierał już wielokrotnie. Tym razem wybrał średniej wielkości wytrych, wsunął go do 92

środką, zamknął oczy, by całkowicie skupić się na palcach, i zaczął szukać pierwszej zapadki.

Otwarcie zamka zajęło mu niecałą minutę. Pchnął drzwi na oścież, wymacał na ścianie kontakt, a kiedy włączył światło, najpierw zdziwił się, że kobiecie pokroju signory Battestini odpowiadało życie wśród takiej zimnej prostoty: jasny, masywny dywan na podłodze, dwa nieskazitelnie białe, proste krzesła, ciemnoniebieska kanapa, która wyglądała tak, jakby nigdy na niej nie siadano, i niski szklany stolik ze stojącym pośrodku płytkim drewnianym półmiskiem. Wtedy sobie uświadomił, co się tu musiało zdarzyć: taśma ogradzająca miejsce zbrodni została usunięta, albo przez usatysfakcjonowaną policję, albo przez gorliwych krewnych, a całe wnętrze w szybkim tempie odnowiono. Przyjrzał się uważnie umeblowaniu i zobaczył, że to, co wyglądało jak drewno klonowe, jest w istocie tanim laminatem – w takie sprzęty zwykle wyposaża się mieszkania wynajmowane turystom na tygodniowe turnusy.

Ruszył w głąb mieszkania i we wszystkich pomieszczeniach zauważył działanie tej samej chłodnej ręki; wszędzie białe meble i ściany, i zawsze jakiś kontrastujący z nimi ciemny mebel. Tylko w łazience zachowały się pewne elementy dające wyobrażenie o tym, jak mogło dawniej wyglądać to mieszkanie: zainstalowano wprawdzie nową armaturę, lecz pozostawiono różowe kafelki, częściowo zmatowiałe ze starości.

Otworzył szafy i zobaczył nową pościel i ręczniki, niektóre wciąż w foliowych opakowaniach; w kuchni nowe talerze i sztucce. Zajrzał pod łóżka i na górne półki szaf, ale nie znalazł

żadnych śladów nieżyjącej właścicielki. Z obawy przed za 93

alarmowaniem sąsiadów pozostawił zamknięte okiennice i czuł, jak nieznośnie gorąco rozlewa się po całym jego ciele.

Wyszedł z mieszkania, ruszył schodami na górę, ignorując drzwi, które minął na następnym piętrze, i dotarł na poddasze.

Tu też zobaczył drzwi z rozeschniętego i popękanego ze staro-

ści drewna. Do drzwi i futryny przykręcone były dwie identyczne metalowe płytki z pierścieniami połączonymi kłódką.

Zszedł z powrotem do dawnego mieszkania signory Battestini, ale choć zajrzał we wszystkie możliwe miejsca, nie znalazł

żadnych narzędzi. Wszedł więc do kuchni, wziął nowy, najwyraźniej nieużywany nóż ze stali nierdzewnej i wrócił na poddasze.

Choć drewno futryny było wyschnięte, musiał włożyć sporo wysiłku, żeby odkręcić metalową płytkę. Otworzył drzwi i zajrzał w głąb niskiego strychu. Na szczęście znajdowały się tu dwa okna, niezbyt czyste, ale wpuszczające dość światła, by Brunetti mógł oszacować wzrokiem rozmiary pomieszczenia i dojrzeć zgromadzone w nim przedmioty.

Przy jednej ścianie stało podwójne łóże z rzeźbioną drewnianą ramą, w rodzaju tych, jakie pamiętał z domu swojej babci, a obok toaletka w podobnym stylu, z marmurowym blatem i przymocowanym do tylnej ścianki łuszczącym się lustrem. Były tam również przysunięte bokiem do ściany i ustawione na wprost siebie dwa proste krzesła, a pomiędzy nimi różowy kosz na bieliznę.

Tuż pod oknem leżały ułożone w sterty kartonowe pudła.

Gdy Brunetti szedł w ich stronę, pod jego stopami chrzęścił

brud. Otworzył leżące na wierzchu, zadowolony, że nie jest zaklejone taśmą, i zobaczył w środku stare buty. Zdjął pudło ze sterty i postawił na podłodze, po czym otworzył następne.

Mieściło, jak się zdawało, dawną zawartość kuchennych 94

szuflad: nóż do krojenia mięsa z modelowanym kościanym trzonkiem, korkociąg, zdekompletowane srebrne sztucce, dwie brudne podstawki pod garnki oraz różne metalowe przedmioty, których przeznaczenia nie potrafił się domyślić. Trzecie pudło, cięższe od dwóch pierwszych, wypełniały zgniecione gazety. Rozprostował jedną i zobaczył, że nosi datę sprzed dwóch tygodni. W środku zwitka, zagnieżdżona między stro-nami sportowymi, znajdowała się niechlujnie pomalowana figurka Matki Boskiej, wyraźnie niezadowolona z tego, że spędzi przyszłość owinięta w najnowszy skandal dopingowy.

Oprócz niej, tym razem w otulinie zrobionej z pierwszej strony działu gospodarczego „Il Gazzettino”, znalazł kolejny triumfalny okaz tego, co Paola nazywała „kościelną kiczomanią” – kulę z pleksiglasu, w której śnieg padał na wykonaną z plastiku scenę narodzin Chrystusa.

Następne pudło zawierało koronkowe serwetki i ochrania-cze na zagłówek, wszystkie poplamione farbą, różne skrawki materiału, prawdopodobnie używane w kuchni, oraz ścierki, których brzydził się dotknąć. W pudle stojącym niżej znajdowało się około tuzina bawełnianych męskich koszul, wszystkie białe, starannie wyprasowane i poskładane, a pod nimi sześć czy siedem krawatów w kolorowe paski, każdy zapakowany osobno w celofan. Kolejne pudło było cięższe, a kiedy je otworzył, znalazł w nim rozmaite papierzyska: stare czasopisma, gazety, koperty wciąż prawdopodobnie zawierające listy, pocztówki, pokwitowania za opłacone rachunki i różne inne szpargały, których nie potrafił zidentyfikować w przytłumio-nym świetle. Nawet się nie łudził, że zdoła zabrać ze sobą to wszystko, nie miał więc innego wyjścia, jak zrobić selekcję i wziąć tylko to, co wydawało się godne uwagi.

Znów oblało go gorąco – wciskało się przez skórę, wdzie-rało do nosa razem z kurzem. Wrzucił papiery z powrotem do pudła i zaczął ściągać marynarkę, która przywarła mu do pleców przez koszulę; obie były przesiąknięte potem. Gdy zsunął

ją z ramion, usłyszał odgłos zamykanych na dole drzwi i zastygł bez ruchu, z marynarką w połowie pleców.

Dobiegły go głosy: jeden piskliwy – kobiety albo dziecka –

i wtórujący mu znacznie niższy, bez wątpienia męski. Głosy tłumiły dźwięk kroków na schodach. Próbował sobie przypomnieć, czy zgasił światło i zamknął za sobą drzwi mieszkania.

Miały rodzaj zamka, który zatrzaskiwał się bez użycia klucza.

Wiedział, że zostawił je otwarte, kiedy po raz pierwszy wszedł

na poddasze, i mógł jedynie mieć nadzieję, że pamiętał o tym, by je zamknąć za drugim razem.

Głosy się przybliżyły, wtórując sobie nawzajem z taką czę-

stotliwością, że porzucił pomysł, iż jedną z tych osób jest dziecko. Usłyszał, jak drzwi otwierają się i zatrzasują; potem głosy ucichły. Zamknął oczy, żeby lepiej słyszeć. Nie miał

pojęcia, do którego mieszkania przybysze weszli: czy do tego położonego piętro niżej, czy do zajmowanego dawniej przez signorę Battestini. Zupełnie nie był świadomy hałasu, jaki wywołują jego kroki na drewnianej podłodze, ale teraz to sprawdził, przesuając się odrobinę w bok, i znów zamarł, gdy deski zaskrzypiały.

Wciągnął z powrotem marynarkę i pochylił się, żeby po-wkładać papiery do pudła. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest za pięć druga. Dziesięć minut później zaczął ponownie wyjmować papiery i obracać je do światła, próbując coś przeczytać. Po chwili zdał sobie sprawę, że nie może się na nich skupić – nie w sytuacji, gdy dwoje ludzi przebywa w mieszkaniu poniżej – więc po raz kolejny odłożył je do pudła. Wkrótce 96 zaczęły mu sztywnieć plecy, toteż zrobił kilka skrętów talii, żeby pozbyć się napięcia.

Minął kolejny kwadrans, zanim znowu usłyszał głosy; przedtem ktoś cicho otworzył drzwi. Jaką historyjkę opowie, jeśli ci ludzie postanowią wejść na górę i przyłapią go na strychu? Z formalnego punktu widzenia wciąż było to miejsce przestępstwa, więc mógłby twierdzić, że ma prawo tu przebywać. Ale otwarty wytrychem zamek i wyłamane drzwi na strychu sugerowały działania wykraczające poza rutynową policyjną procedurę i z pewnością przysporzyłyby mu to kłopotów.

Przez chwilę głosy rozbrzmiewały z tym samym natężeniem, apotem stopniowo osłabły. W końcu usłyszał, jak zamykają się frontowe drzwi, i w całym domu zaległa cisza. Cofnął się dwa kroki i wyciągnął ramiona wysoko nad głowę, wkładając prawą rękę prosto w

pajęczynę. Natychmiast ją opuścił i wytarł o przód marynarki. Potem obrócił się i ruszył do drzwi, potrząsając rękami, żeby pozbyć się skumulowanego stresu.

Nagle coś sobie przypomniał i podszedł do pudła ze ścierkami kuchennymi, otworzył je i wyciągnął plecioną plastikową siatkę na zakupy, jakie były popularne w latach jego dzieciństwa, lecz dawno temu wyszły z użycia. Nasunął duże okrągłe uchwyty na lewy nadgarstek, wytarł dłoń ręcznikiem, po czym wcisnął ją do jednego z pudeł.

Podszedł znów do kartonu z papierami i szybko je posortował, zostawiając czasopisma i gazety, a wybierając tylko to, co wyglądało jak listy lub dokumenty. Rozchylił szeroko siatkę i zaczął w niej byle jak upychać papiery, nagle owładnięty przemożnym pragnieniem, by wydostać się z tej ciasnej przestrzeni, uwolnić od tego gorąca oraz przenikliwego zapachu kurzu i zatęchłych przedmiotów.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, za pomocą noża kuchenne-go przykręcił z powrotem metalową płytkę, a potem wsunął

nóż do kieszeni marynarki. Na pierwszym piętrze sprawdził

drzwi do mieszkania: były zatrzaśnięte. Nie zamierzał używać wytrycha, żeby się upewnić, czy są zamknięte również na klucz.

Zszedł na parter, otworzył drzwi i wyszedł na popołudniowy skwar, pocieszając się myślą, że promienie słońca oczyszczą go z brudu i z zapachu, jakim przesiąkł na strychu.

Kiedy dotarł do komendy, tuż po trzeciej, pierwszą osobą, którą zobaczył, był porucznik Scarpa, wysiadający właśnie z policyjnej motorówki. Ponieważ nie mogli uniknąć spotkania w wejściu do budynku, Brunetti przygotował sobie jakąś niewinną formułkę powitalną, trzymając plastikową siatkę za plecami, żeby porucznik jej nie zobaczył.

– Wdał się pan w bójkę, commissario? – spytał Scarpa, wyraźnie zainteresowany ciemnymi smugami na marynarce i koszuli Brunettiego.

– Och, nie. Potknąłem się, kiedy przechodziłem koło pla-cu budowy, i wpadłem na ścianę – odparł komisarz z udawaną szczerością. – Ale dziękuję za troskę.

Cały czas chowając siatkę za siebie, skinął głową wartownikowi, który otworzył już drzwi, a ten odpowiedział mu tym samym gestem, po czym krótko zasalutował porucznikowi.

Uznawszy, że nie musi nic więcej mówić Scarpie, Brunetti przeszedł przez hol i ruszył na górę po schodach. Nagle usłyszał za plecami głos Scarpy:

– Nie widziałem takiej siatki całe wieki, commissario.

Niegdyś nasze matki nosiły w nich zakupy. – Porucznik zrobił

dłuższą pauzę, a potem dodał: – Kiedy jeszcze mogły robić zakupy.

Stawiając krok, Brunetti zachwiał się lekko, niedostrzegal-nie, tak jak niedostrzegalne były pierwsze symptomy szaleń-

stwa, które przed dziesięcioma laty ogarnęło jego matkę i trzymało ją do dziś. Nie miał pojęcia, jak Scarpa się dowiedział o jej chorobie; właściwie nie był pewien, czy on w ogóle o tym wie, lecz skąd w takim razie te częste aluzje do matek? I skąd ta powtarzająca się, zawsze pod płaszczykiem niby-żartu, sugestia, że każda luka w pamięci lub chwilowa niedyspozycja musi być oznaką demencji?

Puściwszy mimo uszu uwagę porucznika, Brunetti poszedł

do siebie. Zamknął drzwi, położył siatkę na biurku, a potem zdjął marynarkę i zaczął ją oglądać. Jego ulubiona, z szarego płótna, miała teraz z przodu szerokie czarne smugi biegnące z góry na dół; wątpił, żeby dało się je usunąć w praniu. Powiesił

marynarkę na oparciu krzesła i poluźnił krawat. Dopiero teraz zauważył, jakie brudne ma ręce, zszedł więc do łazienki piętro niżej i je umył, a potem spryskał twarz wodą i przeciągnął

mokrymi dłońmi po karku.

Usadowił się za biurkiem, przysunął do siebie siatkę i wy-garnął z niej plik papierów. Porzuciwszy pomysł, żeby je po-segregować, zaczął czytać kolejno jeden po drugim. Rachunki za gaz, prąd, wodę i wywóz śmieci, wszystkie zapłacone z konta w Uni Credit, były pogrupowane zależnie od usługi komunalnej, spięte i ułożone według dat. Znajdował się tam również plik listów ze skargami od sąsiadów, także od signory Gismondi, narzekających na hałas telewizora – wszystkie da-towane cztery lata temu i wysłane raccomandate. Była też kopia aktu zawarcia małżeństwa oraz pismo z Ministero dell’

Interno do męża signory, potwierdzające odbiór raportu z dwudziestego trzeciego czerwca 1982 roku.

Potem natknął się na jeszcze jeden plik listów, adresowanych do signory Battestini albo jej męża, czasem do obojga.

Otwierał je kolejno i szybko przebiegał wzrokiem pierwszy akapit; potem przejrzał pozostałe, szukając jakichś istotnych informacji. Niektóre, napisane niewprawną ręką, pochodziły od siostrzenicy signory, Grazielli; we wszystkich wyrażała podziękowanie za prezent gwiazdkowy, choć żadnego nie wymieniła z nazwy. Z biegiem lat zarówno charakter pisma Grazielli, jak i dramatycznie ubogie słownictwo nie uległy najmniejszej poprawie.

Jedna z kopert, opatrzona nazwiskiem Grazielli i adresem zwrotnym, była pusta; znalazł natomiast luźną kartkę zapisaną innym kanciasłym pismem. Na lewym marginesie widniały cztery zestawy inicjałów, obok każdego biegły rzędy cyfr, poprzedzone literą lub literami, czasem litery znajdowały się za cyframi.

Usłyszał, że ktoś wymawia jego nazwisko, więc podniósł

wzrok i zobaczył w progu Vianella. Zamiast zwyczajowo go powitać, zaskoczył go pytaniem:

– Lubi pan łamigłówki, prawda?

Inspektor skinął głową, przeszedł przez pokój i usiadł na jednym z krzeseł stojących przed biurkiem. Brunetti podał mu kartkę.

– Potrafi pan to rozszyfrować?

Vianello wziął kartkę, położył ją przed sobą i podpierając brodę dłońmi, zaczął się w nią wpatrywać. Komisarz tymczasem dalej wertował papiery.

Po kilku minutach, nie odrywając wzroku od kartki, Vianello spytał:

– Mogę prosić o odpowiedź?

– Znalazłem to na strychu w domu tej starej kobiety, którą zamordowano w zeszłym miesiącu.

Znów upłynęło kilka minut.

– Ma pan tu książkę telefoniczną? – spytał w końcu inspektor.

Brunetti, zaintrygowany, schylił się i z dolnej szuflady biurka wyjął wenecki spis telefonów.

Vianello otworzył książkę na początku i przerzucił kilka stron. Potem wziął kartkę i położył ją na otwartej stronie.

Ustawił palec wskazujący prawej ręki na pierwszej pozycji na liście, a lewym zaczął sunąć w dół strony, której Brunetti nie widział ze swego miejsca. Wyraźnie zadowolony, inspektor przeniósł palec prawej ręki na następną pozycję na liście, podczas gdy za pomocą palca lewej wciąż poszukiwał odpowiedniego wpisu w książce.

Usatysfakcjonowany tym, co odkrył, chrząknął i znów przesunął palec prawej ręki.

Trwało to aż do chwili, gdy doszedł do czwartej pozycji, a wtedy spojrzął na komisarza z uśmiechem.

– I co? – spytał Brunetti.

Vianello odwrócił książkę i pchnął ją ku niemu przez biurko. Na stronie po prawej Brunetti zobaczył hasło BAR napisane drukowanymi literami, a poniżej kilka wymienionych w porządku alfabetycznym nazw miejscowych barów. Wtedy w polu widzenia pojawił się palec wskazujący Vianella, kierując jego uwagę na stronę obok. Natychmiast zrozumiał: BAN-CHE. Oczywiście, banki! Więc ta lista zawierała inicjały ich nazw i numery kont.

– Znam też nazwę jednostki monetarnej Kambodży na trzy litery, zaczynającą się na „k” – powiedział inspektor.

Rozdział 8

Po krótkiej wymianie zdań Brunetti zszedł na dół i zrobił

kilka kopii kartki. Potem razem z Vianellem dopisali obok skrótów pełne nazwy banków, a kiedy mieli już je wszystkie w komplecie, komisarz zapytał:

– Jest pan na tyle biegły, żeby się do nich dostać? – Pozostawił domysłowi inspektora, że chodzi mu o komputer, a nie o kilof czy łom.

Vianello z żalem pokręcił głową.

– Niestety, nie, commissario. Tylko raz pozwoliła mi spróbować, z bankiem w Rzymie, ale zostawiłem za sobą tak widoczny ślad, że następnego dnia jeden z jej znajomych wysłał do niej e-mail z pytaniem, co też wyprawia.

- Wiedział, że to jej sprawka?
- Ten facet twierdził, że rozpoznał jej technikę po sposobie, w jaki wszedłem do systemu.
- To znaczy?
- Och, i tak by pan nie zrozumiał, commissario – rzekł Vianello, naśladowując niczym prześmiewcze echo ton signoriny Elettry. – Pomogła mi wystartować, wprowadzając kod dostępu, a potem pozwoliła szukać konkretnej informacji.
- Jaka to była informacja? – zainteresował się Brunetti i dodał: – Jeśli wolno spytać.

– Chciała, żebym spróbował ustalić, jaka suma została przelana na czyjeś konto z pewnego rachunku w Kijowie.

– Czyje konto?

Vianello zacisnął wargi, namyślając się przez chwilę, po czym wymienił nazwisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Handlu, nader gorliwego w załatwianiu rządowych pożyczek dla Ukrainy.

– Udało się to odkryć? – spytał komisarz.

– Odezwały się dzwonki alarmowe – zaczął Vianello, a potem wyjaśnił: – To znaczy w przenośni. Więc wyszedłem z systemu najszybciej, jak się dało, ale mimo wszystko zostawi-

łem za sobą ślady.

– Po co chciała zdobyć te informacje? – nalegał Brunetti.

– Chyba coś podejrzewała, commissario. Nie chyba, na pewno. Dlatego wiedziała, jak mną pokierować.

– Wyjaśniła to swojemu znajomemu?

– O nie! Gdyby się dowiedział, że pomaga policji, toby tylko pogorszyło sprawę.

– Sugeruje pan, że żadna z tych osób, które signorina Elettra prosi o pomoc, nie wie, gdzie ona pracuje?

– Nie. Gdyby ktoś się zorientował, oznaczałoby to koniec wszystkiego.

– A ci ludzie myślą, że gdzie ona pracuje?

Brunetti zdawał sobie sprawę, że nietrudno byłoby ustalić, skąd pochodzą wysyłane przez nią wiadomości: ślad w oczywisty sposób prowadził do weneckiej komendy. Wszyscy pracownicy mieli adresy e-mailowe, nawet on kilka razy skorzystał ze swojego i nie miał wątpliwości, że odbiorcy wiadomości doskonale wiedzieli, skąd zostały wysłane.

– Sądzę, że ona stosuje jakąś drogę obejścia – powiedział ostrożnie Vianello.

Choć komisarz nie wiedział, jak to można zrobić, wyjaśnienie inspektora utwierdziło go w przekonaniu, że z pewnością tak się to odbywa.

– Obejścia, czyli jaką?

– Może używa adresu z poprzedniego miejsca pracy.

– Banca d'Italia? – zdumiał się Brunetti. A gdy Vianello skinął głową, spytał: – Mówi pan, że wysyła i odbiera wiadomości przez skrzynkę mailową w miejscu, w którym nie pracuje już od lat? – Inspektor ponownie skinął głową, więc Brunetti podniósł głos: – Przecież to bank państwowy, na litość boską! Jak mogliby pozwolić, żeby osoba, która od dawna tam nie pracuje, wciąż używała ich adresu?

– Nie sądzą, żeby na to pozwolili, commissario – zgodził

się Vianello, po czym wyjaśnił: – To znaczy gdyby ten ktoś wiedział, że ona go używa.

Kontynuowanie tej rozmowy, uświadomił sobie nagle komisarz, prowadziłoby albo do szaleństwa, albo, co bardziej niebezpieczne, do pozyskania informacji o przestępstwie – informacji, której być może za jakiś czas musiałby zaprzeczyć, zeznając pod przysięgą. Nie mogąc jednak poskromić ciekawości, spytał:

– Udało się panu to odkryć?

– Co odkryć?

– No, ile pieniędzy tam wpłynęło.

– Nie.

– A jej się udało?

– Przypuszczam, że tak.

– Skąd pan wie? Powiedziała panu?

– Nie. Powiedziała, że to informacja objęta tajemnicą zawodową i że jej nie uzyskam, chyba że sam ją zdobędę.

Te słowa przywiodły Brunettiemu na myśl sentencję: „Nawet złodziej ma swój honor”, ale podziw i respekt kazały mu odsunąć na bok te dywagacje i ponownie skierować uwagę na bieżące sprawy.

– W takim razie możemy ją o to poprosić?

– Myślę, że tak.

Obaj wstali równocześnie, Vianello z kartką zawierającą rozszyfrowane inicjały, i zeszli na dół, by zobaczyć, czy signorina Elettra jest u siebie.

Owszem, była, lecz, niestety, był tam również jej bezpo-

średni zwierzchnik, vice-questore Giuseppe Patta, tego dnia ubrany w kremowy lniany garnitur i czarną koszulę, też lnianą; ciemnopopielaty krawat przetykały biegnące ukośnie nitki w tym samym kolorze co garnitur. Brunetti zauważył, choć wcześniej umknęło to jego uwadze, że signorina Elettra ma na sobie czarny lniany kostium i kremową jedwabną bluzkę.

Przyszło mu do głowy, że oboje to zaplanowali: on zapewne z chęci naśladownictwa, ona dla parodii.

Widząc kartkę w dłoni Vianella, Patta spytał:

– A cóż to takiego, inspektorze? Coś, co ma związek z ab-surdalnym pomysłem komisarza, że ta kobieta nie została zamordowana przez Rumunkę?

– Ależ nie, vice-questore – rzekł spokojnie Vianello. –

To szyfr, którego używam, obstawiając drużyny w totalizato-rze. – Wyciągnął kartkę przed siebie, jakby chciał ją pokazać Patcie. – Widzi pan, w pierwszej kolumnie są zaszyfrowane nazwy drużyn, a obok numery zawodników, którzy według mnie...

– Wystarczy, Vianello – przerwał mu Patta z nieskrywaną irytacją. Potem, zwracając się do Brunettiego, powiedział: –

Chciałbym zamienić z panem słówko, commissario, o ile nie jest pan zajęty typowaniem zwycięskich drużyn.

– Ależ naturalnie, comandante – rzekł Brunetti i ruszył za nim do gabinetu, pozostawiając Vianella z signoriną Elettra.

Patta podszedł do swego biurka, lecz nie zaproponował

Brunettiemu, żeby usiadł – dobry omen, bo to znaczyło, że vice-questore się śpieszy. Dochodziła już piąta: Patcie nie pozostało dużo czasu, jeśli policyjna motorówka miała go zawieźć do Cipriani, żeby sobie popływał, a potem odwieźć do domu punktualnie na kolację.

– Nie będę pana długo zatrzymywał, commissario.

Chciałbym jedynie przypomnieć, że ta sprawa jest zakończona, niezależnie od tego, jakie idiotyczne pomysły przyjdą panu do głowy – zaczął, nie zadając sobie trudu, by wyszczególnić, które z pomysłów Brunettiego uważa za idiotyczne, a tym samym dopuszczając możliwość, że wszystkie takie są. – Fakty mówią same za siebie. To Rumunka zabiła tę biedną staruszkę, próbowała uciec z Włoch, a potem dała niezbity dowód swojej winy, unikając rutynowej kontroli policyjnej na granicy. – Złożył dłonie w stożek, na chwilę przytknął palce wskazujące do ust, potem je rozłączył i rzekł: – Nie życzę sobie, żeby pracę tego wydziału policji kwestionowała po-dejrzliwa i nieodpowiedzialna prasa. – Uniósł podbródek i całą uwagę, a także wzrok, skupił na Brunettim. – Czy wyraziłem się jasno, commissario?

– Najzupełniej, comandante.

– Dobrze – powiedział, zapewne sądząc, że potwierdzenie Brunettiego oznacza, że postąpi on tak, jak mu polecono.

Komisarz wymamrotał jakiś grzecznościowy zwrot i opu-

ścił gabinet Patty. Zobaczył, że signorina Elettra siedzi przy swoim biurku i czyta czasopismo; Vianella nie było. Kiedy na niego spojrzała, uniósł palec i dotknął czubka nosa, a potem uniósł go jeszcze wyżej, wskazując w kierunku swojego biura.

Za plecami usłyszał, że otwierają się drzwi gabinetu Patty.

Signorina Elettra, ignorując Brunettiego, wbiła wzrok w kobiety magazyn i od niechcenia przewróciła kartkę.

Kiedy wszedł do swego biura, zobaczył Vianella, który stał

na palcach i wychylał się przez okno, spoglądając w dół na nabrzeże przed komendą. Brunetti usłyszał odgłos zapuszczenia silnika jednej z motorówek, która po chwili odbiła od brzegu i zaczęła się oddalać w stronę Bacino oraz – co wielce prawdopodobne – Cipriani. Vianello, nic nie mówiąc, odwró-

cił się od okna i podszedł do krzesła.

Chwilę później zjawiała się signorina Elettra i zamknęła za sobą drzwi. Usiadła na krześle obok Vianella, a Brunetti zajął

miejsce za biurkiem. Uznał, że nie ma potrzeby pytać, czy inspektor powiedział jej, co należy zrobić.

– Spróbuje pani je wszystkie posprawdzać? – spytał.

– Tylko z tym będzie problem – odparła, wskazując nazwę mniej więcej w połowie listy. – Deutsche Bank. Przejęli dwa inne banki, ale ich tutejsze biuro jest nowe. Poza tym nigdy dotąd o nic się do nich nie zwracałam, więc może mi to zająć trochę czasu, ale jeszcze dziś po południu wyślę zapytania do pozostałych banków. Do jutra powinnam otrzymać odpowiedzi.

Sposób, w jaki to sformułowała, mógłby komuś nieobeznanemu z jej metodami działania zasugerować, że wszystko odbędzie się zgodnie ze ścisłą procedurą bankową: wszelkie informacje zostaną udzielone na mocy nakazów sądowych, wydanych na wystosowane odpowiednimi kanałami żądanie policji. Ponieważ proces ten trwał zwykle miesiącami, a nowe przepisy prawne jeszcze bardziej go utrudniły – jeśli wręcz nie uniemożliwiły – w rzeczywistości wyglądało to tak, że informacje były wyciągane z bankowych rejestrów z taką samą łatwością jak portfel z tylnej kieszeni niczego niepodajejrzącego turysty na vaporetto linii numer jeden.

– A co pan sądzi? – spytał Brunetti, spoglądając na Vianella.

Uprzejmie skinąwszy głową signorinie Elettrze, by pokazać, że przekazała mu treść rozmowy Brunettiego z signorą Gismondi, inspektor powiedział:

– Jeśli kobieta, z którą pan rozmawiał, mówi prawdę, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że signora Ghiorghiu nie zabiła starszej pani. Co z kolei oznacza, że zrobił to ktoś inny, i zgadzam się, że rejestry bankowe to na początek najlepsze miejsce, gdzie trzeba szukać odpowiedzi na pytanie: dlaczego ją zamordowano?

– Dopuszcza pan taką myśl, commissario, że to jednak ona dokonała zabójstwa? – wtrąciła się signorina Elettra.

Inspektor spojrział na niego, również ciekaw odpowiedzi.

– Jeśli widziała pani zdjęcia zwłok signory Battestini, to musiała też pani widzieć rany po ciosach, które zadano jej w głowę. – Przyjmując ich milczenie za wyraz aprobaty, ciągnął:

– Według mnie teza, że signora Ghiorghiu mogłaby tam wrócić i zrobić to z zimną krwią, nie ma żadnego sensu. Miała 108

sporo pieniędzy, miała bilet powrotny do domu, no i była już na dworcu. A z tego, co mówiła signora Gismondi, wynikało, że zdążyła tymczasem ochłonąć. Nie widzę więc żadnego powodu, dla którego miałyby wrócić i zabić tę starą kobietę, a jeśli nawet by zabiła, to nie w taki sposób. To był napad szalu, nie wyrachowanie.

– Albo wyrachowanie upozorowane na napad szalu – podsunął Vianello.

To otwierało nowe pole rozważań nad nikczemnością ludzkiej natury, na które Brunetti wolał się nie zapuszczać, ale skinął głową, niechętnie przyznając mu rację. Zamiast jednak spekulować na temat możliwych scenariuszy, wolał omówić faktyczną sytuację, więc zwrócił się do signoriny Elettry:

– Jutro porozmawiam z jej prawniczką, a także z siostrzenicą. – Po czym powiedział do Vianella: – Chciałbym, żeby poszedł pan i popytał ludzi z sąsiedztwa. Może ktoś pamięta, że zauważył coś tamtego dnia.

– Czy to oficjalne dochodzenie? – spytał inspektor.

Brunetti westchnął.

- Lepiej by było, żeby pan zadawał pytania jakby mimochodem, jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe.
 - Spytam Nadię, czy zna kogoś, kto tam mieszka – powiedział Vianello. – A może razem wybierzemy się na drinka albo na obiad do tej nowej knajpki przy Campo dei Mori.
- Brunetti zaaprobował plan Vianella uśmiechem, a potem zwrócił się do signoriny Elettry:
- Druga rzecz, którą chciałbym ustalić, to czy ona nie miała w jakiś sposób do czynienia z policją.
 - Kto? Rumunka?
 - Nie, signora Battestini.

– Królowa przestępców po osiemdziesiątce – zachichotała. – Ale bym chciała kogoś takiego znaleźć.

Brunetti wymienił nazwisko byłego premiera i zasugerował, że może najpierw poszukałaby w kartotece informacji na jego temat.

Vianello roześmiał się w głos, a ona z wdziękiem się uśmiechnęła.

– Warto by przy okazji sprawdzić jej męża i zmarłego syna, skoro już się pani tym zajmie – powiedział Brunetti, kierując ich uwagę na bieżącą sprawę.

– A prawniczkę?

– Też.

– Uwielbiam polować na prawników – nie mogła się powstrzymać. – Wydaje im się, że sprytnie potrafią ukrywać różne rzeczy, ale bardzo łatwo wypłoszyć ich z zarośli. Aż za łatwo.

– A nie wolałaby pani dać im równych szans?

To pytanie przywołało ją do rozsądku.

– Miałabym dać prawnikowi równe szanse? Myśli pan, że zwariowałam?

Rozdział 9

Ponieważ miał jeszcze do przeczytania zeznania świadków dotyczące kradzieży na lotnisku, a poza tym nie był gotowy na rozmowę z prawniczką, Brunetti zadzwonił jedynie do kancelarii avvocatessa Maneschi i poprosił o umówienie go na spotkanie następnego ranka. Kiedy sekretarka spytała, czego mia-

łaby dotyczyć rozmowa, powiedział, że chodzi o spadek, i podał swoje nazwisko, nie wspominając, że pracuje w policji.

Następną godzinę spędził na lekturze wzajemnie wykluczających się zeznań. Na szczęście do każdego dołączone było zdjęcie, dzięki czemu mógł odnaleźć przesłuchiwaną osobę na obrazie zarejestrowanym przez ukryte kamery wideo w holu bagażowym lotniska. Stąd wiedział, że jedynie dwunastu spo-

śród dwudziestu sześciu aresztowanych wyjawilo całą prawdę, bo tylko ich zeznania odpowiadały godzinom nagrań, które oglądał w zeszłym tygodniu, a które pokazywały wszystkich oskarżonych dopuszczających się różnego rodzaju kradzieży.

Brunetti nie chciał już poświęcać czasu na to dochodzenie, zwłaszcza że obrona wytoczyła argument, iż skoro kamery zostały zainstalowane bez wiedzy osób filmowanych, to naruszały „prywatność” oskarżonych – podpierając się wielofunkcyjnym, zapożyczonym od Anglików słowem *privacy*, by 111

wypełnić lukę we własnym języku, w którym brakowało odpowiedniego terminu. Gdyby tę argumentację uwzględniono, a zdawał sobie sprawę, że to bardzo prawdopodobne,

oskarżenie zostałyby oddalone, ponieważ wszyscy, którzy przyznali się do winy, natychmiast wycofali swoje zeznania.

Poza tym ci ludzie wciąż byli zatrudnieni przy bagażach, bo skoro konstytucja gwarantowała każdemu obywatelowi prawo do pracy, nie wolno było ich zwolnić.

„Wariatkowo, wariatkowo” – wyszeptał pod nosem i uznał, że już najwyższa pora wracać do domu.

Kiedy się tam zjawił, stwierdził, że Paola dotzymała słowa, bo już w progu owionęły go zapachy, które stanowiły mieszanekę owoców morza, czosnku i – tego nie był pewien – prawdopodobnie szpinaku. Postawił koło drzwi torbę, do któ-

rej wcześniej wepchnął pobrudzoną marynarkę, i ruszył korytarzem do kuchni. Paola siedziała przy stole, z kieliszkiem wina stojącym przed nią, i czytała.

– No dobrze – powiedział. – Teraz cię zapytam, co czytasz.

Spojrzała na niego znad okularów.

– Książkę, która powinna szczególnie zainteresować nas oboje, Guido. Podręcznik Chiary do religii.

Natychmiast sobie uświadomił, że nie wróży to niczego dobrego, a jednak zapytał:

– Dlaczego nas?

– Ze względu na to, co mówi nam o świecie, w którym żyjemy – odparła, odkładając książkę na bok i pociągając łyk wina.

– Na przykład? – brnął dalej, podchodząc do lodówki i 112

wyjmując otwartą butelkę. Było to znakomite ribolla gialla, które kupił od znajomego w Corno di Rosazzo.

– Jest tu rozdział – powiedziała, wskazując stronę, którą właśnie czytała – poświęcony siedmiu grzechom głównym.

Brunetti często myślał o tym, że byłoby wygodnie, gdyby jeden grzech przypadał na dany dzień tygodnia, ale chwilowo zatrzymał tę myśl dla siebie.

– I? – zapytał.

– I właśnie zaczęłam się zastanawiać, jak nasze społeczeństwo przestało postrzegać pewne uczynki jako grzechy albo, przynajmniej w części, zdołało zdjąć tę otoczkę grzechu, która niegdyś do nich przylgnęła.

Wysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej, niespecjalnie zainteresowany tym ostatnim spostrzeżeniem, lecz chętny wysłuchać dalszego ciągu. Uniósł kieliszek w stronę żony i łyknął wina. Było tak dobre, jak zapamiętał. Więc Bogu niech będą dzięki za dobre wino i dobrych przyjaciół, a nawet za żonę, która znalazła materiał do polemiki w podręczniku dla gimnazjalistów.

– Pomyśl o nieczystości, czyli pożądaniu – ciągnęła.

– Często myślę – odparł, rzucając jej lubieżne spojrzenie.

Ignorując go, podjęła wątek:

– Kiedy my dorastaliśmy, uważano je jeśli nie za grzech, to co najmniej za półgrzech, a w każdym razie za coś, o czym się nie mówi ani czego nie pokazuje się publicznie. A teraz, chcesz czy nie, widzisz takie rzeczy w każdym filmie, pro-gramie telewizyjnym lub czasopiśmie.

– Uważasz, że to źle?

– Niekoniecznie. Po prostu jest inaczej. Może lepszym 113 przykładem jest obżarstwo albo – ogólnie – nieumiarkowanie.

Aha, więc to tu, blisko domu, miał na niego spaść ten cios, pomyślał Brunetti i wciągnął nieco brzuch.

– Nieustannie się nas do tego zachęca. Za każdym razem, gdy otwieram czasopismo lub gazetę.

– Do obżarstwa? – spytał zdziwiony.

– Nie chodzi o brak umiaru w jedzeniu – odparła – ale o gromadzenie rzeczy czy konsumpcję ponad rzeczywiste potrzeby. W końcu czy posiadanie więcej niż jednego telewizora, samochodu albo domu nie jest przejawem nieumiarkowania?

– Nigdy tak o tym nie myślałem – powiedział, grając na zwłokę, a potem podszedł do lodówki, by dolać sobie wina.

– Ja też nie, dopóki nie zajrzałam do tej książki. Definiują tu nieumiarkowanie jako nadmierne objadanie się i tak to zostawiają, ale ja zaczęłam się zastanawiać, co to może znaczyć w szerszym kontekście.

W tym właśnie, według Brunettiego, tkwiła istota osobowości Paoli, kobiety, którą wciąż kochał do szaleństwa. Zawsze myślała o rzeczach – właściwie o wszystkim, jak mu się czasem wydawało – w szerszym kontekście.

– Sądzisz, że mogłabyś zacząć myśleć o kolacji w szerszym kontekście? – spytał.

Spojrzała na niego ponad stołem, potem zerknęła na zegarek i zobaczyła, że jest grubo po ósmej.

– Och – powiedziała, trochę zdziwiona, że jej przypomina o tak przyziemnych sprawach.

– Oczywiście. Słyszę, że dzieci właśnie przyszły. – Potem, jakby dopiero teraz go zauważyła, spytała: – Co zrobiłeś ze swoją koszulą? Wytarłeś w nią ręce?

– Tak – odparł, a widząc jej zdumioną minę, dodał: –

Opowiem ci po kolacji.

Rzeczywiście Chiara i Raffi wrócili już do domu, co latem było dość rzadkim wydarzeniem, bo albo jedno z nich, albo oboje zwykle jedli kolację z przyjaciółmi, a czasem zostawali też u nich na noc. Raffi osiągnął już wiek, w którym jego szczenięca miłość do Sary Paganuzzi przybrała znacznie doro-

ślejszy ton, do tego stopnia, że Brunetti parę miesięcy temu wziął go na stronę i próbował rozmawiać z nim o seksie, lecz dowiedział się jedynie, że o „tych rzeczach” już ich wszystkiego nauczono w szkole. To Paola postawiła sprawę jasno, oświadczając synowi następnego dnia wieczorem, że niezależ-

nie od tego, co zrobią lub pomyślą jego przyjaciele, odbyła rozmowę z rodzicami Sary i zgodnie postanowili, że Raffiemu pod żadnym pozorem nie będzie wolno nocować w domu dziewczyny, a ona nie będzie mogła zostawać na noc u nich.

– Ale to rodem ze średniowiecza! – jęknął Raffi.

– Niemniej ostatecznie zamyka sprawę – oznajmiła Paola, ucinając dyskusję.

Bez względu na to, jakie rozwiązanie Raffi wypracował z Sarą, najwyraźniej zadowalało ich oboje, bo ilekroć dziewczyna przychodziła do nich na kolację, zachowywała się uprzejmie i przyjaźnie wobec wszystkich, a nawet wydawało się, że Raffi nie żywi urazy do rodziców z powodu metod wycho-wawczych, które z pewnością w zgodnej opinii jego rówieśni-ków były „rodem ze średniowiecza”.

Raffi i Chiara spędzili dzień na Alberoni, choć każde w innym gronie przyjaciół, a po całym dniu pływania i zabaw na plaży wcinali, aż im się uszy trzęsły. Sądząc po wielkości

półmiska wypełnionego rybą, Paola musiała kupić całego miecznika.

– Zamierzasz zjeść trzecią porcję? – spytał Brunetti, wi-dząc, jak syn wlepia wzrok w niemal pusty półmisek.

– Przecież on się jeszcze rozwija, papà – zaskoczyła go Chiara, bo sugerowało to, że sama już zaspokoila głód.

Brunetti spojrział na Paolę, która właśnie dokładała sobie na talerz szpinaku i straciła okazję, by docenić wielkoduszność, jaką okazał, nie zadając jej pytania, czy ich syn nie popełnia grzechu obżarstwa.

Kierując ponownie uwagę na to, co dzieje się przy stole, Paola powiedziała:

– Dokończ to, Raffi. Nikt nie lubi zimnej ryby.

– Gdybyśmy rozmawiali po angielsku, czy to byłby ka-lambur, mamma? – spytała Chiara.

Oprócz nosa i tyczkowatej sylwetki Chiara odziedziczyła po matce również zamiłowanie

do gier słownych, lecz po raz pierwszy, o ile wiedział, pozwoliła sobie na żart w obcym języku.

Zanim skończyli lody, Chiara niemal zasnęła na krześle, więc Paola wysłała dzieci do łóżek, a sama wzięła się do zmywania naczyń. Brunetti zaniósł pustą miskę po lodach do kuchni, oblizując łyżkę do nakładania i skrobiąc nią po dnie, by wydobyć ostatnie resztki brzoskwini. Kiedy zobaczył, że nie ma już na co liczyć, postawił miskę obok zlewu i poszedł

zabrać ze stołu kieliszki.

Kiedy naczynia moczyły się w zlewie, Paola spytała:

– Czy myślisz, że moglibyśmy zostać przy wątku owoco-wym i wypić po kropelce williamsa na tarasie?

– Gdyby nie twoja troskliwość, prawdopodobnie zagłodziłbym się na śmierć – powiedział.

– Guido, mój gołąbku – odparła. – Bardzo martwię się o to, co może ci się przydarzyć w twojej niebezpiecznej pracy, ale na pewno nie grozi ci śmierć głodowa.

Wyszła na taras, by tam na niego zaczekać.

Postanowił zabrać tylko kieliszki, a butelkę zostawić w domu. Zawsze mógł wrócić po dolewkę. Na zewnątrz zastał

Paolę siedzącą z zamkniętymi oczami na krześle, z nogami opartymi na dolnej poprzeczce balustrady. Kiedy podszedł

bliżej, wyciągnęła rękę, a on wsunął jej w dłoń kieliszek. Upiła łyk, westchnęła, znowu upiła łyk.

– God’s in His heaven, all’s right with the world* – wyrecytowała.

* Ostatnie linijki wiersza Pippa’s Song Roberta Browninga: „Pan Bóg w niebiosach, ze światem wszystko w porządku” (wszystkie przypisy tłumaczki).

– Może już za dużo wypijaś, Paola – zauważył.

– Opowiedz mi o koszuli – poprosiła.

Spełnił jej życzenie.

– I ty wierzysz tej kobiecie, signorze Gismondi? – spytała, kiedy zrelacjonował jej wydarzenia dnia.

– Sądzę, że tak – odparł. – Ona nie ma żadnego powodu, żeby kłamać. Z jej opowieści nie wynika nic oprócz tego, że była po prostu sąsiadką starszej pani.

– Z którą miała na pieńku – podsunęła Paola.

– Z powodu telewizora?

– Tak.

– Nie zabija się ludzi z powodu hałasującego telewizora – upierał się.

Wyciągnęła rękę i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Od dziesięciu lat słucham, jak opowiadasz o swojej 117

pracy, Guido, i wydaje mi się, że wielu ludzi gotowych jest zabić ze znacznie błahszego powodu niż hałas telewizora.

– Na przykład?

– Pamiętasz tego mężczyznę z Mestre, który zwrócił uwagę facetowi siedzącemu w samochodzie zaparkowanym pod jego domem, żeby ściszył radio? Kiedy to było... jakieś cztery lata temu? Został zabity, prawda?

– Ale to był mężczyzna – odparł Brunetti. – I był już karany za przemoc.

– A signora Gismondi nie?

Dzięki pytaniu żony uzmysłowił sobie, że zapomniał poprosić signorinę Elettę, by sprawdziła, czy signora Gismondi figuruje w policyjnej kartotece.

– Wydaje mi się to mało prawdopodobne – powiedział.

– Pewnie i tak byś nic nie znalazł.

– To czemu miałbym jej nie wierzyć?

Westchnęła cicho.

– Czasami to takie przykre, że po tych wszystkich latach nadal nie rozumiesz, jak działa mój umysł.

– Wątpię, że kiedykolwiek byłbym w stanie to pojąć – wyznał bez cienia ironii. – A czego tym razem nie rozumiem?

– Tego, że w moim przekonaniu nie mylisz się co do signory Gismondi. Nie miałyby to żadnego sensu: to przecież osoba, która poczuła się zakłopotana, gdy ktoś na oczach ludzi próbował pocałować ją w rękę.

Może nie były to dokładnie przytoczone słowa signory Gismondi, lecz z pewnością uwaga Paoli dotyczyła jednej z reguł

ludzkiego zachowania, o której słyszał, ale której nie miał okazji w swoim życiu doświadczyć.

– Ale zależy mi na tym, żebyś mógł przedstawić dowód 118

ludziom takim jak Patta czy Scarpa, a także innym, którzy nie chcą w to uwierzyć.

Wciąż miała zamknięte oczy, a Brunetti studiował jej profil: prosty nos, może trochę za długi, ledwo widoczne ślady zmarszczek wokół oczu, zmarszczek będących oznaką poczucia humoru, lekko obwisła skóra na podbródku.

Pomyślał o dzieciach, o tym, jakie były padnięte przy kolacji, a potem powędrował wzrokiem w dół jej ciała. Odstawił

kieliszek na stolik i pochylił się ku niej.

– Czy moglibyśmy powrócić do badania siedmiu grzechów głównych? – spytał.

Rozdział 10

Spotkanie z avvocatessa Robertą Marieschi było wyznaczone na dziesiątą rano. Ponieważ jej kancelaria mieściła się w Castello, tuż na początku via Garibaldi, Brunetti wsiadł do vaporetto linii jeden i wysiadł na przystanku Giardini. Drzewa w ogrodach wyglądały na przywędłe, zakurzone i bardzo spragnione deszczu. To samo można by powiedzieć o większości ludzi w mieście. Brunetti bez trudu znalazł kancelarię: sąsiadowała z budynkiem, w którym niegdyś mieściła się doskonała pizzeria, a obecnie sklep, gdzie sprzedawano podróbki szkła muraneńskiego. Nacisnął dzwonek i wszedł do kamienicy, a potem po schodach do kancelarii na pierwszym piętrze.

Sekretarka, z którą rozmawiał poprzedniego dnia, uniosła głowę, uśmiechnęła się i spytała, czy to on jest signor Brunetti.

Kiedy potwierdził, poprosiła, by zaczekał parę minut, ponieważ dottoressa Marieschi jeszcze przyjmuje innego klienta.

Komisarz usiadł na wygodnej szarej kanapie i przebiegł wzrokiem po okładkach czasopism leżących na stoliku po lewej stronie. Wybrał „Oggi”, bo rzadko miał okazję zaglądać do tego magazynu; nie chciał go kupować i czułby się głupio, gdyby został przyłapany na czytaniu. Właśnie zagłębiał się w relację z ceremonii ślubnej jakiegoś skandynawskiego 120

książątka, gdy drzwi na lewo od sekretarki otworzyły się i z gabinetu wyszedł starszy mężczyzna trzymający w jednej ręce czarną skórzaną teczkę, a w drugiej laskę ze srebrną gałką.

Sekretarka wstała i uśmiechnęła się.

– Czy chciałby się pan umówić na następną wizytę, cava-liere!

– Dziękuję, signorina – odpowiedział z uprzejmym uśmiechem. – Najpierw zapoznam się z tymi dokumentami, a potem zadzwonię, żeby ustalić termin.

Wymienili pożegnalne uprzejmości, po czym sekretarka podeszła do Brunettiego, który wstał z kanapy.

– Zaprowadzę pana, signore – rzekła i ruszyła do drzwi, które zamknął za sobą starszy mężczyzna. Zapukała raz i we-szła do środka, a komisarz podążył za nią.

Przy najdalszej ścianie pokoju, pomiędzy dwoma oknami, stało biurko. Nikt przy nim nie siedział, ale wzrok komisarza przyciągnął jakiś nagły ruch na podłodze. Coś mignęło pod biurkiem, a potem natychmiast znikło: to coś miało jasnobrą-

zowy kolor, więc mogła to być mysz albo orzesznica, choć zawsze myślał, że gryzonie te żyją na wsi, a nie w mieście.

Udał, że nic nie zauważył, gdy nagle kobiecy głos wymówił jego nazwisko.

Roberta Marieschi miała około trzydziestu pięciu lat, była wysoka, wyprostowana i bardzo ładna; stała przy regałach wypełniających jedną ścianę pomieszczenia, wsuwając grubą tom z powrotem na półkę.

– Pan wybaczy, signor Brunetti – powiedziała. – Przepraszam, że kazałam panu czekać. – Podeszła do niego z wycią-

gniętą ręką i energicznie uściśnęła mu dłoń. Obracając się do biurka, rzekła: – Proszę, niech pan spocznie.

Sekretarka wyszła.

Avvocatessa Maneschi okrążyła biurko i usiadła. Była niż-

sza od Brunettiego, ale dzięki szczupłej, wysportowanej syl-wetce wydawała się wyższa niż w rzeczywistości. Na nogach miała proste skórzane pantofle na niskim obcasie, odpowiednie do pracy lub na spacer. Dzięki opaleniznie jej skóra pro-mieniowała zdrowiem i nic nie wskazywało na to, że pod wpływem kolejnej dawki słońca miałyby się przemienić w spieczoną skorupę. Żaden pojedynczy rys jej twarzy nie przy-kuwał uwagi, ale ich połączenie, owszem: brązowe oczy, gęste rzęsy, pełne i miękkie wargi.

– Ma pan zdaje się jakieś pytania dotyczące spadku, signor Brunetti? – zagaiła, ale zanim zdążył potwierdzić, zaskoczyła go, mówiąc z łagodną irytacją: – Och, przestań.

Patrzył właśnie na papiery leżące na biurku, a kiedy uniósł

wzrok, zobaczył, że kobieta zniknęła, a przynajmniej zniknęła jej głowa. W tej samej chwili spod biurka wyłoniło się to jasnobrązowe coś – ni to liść, ni to wachlarz – i zaczęło powoli kołysać się na boki.

– Poppi, mówiłam ci, żebyś przestała – dobiegł spod biurka głos prawniczki.

Nie wiedząc, jak się zachować, Brunetti siedział nieruchomo, obserwując merdanie psiego ogona. Po upływie, jak się wydawało, bardzo długiego czasu głowa avvocatessy Marieschi, ze zwichrzonymi włosami, ponownie się wyłoniła.

– Przepraszam – powiedziała kobieta. – Zwykle nie zabieram jej do pracy, ale właśnie wróciłam z urlopu, a ona gniewa się na mnie, że zostawiłam ją samą. – Odgarnęła włosy do tyłu i zwróciła się do psa: – Prawda, Poppi? Dąsasz się i chcesz mnie ukarać, próbując zjeść mój but, co?

Pies przemieścił się pod biurkiem i Brunetti usłyszał, jak kładzie się na podłodze. Jednocześnie ukazał się spory kawa-

łek ogona. Prawniczka spojrzała na komisarza, uśmiechnęła się – a może nawet lekko zarumieniła?

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko psom.

– Ależ skąd! Bardzo je lubię.

W reakcji na jego głos rozległo się warknięcie. Kobieta znów się schyliła.

– No, wyłaź stamtąd, nie odstawiaj komedii – powiedzia-

ła. – Wyjdź i zobacz, że nie masz o co być zazdrosna.

Sięgnęła ręką i pochyliła się jeszcze niżej, po czym oparła się na krześle. Powoli spod biurka wyłoniła się głowa, a potem tułów najpiękniejszego psa, jakiego Brunetti kiedykolwiek widział. Poppi była golden retrieverem i chociaż wiedział, że to obecnie najmodniejsza rasa, nic nie mogło osłabić jego zachwytu. Jedno łypnięcie szeroko rozstawionych oczu wystarczyło, by go podbić. Poppi stała koło krzesła swojej pani, wpatrując się w nią z uwielbieniem.

– Mam nadzieję, że naprawdę lubi pan psy, signor Brunetti, bo jeśli nie, byłaby to bardzo krępująca sytuacja – powiedziała avvocatessa Maneschi i nie mogąc powstrzymać mimowolnego odruchu, położyła dłoń na głowie psa i zaczęła delikatnie skubać go w lewe ucho.

– Jest piękna – przyznał Brunetti.

– O tak, jest. I ma równie słodkie usposobienie. – Nie przestając pieścić psiego ucha, spojrzała na komisarza. – Ale wiem, że nie przyszedł pan tu, żeby słuchać opowieści o moim psie. Proszę powiedzieć, jak mogłabym panu pomóc.

– Właściwie to nie jestem pewien, avvocatessa, czy pani sekretarka dobrze mnie wczoraj zrozumiała. W gruncie rzeczy 123

żaden ze mnie klient, chociaż rzeczywiście mogłaby mi pani pomóc w pewnej sprawie.

Uśmiechnęła się i wciąż skubiąc ucho Poppi, powiedziała:

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Jestem komisarzem policji i przyszedłem, żeby zadać pani kilka pytań na temat jednej z pani klientek, signory Marii Battestini.

Poppi cofnęła pysk i obróciwszy łeb, żeby spojrzeć na komisarza, wydała głęboki pomruk, ale zagłuszył go głos jej właścicielki.

– Za mocno pociągnęłam cię za ucho, aniołku? – Ener-gicznym ruchem odsunęła głowę psa i powiedziała: – W porządku, a teraz się połóż. Muszę pracować.

Nie stawiając oporu, pies zniknął pod biurkiem, pokręcił się chwilę w miejscu, a potem rozłożył na podłodze, tak że na widoku pozostał jedynie kawałek ogona.

– Maria Battestini – rzekła prawniczka. – Straszne, straszne. To ja znalazłam jej tę kobietę. Po rozmowie kwalifikacyjnej zaprowadziłam ją do Marii i przedstawiłam. Odkąd usłyszałam o tej zbrodni, czuję się odpowiedzialna. – Mocno zacisnęła wargi, co zdaniem Brunettiego zwiastowało płacz.

Mając nadzieję, że temu zapobiegnie, powiedział:

– Ani trochę nie jest pani odpowiedzialna, avvocatessa.

Policja wpuściła ją do kraju, a Urząd do spraw Cudzoziemców wydał jej permesso di soggiorno. Wydaje mi się, że jeśli ktokolwiek jest tu odpowiedzialny, to urzędnicy, a nie pani.

– Ale ja znałam Marię tak długo, prawie całe moje życie.

– Jak to możliwe, dottoressa?

– Mój ojciec był ich prawnikiem, to znaczy Marii i jej męża, więc znałam ją od dzieciństwa. A potem, kiedy skończy-

łam uniwersytet i zaczęłam pracę w kancelarii ojca, ona poprosiła, żebym zajęła się jej sprawami. Była chyba moją pierwszą klientką, to znaczy pierwszą, która zdecydowała się mi zaufać.

– A z czym się to wiązało, dottoressa?

– Obawiam się, że nie rozumiem. – Teraz mówiła normalnie i nie zamierzała już płakać.

– Jakiego rodzaju sprawy pani powierzyła?

– Och, nic poważnego, jeszcze nie wtedy. Kuzyn zostawił

jej mężowi w spadku mieszkanie na Lido i kiedy w kilka lat po jego śmierci chciała je sprzedać, wyniknął spór o własność ogrodu.

– Sporna własność – powiedział, wznosząc oczy ku niebu, jakby nie potrafił sobie wyobrazić okrutniejszego losu. – Czy to jedyny problem, jaki miała signora Battestini?

– Zanim odpowiem na dalsze pytania, chciałabym wiedzieć, w jakim celu mi je pan zadaje.

– Oczywiście – zgodził się z niewymuszonym uśmiechem, przypomniawszy sobie, że ma do czynienia z prawnikiem. –

Wygląda na to, że sprawa zabójstwa została rozwiązana i zamierzamy formalnie zamknąć dochodzenie, ale przedtem chcielibyśmy wykluczyć wszelkie inne możliwości.

– Co to znaczy „inne możliwości”?

– To, że ktoś inny mógł dokonać zabójstwa.

– Ale ja myślałam, że to ta Rumunka... – Westchnęła. –

Szczerze mówiąc, nie wiem, czyby mnie to ucieszyło, czy zmartwiło – wyznała w końcu.

– Jeśli nie ona to zrobiła, 125

mogłabym się pozbyć poczucia winy. – Próbowała się uśmiechnąć, lecz bez powodzenia.

– Czy jest jakiś powód, dla którego pan, to znaczy policja, uważa, że zabójstwa mógł dokonać ktoś inny?

– Nie – odparł ze swobodą notorycznego kłamcy – nie w tym rzecz. – Potem, posługując się ulubionym argumentem Patty, dodał: – Ale w atmosferze podejrzliwości, jaką prasa wytwarza wobec policji, musimy mieć absolutną pewność, zanim formalnie ogłosimy, że zamykamy sprawę. Im mocniejsze dowody, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że prasa będzie podważać nasze decyzje.

Kiwnęła głową.

– Tak, rozumiem. Oczywiście chciałabym pomóc, ale naprawdę nie wiem jak.

– Mówiła pani, że pomagała signorze Battestini w innych sprawach. Czy może pani powiedzieć, jakie to były sprawy? –

Widząc jej wahanie, dodał: – Sądzę, dottoressa, że zarówno śmierć signory Battestini, jak i towarzyszące tej tragedii okoliczności zwalniają panią z tajemnicy adwokackiej.

Przyjęła jego argument.

– Chodziło o jej syna. Paolo zmarł pięć lat temu, po długiej chorobie. Maria omal nie umarła z żalu. Myślę, że przez długi czas nie była w stanie nic robić. Zajął się więc, jakby w zastępstwie, pogrzebem, a potem pozostawionym przez Paola majątkiem, chociaż sprawa była nadzwyczaj prosta: wszystko przechodziło na matkę.

Słyszac wyrażenie „po długiej chorobie”, Brunetti zdał sobie sprawę, jak rzadko ludzie mówią, że ktoś zmarł na raka.

Nie, zawsze jest to „długa choroba”, „guz”, „straszna choroba” lub po prostu „ta choroba”.

– Ile miał lat, kiedy zmarł?

– Chyba czterdzieści.

To, że jego majątek przeszedł na matkę, prawdopodobnie znaczyło, że nie był żonaty, więc komisarz spytał tylko:

– Mieszkał z nią?

– Tak. Był do niej bardzo przywiązany.

Receptory frazeologiczne Brunettiego umieściły to eufemistyczne stwierdzenie tuż obok „długiej choroby”; nie skomentował tego.

– Czy może pani ujawnić treść jej testamentu? – spytał, zmieniając temat.

– Był zupełnie standardowy – odparła. – Jej jedyną żyjącą krewną jest siostrzenica, Graziella. Ona wszystko odziedziczy-

ła.

– Duży to majątek?

– Nieszczególnie. Obejmuje dom w Cannaregio, jeszcze jeden na Lido, a także trochę pieniędzy, które Maria ulokowa-

ła w Uni Credit.

– Czy wie pani, jaka to suma?

– Nie jestem pewna, ale to chyba około dziesięciu milionów – powiedziała i natychmiast uściśliła: – Starych lirów, rozumie się. Nie mogę odzwyczaić się od lirów i muszę wszystko przeliczyć.

– Przypuszczam, że większość tak robi – zauważył Brunetti. – Jest jeszcze jedna rzecz, ta sprawa z telewizorem. Mo-

że mi pani coś o tym powiedzieć?

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Wiem, wiem. Otrzymywałam sporo listów od ludzi z są-

siedztwa, którzy uskarżali się na hałas. Ilekroć dostawałam taki list, rozmawiałam o tym z Marią, a ona obiecywała, że będzie ściszać dźwięk, ale była stara, więc zapominała albo

zasypiała przy włączonym telewizorze. – Uniosła ramiona, wzdychając z rezygnacją. – Nie sądzę, że można było znaleźć rozwiązanie.

– Ktoś nam mówił, że Rumunka ściszała telewizor – powiedział.

– Ale także ją zamordowała – odpaliła prawniczka z gniewem.

Brunetti skinął głową, przyjmując reprimendę.

– Przepraszam, to była bezmyślna uwaga – zmitygował się. A potem spytał: – Może mi pani podać adres tej siostrzenicy?

– Ma go moja sekretarka – odparła Maneschi nagle chłodniejszym głosem. – Pójdę z panem i powiem jej, żeby go panu dała.

W tej sytuacji Brunettiemu nie pozostało nic innego, jak wyjść, więc wstał i pochylił się w stronę biurka.

– Dziękuję za poświęcony mi czas, dottoressa. Mam nadzieję, że żadne z moich pytań nie sprawiło pani przykrości.

Próbowała się uśmiechnąć.

– Gdyby tak było – powiedziała pogodniejszym tonem –

Poppi by o tym wiedziała i na pewno nie spałaby teraz jak dziecko u moich stóp.

Machnięcie ogonem raczej przeczyło twierdzeniu, że Poppi śpi jak dziecko, a Brunetti pomyślał, że Chiara, gdyby opisał

jej tę scenę, pewnie spytałaby, czy ktoś tu przypadkiem nie łąze jak pies.

Przytrzymał drzwi, przepuszczając avvocatessę Maneschi, zaczekał, aż sekretarka znajdzie adres siostrzenicy signory Battestini, uściśnął rękę prawniczki i wyszedł.

Rozdział 11

Gdyby o tej porze miał wracać do komendy wzdłuż Riva degli Schiavoni, roztopiłby się w słońcu, więc poszedł na skró-

ty przez Castello w kierunku Arsenału. Mijając fronton budynku, pomyślał – jak zwykle, gdy przyglądał się posągom –

czy ludzie, którzy je rzeźbili, widzieli na własne oczy prawdziwego lwa. Jedno ze zwierząt znacznie bardziej przypominało Poppi niż lwy, które Brunetti miał okazję kiedykolwiek widzieć.

Poziom wody przed kościołem San Martino był wyjątkowo niski i komisarz przystanął, by popatrzeć. Kleiste błoto oblepiające ukośne brzegi lśniło w słońcu, a wokół unosił się odór zgnilizny. Kto wie, kiedy ostatnio kanał dragowano i czyszczono?

Gdy dotarł do biura, najpierw otworzył okno, żeby trochę przewietrzyć pokój, ale powietrze, które dostało się do środka, przyniosło jedynie wilgoć i ani trochę chłodu. Zostawił okno otwarte, w nadziei, że odnajdzie je jakiś przelotny zefir i zdoła się przez nie wślizgnąć. Powiesił marynarkę i przyjrzał się papierom leżącym na biurku. Signorina Elettra nigdy nie zostawiała mu żadnych dokumentów oprócz najbardziej niewinnych materiałów, które każdy mógł przeczytać. Resztę trzymała u siebie w biurku albo – co jeszcze bezpieczniejsze – w swoim komputerze.

Płynąc tego ranka tramwajem wodnym do Castello, dowiedział się z „Il Gazzettino”, że sędzia rozpatrujący sprawę kradzieży na lotnisku postanowił, iż nagrania zarejestrowane przez ukryte kamery w holu bagażowym rzeczywiście naruszają prywatność osób oskarżonych o okradanie bagaży, wobec czego nie mogą być użyte jako dowody przeciwko nim.

Kiedy Brunetti czytał tę relację, ogarnęło go absurdalne pragnienie, żeby pójść do komendy, wziąć wszystkie zeznania świadków gromadzone pieczołowicie w ciągu ostatnich miesięcy i zanieść je do punktu przemiału makulatury w Scuola Barbario. Albo – jeszcze bardziej dramatycznie – wyobraził

sobie stos pogrzebowy na nabrzeżu przed komendą i szernia-

łe skrawki papieru unoszone przez te same niemrawe zefiry, których tak wyczekiwał.

Wiedział, co teraz nastąpi – po odwołaniu od decyzji sę-

dziego wszystko zacznie się od początku: będą wydane kolejne postanowienia, a po nich postanowienia, które je znoszą, aż nastąpi przedawnienie i sprawa zostanie odesłana do archiwum. Przez całą swoją karierę obserwował identyczny nie-spieszny taniec: dopóki muzykę grano dostatecznie wolno, z częstymi pauzami, które pozwalały na wymianę członków orkiestry, ludzie prędzej czy później byli już tak otępiłi słuchaniem tej samej starej melodii, że kiedy w końcu cichła, nikt tego nie zauważał.

To właśnie takie refleksje sprawiały – uświadomił sobie –

że czasem trudno było mu słuchać krytycznych uwag Paoli na temat policji. Wiedział, że u podstaw systemu sądowego, któ-

remu podlegała jego praca, leży zasada, że niekończący się proces apelacyjny zapewnia oskarżonym ochronę przed niesłusznym skazaniem, ale gdy w miarę upływu lat te gwarancje 130

stale się poszerzały, umacniały i obejmowały coraz większy zakres spraw, Brunetti zaczął się zastanawiać, o czyje właściwie bezpieczeństwo dba prawo.

Otrząsnął się z tych myśli i zszedł na dół, żeby poszukać Vianella. Inspektor siedział za swoim biurkiem i rozmawiał

przez telefon. Na widok wchodzącego komisarza uniósł rozczapierzoną dłoń, sygnalizując, że potrzebuje jeszcze co najmniej pięciu minut, a potem wycelował palec wskazujący w górę, w kierunku gabinetu Brunettiego, dając znak, że przyjdzie do niego, jak tylko skończy rozmowę.

Znalazłszy się z powrotem u siebie, Brunetti stwierdził, że w pokoju jest nieco chłodniej, niż gdy wszedł tu poprzednim razem. Żeby wypełnić czas do przyścia inspektora, wyciągnął

z tacy kilka dokumentów i zaczął je studiować.

Minęło piętnaście, a nie pięć minut, zanim pojawił się Vianello. Usiadł i bez żadnych wstępów powiedział:

– Była podłą starą krową i nie udało mi się znaleźć nikogo, kto by choć trochę przejął się jej śmiercią. – Przerwał, jakby dotarły do niego własne słowa, po czym dodał: – Zastanawiam się, jaki napis jest wyryty na jej nagrobku: „Ukochana żona”, „Ukochana matka”?

– Myślę, że inskrypcje są zwykle dłuższe – zauważył Brunetti. – Grawerom płaci się od litery. – Potem, nie chcąc jeszcze bardziej odbiegać od tematu, spytał: – Z kim pan rozmawiał i czego jeszcze się pan dowiedział?

– Wstąpiliśmy do dwóch barów na drinka. Nadia mówiła, że mieszkała kiedyś w tej okolicy. Tak naprawdę to nie ona tam mieszkała, tylko jej kuzynka, którą odwiedzała jako dziecko, znała więc parę nazwisk i mogła porozmawiać o kilku nieistniejących już sklepach, dlatego ludzie jej wierzyli.

Właściwie to nie musiała nawet pytać o morderstwo: każdy sam z siebie chętnie o tym mówił. To największe wydarzenie od czasu powodzi w sześćdziesiątym szóstym roku. – Widząc wyraz twarzy Brunettiego, powściągnął gawędziarskie zapędy.

– Wszyscy zgadzali się co do tego, że signora Battestini była chciwa, głupia i trudna we współżyciu, ale w końcu ktoś nieuchronnie przypomniał pozostałym, że to przecież wdowa, która straciła jedyne syna, więc wszyscy się reflektowali i mówili, że tak naprawdę nie była aż taka okropna. Chociaż podejrzewam, że jednak była.

Rozmawialiśmy o niej w ba-rach, a potem w restauracji z kelnerką, która mieszka niedaleko domu denatki, i ani jedna osoba nie mogła o niej powiedzieć dobrego słowa. W rzeczywistości upłynęło już wystarczająco dużo czasu, by ludzie zaczęli nawet odczuwać trochę współczucia dla Rumunki: jedna kobieta powiedziała, że dziwi się, że dopiero teraz któraś służąca zdecydowała się zabić signorę. – Vianello zastanowił się nad tym i dodał: – Wydaje się, że ta szczątkowa empatia, którą zaskarbiła sobie z powodu śmierci syna, przeniosła się częściowo na signorę Ghiorghiu.

– A syn? Co mówili o nim?

– Nikt nie miał zbyt wiele do powiedzenia na jego temat.

Był spokojnym człowiekiem, mieszkał z matką, chodził do pracy, pilnował własnych spraw, nigdy nie sprawiał nikomu kłopotów. Zupełnie jakby nie istniał naprawdę i jakby jego wolą było wyzwolić współczucie dla matki. Poprzez swoją śmierć.

– A mąż?

– Te same banały: una brava persona. – Po czym Vianello dodał tonem ostrzeżenia: – Tak jakby wszyscy cierpieli na amnezję.

– Czy ktoś wspominał o kobietach, które dawniej u niej pracowały?

– Prawie nie. Przychodziły i sprzątały, kupowały jedzenie i przygotowywały posiłki, ale Rumunka była pierwszą, która u niej zamieszkała. – Po krótkiej pauzie inspektor powiedział: –

Przypuszczam, że te pozostałe nie miały ważnych dokumentów i nie chciały być rozpoznawane przez sąsiadów z obawy, że ktoś mógłby na nie donieść.

– A starsza pani utrzymywała jakieś kontakty z sąsiadami?

– spytał Brunetti.

– Przez ostatnie lata nie, zwłaszcza po śmierci syna. Jeszcze trzy lata temu poruszała się po schodach, ale potem się przewróciła i uszkodziła sobie kolano. Od tej pory już chyba nie wychodziła z domu, a tymczasem wszyscy jej znajomi z sąsiedztwa poznikali, bo albo umarli, albo się wyprowadzili.

Poza tym tak uprzykrzała ludziom życie, że nikt nie chciał się z nią zadawać.

– Jak uprzykrzała im życie?

– Wychodziła z baru, nie zapłaciwszy rachunku, narzeka-

ła, że owoce nie są dobrej jakości lub wystarczająco świeże, kupowała coś i używała przez jakiś czas, a potem próbowała zwrócić do sklepu: tego typu zachowania, które sprawiają, że sprzedawcy nie chcieli już jej obsługiwać. Mówiono mi, że przez pewien czas wyrzucała śmieci przez okno, ale wtedy ktoś wezwał policję. Funkcjonariusze przyjechali i po rozmowie z nimi przestała to robić. Ale ludzie głównie skarżyli się na hałas telewizora.

– Czy ktoś z nich spotkał kiedykolwiek jej prawniczkę?

Vianello zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Nie, nikt jej nie widział na oczy, ale niektórzy mówili, że pisali do niej listy, zwłaszcza w sprawie telewizora.

– I?

– Nikt nigdy nie otrzymał odpowiedzi.

Nie zdziwiło to Brunettiego: dopóki nie wniesiono formalnego zażalenia, prawniczka nie mogła ingerować w prywatne zachowanie swojej klientki, lecz fakt, że nie odpowiadała na listy, wydawał się niespójny z jej zapewnieniami o trosce i dbałości o sprawy signory Battestini. W każdym razie nie reagowała na skargi sąsiadów, a więc i nie pobierała za to opłaty.

– A co ludzie mówili o tym dniu, kiedy zamordowano signorę Battestini?

– Nic. Jednemu mężczyźnie wydawało się, że widział wtedy Rumunkę wychodzącą z jej domu, ale nie mógłby przysiąc.

– A czego nie jest pewien: tego, że to była Rumunka, czy tego, że wychodziła z domu zamordowanej?

– Nie wiem. Jak tylko okazałem zainteresowanie tym, co powiedział, od razu zamilkł. – Vianello wyrzucił ręce w górę.

– Zdaję sobie sprawę, że to niewiele, ale sądzę, że nie uzyskamy nic więcej, wypytując ludzi.

– To nic nowego, prawda? – spytał Brunetti, nie kryjąc rozczarowania.

Inspektor wzruszył ramionami.

– Wie pan, jak to jest. Nikt nie pamięta zbyt wiele, jeśli chodzi o syna. Nikt nie lubił signory Battestini, a ponieważ jej mąż nie żyje od dziesięciu lat, potrafią o nim powiedzieć tylko, że był una brava persona, że lubił się napić z kolegami, i nie mogą zrozumieć, jak mógł wytrzymać w małżeństwie z taką kobietą.

Czy to samo ludzie będą kiedyś mówili o mnie po mojej śmierci? – zastanawiał się Brunetti.

– A co pan zdziałał? – spytał Vianello.

Komisarz zrelacjonował mu rozmowę z prawniczką, nie omieszkając wspomnieć o psie.

– Pytał ją pan o konta bankowe? – zainteresował się inspektor.

– Nie. Powiedziała mi, że signora Battestini trzymała oko-

ło pięć tysięcy euro w Uni Credit. Nie chciałem pytać o pozostałe konta, dopóki nie dowiemy się o nich czegoś więcej.

Zupełnie jakby słowa mogły się ziścić, signorina Elettra wybrała ten właśnie moment, by pojawić się w drzwiach. Mia-

ła na sobie zieloną spódnicę i białą bluzkę, a na szyi bursztynowe korale o dużych walcowatych paciorkach. Kiedy szła w ich stronę, wpadające przez okno słońce zmieniło ich kolor w ognistoczerwony, a ją przystroiło w barwy flagi narodowej, jakby była chodzącym wcieleniem obywatelskich cnót. Zbliżając się, wyszła ze strefy słońca i znów stała się sobą. Wycią-

gnęła przed siebie teczkę i położyła ją na biurku.

– Okazało się to łatwiejsze, niż sądziłam, commissario – powiedziała z czarującą skromnością.

– A co z Deutsche Bank? – spytał Vianello.

Pokręciła głową z surową dezaprobatą.

– To było tak proste, że sam mógłby pan to zrobić, ispettore – rzuciła tytułem wyjaśnienia, a potem dodała jeszcze bardziej szorstko: – Myślę, że to wszystko przez tę europeizację. Dawniej niemieckie banki były niezawodne, a teraz wygląda to tak, jakby urzędnicy szli do domu po południu i zostawiali drzwi otwarte. Drzę na myśl, co się stanie ze Szwajcarami, jeśli przyłączą się do Europy.

Brunetti, nieporuszony jej troską o bezpieczeństwo konty-nentu, spytał:

– No i?

– Wszystkie konta zostały otwarte na rok przed śmiercią jej męża – wyjaśniła. – W ciągu trzech dni, wszystkie z po-czątkową wpłatą w wysokości pół miliona lirów. Od tamtej pory na każde wpłacano co miesiąc sto tysięcy lirów, z wyjątkiem okresu tuż po śmierci syna, kiedy nie dokonywano żadnych wpłat. – Uśmiechnęła się, widząc ich reakcję, i mówiła dalej: – Ale owe „zaległości” zostały nadrobione dwa miesiące później, gdy znów zaczęły wpływać pieniądze. – Dała im chwilę na rozważenie tej informacji, po czym dodała: – Ostatnich wpłat, normalnych wpłat, jak można by je nazwać, dokonano na początku lipca, co dawało, sumując wkłady na wszystkich kontach wraz z odsetkami, sumę bliską trzydziestu tysięcy euro. Ale w tym miesiącu nie wpłynęło nic.

Wszyscy troje zastanawiali się nad znaczeniem tego faktu, ale to Brunetti wypowiedział nasuwający się wniosek.

– A więc powód tych wpłat ustał wraz z jej śmiercią.

– Na to wygląda – zgodziła się signorina Elettra. – Ale dziwne jest to, że tych pieniędzy nigdy nie tknięto. – Otworzy-

ła teczkę i trzymając ją tak, żeby obaj mogli widzieć jej zawartość, powiedziała: – Tutaj są całkowite sumy na każdym z kont. Wszystkie były otwarte na jej nazwisko.

– Co się z nimi stało po śmierci signory Battestini? – spytał Brunetti.

– Ona zmarła w piątek, a w poniedziałek wszystkie pieniądze zostały przetransferowane na Wyspy Normandzkie... –

zawiesiła wymownie głos, co skutecznie przykuło uwagę obu mężczyzn, a potem kontynuowała: – Chociaż nie jest podane 136

nazwisko osoby zlecającej przelewy, wszystkie banki mają w aktach pełnomocnictwa udzielone zarówno Robercie Maneschi, jak i Grazielli Simionato.

– Pytałem dziś rano Maneschi, ile pieniędzy zostawiła signora Battestini, ale wspomniała tylko o koncie w Uni Credit z wkładem w wysokości dziesięciu milionów lirów.

– Podatki? – wtrącił Vianello, dając wyraz oczywistym wątpliwościom.

Zważywszy na ogólną biurokratyczną nieudolność, bły-skawiczne wyprowadzenie depozytów bankowych oznaczało, że przelewy mogły umknąć uwadze władz podatkowych, zwłaszcza jeśli pieniądze były ulokowane w różnych bankach.

– A co z siostrzenicą? – spytał Brunetti.

– Tym się dopiero zajęłam – odpowiedziała.

– To ponad sześćdziesiąt milionów – zauważył Vianello, który, jak większość Włochów, wciąż po staremu robił obliczenia w lirach.

– Miła sumka w rękach wdowy, która mieszkała w trzech pokojach – skomentowała signorina Elettra, choć było to dla wszystkich oczywiste.

– I ta miła sumka wymknęła się z rąk urzędników podatkowych – dodał Vianello nie bez podziwu. Patrząc na signorinę Elettrę, spytał: – Ale jak tego można dokonać?

Brunetti nie mógł nie zauważyć wysuniętej brody i wyrazu zaciętego skupienia na twarzy signoriny Elettry, a jednocze-

śnie zastanawiał się, czy istnieją jeszcze jakieś granice jej obeznania z tym, co jest sprzeczne z prawem. Z pewnością lata zatrudnienia w banku stanowiły znakomite przygotowanie, obawiał się jednak, że swoje umiejętności udoskonalila do perfekcji, pracując w policji.

Niczym święta Katarzyna powracająca z kontemplacji Boskiej Obecności, signorina Elettra pozostawiła za sobą świat teoretycznych wykroczeń urzędowych i wróciła na ziemię, do Brunettiego i Vianella.

– Można – oznajmiła. – Jeśli osoba, która wyprowadziła pieniądze, liczyła na niekompetencję Guardia di Finanza i zakładała, że transfer przejdzie niezauważony, wtedy wydaje się to, jak sędzę, dość prostą operacją. – Brunetti i Vianello zaczęli obliczać takie prawdopodobieństwo, lecz przerwała im, zadając pytanie: – Dlaczego trzymała tyle pieniędzy i nigdy ich nie tknęła?

Brunetti, który czytał Balzakowskie opisy poczynań przebiegłych i chciwych wieśniaków, nie miał co do tego wątpliwości.

– Żeby patrzeć, jak się gromadzą.

Choć życiowe doświadczenia Vianella w niewielkim stopniu pokrywały się z doświadczeniami bohaterów francuskich powieści, od razu dostrzegł trafność tej uwagi.

– Byłem na strychu w jej domu i widziałem rzeczy, które trzymała – ciągnął komisarz, przypominając sobie parę filco-wych kapci, tak znoszonych, że nawet Caritas nie ośmieliłby się podarować ich biednym, i poplamione kuchenne ścierki o wystrzępionych brzegach. – Miała frajdę, patrząc na rzędy cyfr i przyglądając się, jak rosną, wierzcie mi.

– Ale gdzie się podziały oryginalne wyciągi bankowe? – spytał Vianello.

– A kto opróżnił mieszkanie? – wtrącił się Brunetti.

– Siostrzenica odziedziczyła majątek, więc to pewnie jej sprawka – podsunęła signorina Elettra. – Lecz z łatwością mogła je przedtem stamtąd zabrać prawniczka zmarłej. – Po chwili namysłu dodała: – Albo jej zabójca.

– Albo to właśnie tych wyciągów szukał zabójca – zasugerował Vianello. – Ale mamy przecież rejestry komputerowe, gdybyśmy potrzebowali dowodu.

Niczym Lachesis i Atropos kierujące ślepe oczy ku zagu-bionej Kioto, Brunetti i signorina Elettra jednocześnie obrócili głowy i wlepili wzrok w Vianella.

– Rząd już o to zadbał, ispettore – powiedziała signorina Elettra tonem bliskim przygany, jakby to on był odpowiedzialny za wprowadzenie prawa, które zastrzegало, że jedynie oryginalne dokumenty bankowe, a nie fotokopie czy wydruki komputerowe, mogą być dopuszczane jako dowody.

Czyżby Brunetti dostrzegł rumieniec wstydu na twarzy inspektora?

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Vianello, natychmiast uświadamiając sobie, że dana informacja mogłaby mieć wagę prawną tylko wówczas, gdyby urzędnicy bankowi przedstawili oryginalne wyciągi z kont, na których pieniądze niezauważenie przeleżały ponad dekadę, aż do czasu ich tajemniczego przepływu do raju podatkowego, tak słynnego, że z pewnością wiedział o nim nawet prawnik w sennym prowincjonalnym mieście, jakim jest Wenecja.

Brunetti odciągnął ich uwagę od spraw finansowych, pytając:

– A co z mężem? Czy coś pani znalazła?

– Nic szczególnie ciekawego – odparła. – Urodził się tu, w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku, a zmarł w Ospedale Civile w styczniu dziewięćdziesiątego trzeciego. Przez trzydzieści dwa lata pracował w różnych urzędach miejskich, ostatnio w kuratorium oświaty, konkretnie w dziale personalnym, choć trudno mi sobie wyobrazić nudniejsze zajęcie.

Jego syn, aż do swojej śmierci przed pięciu laty, także był zatrudniony w kuratorium. Przez parę lat się zazębiali.

– Coś jeszcze? – spytał Brunetti, zdumiony, że człowiek mógł przepracować aż trzy dekady w miejskich urzędach, a zaświadczały o tym tylko te skąpe dane.

– To wszystko, co ustaliłam, commissario. Trudno znaleźć więcej informacji sprzed ponad dziesięciu lat: nie zabrali się jeszcze do komputeryzowania swoich akt.

– A kiedy zaczną? – spytał Vianello.

Signorina Elettra tak mocno wzruszyła ramionami, że aż zastukały o siebie bursztynowe korale, jakby też chciały poznać odpowiedź.

Rozdział 12

Brunetti nie chciał tego uznać za impas. Zwracając się do Vianella, powiedział:

– W tym urzędzie powinni wciąż pracować ludzie, którzy ich pamiętają. Chciałbym, żeby pan tam poszedł i sprawdził, czy tacy są i co ewentualnie mogą sobie przypomnieć.

Mina Vianella pokazywała, jak mało prawdopodobna wydaje mu się taka możliwość, ale nie wyraził sprzeciwu.

Signorina Elettra powiedziała, że ma coś jeszcze do zrobienia, i wyszła razem z inspektorem.

Brunetti, uznawszy, że byłoby nie fair zmuszać ich do pracy, podczas gdy on siedzi za biurkiem, wziął teczkę i poszukał

nazwiska lekarza signory Battestini. Rozmowa została przełą-

czona na telefon komórkowy doktora, a kiedy ten odebrał, powiedział, że może spotkać się z komisarzem w swoim ambulatorio przed popołudniowym dyżurem albo po jego zakoń-

czeniu. Przekonany, że rozsądniej umówić się na rozmowę, zanim doktor spędzi dwie godziny, przyjmując pacjentów i wysłuchując ich skarg, Brunetti zaproponował spotkanie o wpół do czwartej, zapytał, gdzie mieści się gabinet, po czym się rozłączył. Następnie wybrał numer siostrzenicy signory Battestini, lecz nikt nie podniósł słuchawki.

Tego dnia nie było w komendzie cotygodniowej odprawy dla personelu, co należało zawdzięczać dobrej pogodzie. Podczas letnich miesięcy spotkania te, zainicjowane kilka lat temu przez vice-questore Patte, albo były nagle odwoływane, albo przekładane, a w końcu i tak odwoływane, zależnie od pogody. Jeśli pokazało się słońce, odprawę natychmiast odwoływano, dzięki czemu Patta mógł sobie popływać zarówno przed obiadem, jak i późnym popołudniem. W deszczowe dni spotkania się odbywały, chociaż nagła poprawa pogody często powodowała ich przesunięcie na późniejszą godzinę, a wówczas jedna z policyjnych motorówek zawoziła Pattę na drugą stronę Bacino, żeby mógł zażyć zasłużonego wypoczynku.

Tak oto cotygodniowa narada personelu stała się kolejnym sekretem komendy, podobnie jak kopniak w drzwi szafy, bez którego jej otwarcie było niemożliwe. Brunetti czasem wyobrażał sobie siebie i swoich kolegów jako wróżbitów, którzy zanim zaplanowali lub umówili się na jakieś spotkanie, w pierwszym odruchu konsultowali się z niebiosami. Komisarz myślał o nich z uznaniem, nie mogąc wyjść z podziwu, że tak gładko dostosowali swój rozkład zajęć do kaprysów Patty.

W domu, dokąd udał się na obiad, pojawił się akurat w momencie, gdy rodzina zasiadała do stołu. Paola, jak zauwa-

żył, wyglądała na przybitą i wygłodniałą, co jej się często zdarzało po nieudanym dniu na uniwersytecie, jednak dzieci, zbyt zaabsorbowane zaspokojeniem własnego głodu, nie zwracały na to uwagi.

Rozkład talerzy na stole wskazywał, że miało nie być pierwszego dania, lecz zanim Brunetti zdążył zaprotestować przeciwko temu przeoczeniu, ukazała się Paola niosąca ogromną salaterkę, z której unosiły się tak aromatyczne wonie, że natychmiast ukończyły jego duszę.

Zanim dzięki swym zdolnościom profetycznym wymienił nazwę potrawy, Chiara wykrzyknęła z nieskrywaną radością:

– Och, mamma, zrobiłaś potrawkę z jagnięciny!

– Czy jest polenta? – spytał Raffi głosem przepełnionym nadzieją.

Widząc, jak w reakcji na ich zapach do jedzenia twarz Paoli rozjaśnia uśmiech, pomyślał o pisklętach, które ćwierkaniem wymuszają na rodzicach zdeterminowane genetycznie zachowania. Paola stawiała jedynie symboliczny opór.

– Tak jak poprzednich sześćset razy, kiedy jedliśmy to danie, tak, Raffi, jest polenta – powiedziała, lecz Brunetti słyszał

ciepło, jeśli nie w słowach, to w tonie jej głosu.

– Mamma, jeśli na deser będą świeże figi, to pozmywam naczynia – zaofiarowała się Chiara.

– Masz duszę handlarza – skwitowała Paola, stawiając salaterkę, i poszła do kuchni po polentę.

Na deser rzeczywiście były figi, a także esse, ciasteczka w kształcie „S”, które ojciec Paoli wciąż przysyłał im z Burano.

A po posiłku Brunetti nie miał innego wyjścia, jak uciąć sobie godzinną drzemkę.

Kiedy się obudził, z suchością w ustach i spocony w dusz-nym upale, od razu wyczuł bliskość Paoli. Ponieważ nigdy nie sypiał po południu, wiedział, jeszcze zanim otworzył oczy, że będzie leżała obok, oparta na poduszce, czytając. Obrócił głowę i okazało się, że ma rację.

Rozpoznał książkę.

– Ciągłe studiujesz katechizm?

– Tak – odparła, nie odrywając oczu od strony. – Czytam jeden rozdział dziennie, chociaż to się już nie nazywa katechizm.

143

Zamiast dociekać, jaki jest ten nowy tytuł, spytał:

– A o czym teraz czytasz?

– O sakramentach.

Od razu wyłoniły się słowa wyuczone na pamięć w młodości:

– Chrzest, eucharystia, bierzmowanie, małżeństwo, ka-płaństwo, spowiedź... – nagle zamilkł. – Jest ich siedem, prawda?

– Tak.

– Jaki jest siódmy? Nie pamiętam. Właśnie mi umknęło.

Jak zawsze, gdy nie mógł sobie przypomnieć czegoś pro-stego i zwyczajnego, wpadał w chwilową panikę, obawiając się, że są to początki tej samej choroby, której nikt nie chciał kiedyś rozpoznać u jego matki.

– Ostatnie namaszczenie – odpowiedziała Paola, zerkając na niego kątem oka. – Być może najbardziej wyrafinowany ze wszystkich sakramentów.

Brunetti nie zrozumiał.

– Dlaczego wyrafinowany?

– Tylko pomyśl, Guido. Właśnie w momencie, kiedy człowiek zbliża się do śmierci i kiedy wiadomo, że nie ma już dla niego żadnej lub prawie żadnej nadziei, przybywa ksiądz.

– Owszem, tak, ale wciąż nie rozumiem, co w tym jest wyrafinowanego.

– Zastanów się. W przeszłości jedynymi ludźmi, którzy umieli czytać i pisać, byli księża.

Ponieważ czuł pragnienie i było mu gorąco i ponieważ zwykle po popołudniowej drzemce budził się otepiały, spytał:

– Czy to nie jest lekka przesada?

– Może tak, w porządku. Ale faktem jest, że jeszcze pod 144

koniec dziewiętnastego wieku wszyscy księża potrafili czytać i pisać, natomiast większość zwykłych ludzi nie.

– Nadal nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Pomyśl eschatologicznie – nakazała, jeszcze powiększając jego dezorientację.

– Staram się to robić przez cały czas każdego dnia – odparł, nie mogąc sobie przypomnieć, co znaczy to słowo, ale już żałując, że na nią warknął.

– Śmierć, dzień Sądu Ostatecznego, niebo i piekło – powiedziała. – To są te cztery rzeczy

ostateczne. I w momencie, gdy ludzie mają zetknąć się z tą pierwszą i wiedzą, że nie unikną drugiej, zaczynają myśleć o trzeciej i czwartej. A wtedy zjawia się ksiądz, chętny, by porozmawiać o ogniach piekielnych i niebiańskich uciechach, chociaż zawsze uważałam, że ludzi znacznie bardziej obchodzi to, żeby uniknąć tych pierwszych niż żeby zaznać drugich.

Leżał nieruchomo, zaczynając się domyślać, do czego zmierza Paola.

– Więc oto zjawiał się ksiądz, zwykle miejscowy, który, tak się przypadkowo składało, był zarazem notariuszem, i bez wątpienia zaczynał rozprawiać o ogniach piekielnych, pochłaniających człowieka żywcem, i o nieopisanym bólu, który będzie trwał przez wieki.

Mogłaby zostać aktorką, pomyślał Brunetti, bo z taką mocą jej głos dawał świadectwo wiary w każde wypowiedane przez nią słowo.

– Ale dla dobrych chrześcijan istnieje sposób, aby uzyskać przebaczenie – ciągnęła swoim najbardziej cikliwym głosem, przechodząc na czas terażniejszy – i uwolnić się od ogni piekielnych. Tak, mój synu, musisz jedynie otworzyć serce na miłość Jezusa, a swoją kiesę na potrzeby biednych. Wystarczy, 145

że podpiszesz się swoim nazwiskiem albo, jeśli nie umiesz pisać, postawisz swój inicjał na tym dokumencie, a w zamian za twą szczodrość dla Świętego Kościoła bramy niebios staną przed tobą otworem.

Położyła otwartą książkę na piersi i obróciła ku niemu twarz.

– I w ten sposób delikwent podpisywał ten sporządzony naprędce testament, pozostawiając to czy tamto, albo wszystko, Kościołowi. – W jej głosie brzmiała teraz wściekłość. –

Oczywiście księża próbowali się dostać do każdego, kto był

chory, umierający albo nie w pełni władz umysłowych. Bo czy jest lepszy moment, żeby kogoś oskubać do czysta?

Paola znów wzięła książkę, przewróciła kartkę i przybierając ton swobodnej rozmowy, dodała:

– Dlatego uważam ten sakrament za najbardziej wyrafinowany.

– Mówisz takie rzeczy Chiarze? – spytał przerażony Brunetti.

– Oczywiście, że nie. Albo sama uświadomi sobie te sprawy, kiedy będzie starsza, albo nie. Nie zapominaj, proszę, że zgodziłam się na to, iż nigdy nie będę się wtrącać do religijnej edukacji dzieci.

– A jeśli ona sobie nie uświadomi tych spraw? – spytał, kładąc akcent na trzy ostatnie słowa i spodziewając się, że Paola odpowie, iż córka sprawiłaby jej wówczas zawód.

– Wtedy jej życie będzie o wiele spokojniejsze – odparła i ponownie skupiła uwagę na książce.

Ambulatorio doktora Carlottiego mieściło się na parterze kamienicy przy Calle Stella nieopodal Fondamente Nuove.

Brunetti znalazł adres w swoim Calli, Canali, e Campielli i 146

natychmiast rozpoznał to miejsce, gdy ujrzał dwie kobiety z małymi dziećmi w ramionach, stojące przed wejściem do budynku. Uśmiechnął się do matek i nacisnął dzwonek na prawo od drzwi. Otworzył mu siwowłosa mężczyzna w średnim wieku.

– Commissario Brunetti? – spytał.

Kiedy potwierdził, doktor podał mu rękę i na wpół ją ściskając, na wpół ciągnąc, wprowadził gościa do środka. Wskazał drzwi do swojego gabinetu, a potem wyszedł przed dom, przywitał się z obiema kobietami, wyjaśniając, że przez pewien czas będzie zajęty, i poprosił, żeby weszły do poczekalni, gdzie mogą przynajmniej schronić się przed upałem. Poprowadził komisarza przez to pomieszczenie tak szybko, że ten zdążył jedynie zauważyć typowe magazyny w błyszczących okładkach i meble, które wyglądały tak, jakby je zabrano z salonu jakiegoś krewnego.

Gabinet stanowił wierną kopię gabinetów lekarskich, które Brunetti odwiedzał w swoim życiu: przykryty papierem stół

do badania, szklana gablotka zawierająca środki opatrunkowe, biurko zasłane różnymi papierami i teczkami, a także pudełka pełne leków. Jedynym, co odróżniało ten gabinet od tych, które widywał w czasach młodości, był komputer stojący po prawej stronie biurka.

Doktor Carlotti wydawał się na dobrą sprawę człowiekiem niewidzialnym: spojrzawszy na niego raz czy nawet pięć razy, a w pamięci nie utrzymało się nic oprócz brązowych oczu za okularami w ciemnych oprawkach, przesuszonych włosów w nieokreślonym kolorze cofających się znad czoła i średniej wielkości ust.

Lekarz stanął przy biurku, z rękami założonymi na piersi, i machnięciem dłoni wskazał Brunettiemu krzesło. Ale wtedy, 147

jak gdyby sobie uświadomił, że to obcesowy gest, poszedł i usiadł za biurkiem. Odsunął na bok trochę papierów, przełożył

jakiś rulon na lewo i oparł na blacie złożone dłonie.

– Jak mogę panu pomóc, commissario! – spytał.

– Opowiadając mi o signorze Marii Battestini – zaczął

Brunetti bez żadnych wstępów. – To pan ją znalazł martwą, prawda, dottore!

Carlotti spojrzął na blat biurka, a potem podniósł wzrok na komisarza.

– Tak. Zwykle odwiedzałem ją raz w tygodniu.

Kiedy wydawało się, że doktor nie zamierza powiedzieć już nic więcej, Brunetti spytał:

– Czy leczył pan u niej jakiś przewlekły stan?

– Nie, nie, nic w tym rodzaju. Była równie zdrowa jak ja, a może nawet zdrowsza. Pomijając kolana. – Potem zaskoczył

Brunettiego, mówiąc: – Ale to prawdopodobnie już pan wie, jeśli to Rizzardi przeprowadził autopsję. Pewnie wie pan o zdrowiu signory więcej niż ja.

– Zna go pan?

– Niezupełnie. Należymy do tych samych stowarzyszeń lekarskich, więc rozmawiałem z

nim podczas jakichś kolacji czy spotkań. Wiem, jaką cieszy się reputacją. Dlatego powiedziałem, że może pan wiedzieć więcej ode mnie o stanie zdrowia signory Battestini. Jego uśmiech wydał się komisarzowi nieśmiały jak na mężczyznę, który zapewne dawno przekroczył już czterdziestkę.

– Tak, rzeczywiście to on wykonał autopsję i powiedział mi dokładnie to samo co pan, czyli że cieszyła się wyjątkowym zdrowiem jak na osobę w jej wieku.

Doktor skinął głową, wyraźnie zadowolony, że jego opinia o umiejętnościach Rizzardiego się potwierdziła.

– Czy podał, co było przyczyną śmierci? – spytał.

Brunetti wydawał się zdziwiony, że ktoś, kto widział zwłoki kobiety, mógł zadać takie pytanie.

– Stwierdził, że przyczyną był wstrząs w wyniku ciosów zadanych w głowę.

Znów przytaknięcie, znów potwierdzona diagnoza. Brunetti wyjął notes i otworzył go na stronach, gdzie zapisał to, co mówiła signora Gismondi.

– Od jak dawna Maria Battestini była pańską pacjentką, dottore?

Carlotti odpowiedział natychmiast.

– Od pięciu lat, czyli od śmierci syna. Upierała się, że lekarz, który wcześniej opiekował się nimi obojgiem, jest odpowiedzialny za jego śmierć, i nie chciała już do niego chodzić. Poprosiła więc mnie, żebym się nią zajął. – Powiedział to z nutą żalu.

– Czy miała jakiegokolwiek podstawy do twierdzenia, że ten lekarz ponosił odpowiedzialność za śmierć jej syna?

– To kompletny nonsens. Syn signory zmarł na AIDS.

Opanowując zaskoczenie, Brunetti spytał:

– Ona o tym wiedziała?

– Lepiej niech pan spyta, czy w to wierzyła, commissario, bo nigdy nie uwierzyła. Ale musiała wiedzieć.

– Czy on był gejem?

– Nie afiszował się z tym publicznie i mój kolega po fachu też nic o tym nie wiedział. Chociaż to wcale nie znaczy, że nie był. Nie cierpiał na hemofilię, nie brał narkotyków, nigdy nie przeszedł transfuzji, a przynajmniej w żadnej ze szpitalnych kartotek nie ma o tym wzmianki.

– Próbował pan się dowiedzieć, jak się zaraził?

– Mój kolega próbował. Signora Battestini oskarżyła go o

„zbrodnicze zaniedbanie”, więc usiłował się bronić i ustalić źródło zakażenia. Chciał też wiedzieć, czy istnieje prawdopodobieństwo, że jeszcze kogoś zaraził, ale signora odmówiła odpowiedzi na wszelkie pytania na jego temat, nawet gdy przyszedł do niej w tej sprawie ktoś z Biura Zdrowia Publicznego. Kiedy została moją pacjentką, powtarzała w kółko, że syna „zamordowali lekarze”. Dałem jej do zrozumienia, że nie będę wysłuchiwał podobnych bredni, więc przestała tak do mnie mówić.

– A czy słyszał pan kiedykolwiek pogłoski, że mógł być gejem?

Carlotti wzruszył ramionami.

– Ludzie gadają różne rzeczy. Na okrągło. Nauczyłem się nie zwracać na to uwagi. Niektórzy wydawali się wierzyć, że był gejem, inni nie. Nie obchodziło mnie to, więc nie poruszali przy mnie tego tematu. – Spojrzał na Brunettiego. – Zatem nie wiem. Mój kolega lekarz miał takie podejrzenie, głównie dlatego, że nie da się w inny sposób wytłumaczyć, jak syn signory Battestini zaraził się tą chorobą. Ale powtarzam: nigdy go nie poznałem, więc nie mam pojęcia.

Brunetti zostawił ten temat i spytał:

– Wracając do signory Battestini, dottore, czy może mi pan powiedzieć coś, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego ktoś dopuścił się tej zbrodni?

Lekarz odsunął się z krzesłem i wyciągnął przed siebie no-gi – wyjątkowo długie u człowieka znacznie niższego od komisarza. Skrzyżował je w kostkach i podrapał się lewą ręką w potylicę.

– Nie, raczej nie. Zastanawiam się nad tym, odkąd pan zadzwonił, a właściwie od chwili, kiedy znalazłem ją martwą, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Była osobą o specyficznym charakterze...

Zanim wdał się w opowiadanie banałów, Brunetti mu przerwał:

– Proszę, dottore. Całe życie wysłuchiwałem, jak ludzie dobrze wyrażają się o zmarłych albo na różne sposoby unikają powiedzenia o nich prawdy. Więc wiem sporo o „specyficznych charakterach”, o osobach „trudnych” i „upartych”.

Chciałbym jednak, żeby pan pamiętał, że to jest dochodzenie w sprawie morderstwa, a skoro tak, to pańskie słowa nie mogą już wyrządzić żadnej krzywdy signorze Battestini. Proszę więc, niech pan zapomni o kurtuazji i opowie mi szczerze o niej i o tym, z jakiego powodu ktoś mógłby chcieć ją zabić.

Carlotti skrzywił usta w uśmiechu, a potem zerknął w stronę drzwi do poczekalni, zza których dobiegały przytłumione, nerwowe głosy dwóch rozmawiających kobiet.

– Przypuszczam, że wszyscy mamy taki nawyk: zawsze się obawiamy, że zostaniemy przyłapani na mówieniu czegoś, czego nie powinniśmy mówić o konkretnej osobie, przyłapani na mówieniu prawdy. Szczególnie nęka to lekarzy.

Brunetti skinął głową, więc doktor kontynuował:

– Była wredną starą wiedźmą i nigdy nie słyszałem, by ktoś powiedział o niej dobre słowo.

– Wredną w jaki sposób, dottore?

Lekarz namyślał się nad odpowiedzią, jakby nigdy nie przestał się zastanawiać, dlaczego ta kobieta była wredna i czym się to przejawiało. Przesunął rękę po głowie i znów 151 podrapał się w to samo miejsce. Wreszcie spojrzął na Brunettiego i powiedział:

– Może tylko podam panu kilka przykładów. Te kobiety, które u niej pracowały. Wiecznie na nie narzekała, mówiąc mnie lub im, że niczego nie robią jak należy. Zużywały za dużo kawy albo zostawiały zapalone światło, albo zmywały naczynia w gorącej wodzie, a powinny w zimnej. Jeśli próbowały się bronić, wydzierała się na nie, żeby wracały tam, skąd przyjechały.

Z poczekalni dobiegł płacz dziecka, ale po chwili ucichł.

– Może się wydawać, że to niewiele – ciągnął Carlotti –

jak sobie teraz uświadamiam, słysząc własne słowa, lecz dla tych kobiet to było straszne. Wszystkie prawdopodobnie pracowały na czarno, więc nie mogły się skarżyć, a na pewno ostatnią rzeczą, jakiej by chciały, byłby powrót do domu. A ona o tym wiedziała.

– Znał pan którąś z nich, dottore?

– W jakim sensie?

– Pytał pan, skąd pochodzą, co robiły, zanim tu przyjechały?

– Nie. Ona by mi na to nie pozwoliła, prawdopodobnie nikomu by nie pozwoliła. Jeśli dzwonił telefon, a ja tam akurat wtedy byłem, dopytywała się, kto dzwoni, i kazała im oddać słuchawkę. Nawet jak ktoś zadzwonił do nich na komórkę, zawsze chciała wiedzieć, kto to, i mówiła, że nie wolno im rozmawiać przez telefon w czasie, kiedy ona im płaci za to, żeby pracowały.

– A ta ostatnia kobieta?

– Fiori?

– Tak.

– Sądzi pan, że ona ją zabiła?

– A pan, doktorze?

– Nie wiem. Kiedy znalazłem martwą signorę Battestini, najpierw zacząłem szukać Fiori... albo jej ciała. W ogóle nie przyszło mi wtedy do głowy, że ona mogła to zrobić: pomyśla-

łem jedynie, że mogła być kolejną ofiarą.

– A teraz?

Lekarz wyglądał na autentycznie przejętego.

– Czytałem gazety, rozmawiałem też z innym policjantem.

Wszyscy wydawali się przekonani o jej winie.

Brunetti czekał.

– Ale ja nadal w to nie wierzę.

– Dlaczego?

Doktor wahał się przez długą chwilę, zerkając raz po raz na komisarza, jakby oczekiwał, że ten człowiek, który też miał do czynienia z ludzkimi słabościami, go zrozumie.

– Jestem lekarzem od ponad dwudziestu lat, commissario, i mój zawód polega między innymi na tym, żeby dostrzegać u ludzi pewne rzeczy. Komuś mogłoby się zdawać, że powinienem skupiać uwagę wyłącznie na objawach fizycznych, ale widziałem już wystarczająco dużo chorych ludzi, by wiedzieć, że jeśli coś złego dzieje się w czyjejs duszy, przenosi się również na ciało. I powiedziałbym, że w duszy Fiori nie działo się nic złego. – Spojrzał w bok, potem znów skupił wzrok na komisarzu i dodał: – Obawiam się, że nie potrafię wyrazić tego precyzyjniej albo bardziej profesjonalnie.

– A signora Battestini? Czy uważa pan, że z jej duszą było coś nie tak?

– Nic oprócz tego, że zżerała ją chciwość – odpowiedział od razu Carlotti. – Ignorancja i głupota nie pochodzą z duszy.

Ale chciwość tak.

– Wielu starych ludzi troszczy się o pieniądze – podsunął

Brunetti, odgrywając rolę adwokata diabła.

– To nie była zwyczajna zapobiegliwość, commissario, lecz obsesja. – Potem zaskoczył Brunettiego, przechodząc na łacinę: – Radix malorum est cupiditas. To nie pieniądze, commissario, są korzeniem wszelkiego zła. To chciwość. Cupiditas.

– Czy miała aż tyle pieniędzy, by stać się zachłanna?

– Nie mam pojęcia – odparł lekarz. Jedno z dzieci w poczekalni rozpłakało się i Carlotti spojrział na zegarek. – Jeśli nie ma pan więcej pytań, commissario, to chciałbym teraz zająć się swoimi pacjentami.

– Oczywiście – powiedział Brunetti, wstając i chowając notes do kieszeni. – I tak poświęcił mi pan mnóstwo czasu.

Gdy szli w kierunku drzwi, spytał:

– Czy signora Battestini przyjmowała kiedykolwiek gości w czasie, kiedy był pan u niej w domu?

– Nie, o ile pamiętam, nikt jej nigdy nie odwiedził – odparł lekarz. Stał nieruchomo, jakby próbował wygrzebać coś z pamięci. – Raz czy dwa, jak wspominałem, odebrała telefon, ale za każdym razem mówiła, że jest zajęta i żeby ten ktoś zadzwonił później.

– Czy rozmawiała z tymi osobami w dialekcie weneckim, dottore? Może pan pamięta?

– Nie pamiętam. Być może w dialekcie weneckim. Prawie zapomniała, jak się mówi po włosku. Niektórzy zapominają. –

Przyłożył rękę do głowy. – Kiedyś, ze trzy lata temu, rozmawiała akurat przez telefon, kiedy wszedłem. Wtedy już miałem własne klucze, rozumie pan, i mogłem dostać się do środka, jeśli nie usłyszała dzwonka. Telewizor był włączony –

słyszałem go już na ulicy – i wiedziałem, że ona mi nie otworzy, więc nie zawracałem sobie tym głowy. Otworzyłem drzwi, ale dźwięk tymczasem przycichł. Telefon musiał zadzwonić, kiedy wchodziłem po schodach, a teraz ona rozmawiała z kimś przez telefon. – Przerwał na chwilę, a potem dodał: – Przypuszczam, że to ta osoba do niej zadzwoniła.

Signora ciągle powtarzała, że połączenia telefoniczne dużo kosztują. W każdym razie ściszyła trochę telewizor i rozmawiała z tym kimś.

Brunetti czekał w milczeniu obok lekarza, zapewniając mu przestrzeń, w której mógł przywołać wspomnienia.

– Powiedziała coś w rodzaju, że dawno nie miała żadnych wieści od tej osoby, kimkolwiek była, ale ten jej głos... och, sam nie wiem... brzmiał tak zimno, sarkastycznie, a może to było połączenie jednego z drugim. Potem się pożegnała, nazywając jakoś tę osobę. Nie pamiętam. Może dottore albo professore, coś w tym rodzaju, a ponieważ użyła tytułu, moż-

na by się spodziewać, że będzie się odnosić do tego kogoś z szacunkiem, ale było wręcz odwrotnie. – Brunetti obserwował

lekarza i widział, jak wspomnienia przybierają konkretny kształt. – Tak, nazwała tę osobę dottore, ale nie jestem pewien, bo mówiła w dialekcie weneckim.

Kiedy stało się jasne, że Carlotti nie ma już nic do powiedzenia, komisarz spytał:

– Wspomniał jej pan o tej rozmowie?

– Nie, absolutnie nie. Właściwie była to dziwna sytuacja, może ze względu na ton jej głosu albo wrażenie, jakie odniosłem, słysząc tę rozmowę. W każdym razie nie wszedłem do środka. W powietrzu unosiło się coś tak dziwnego, że ponownie zamknąłem za sobą drzwi, a potem odegrałem scenę, 155

wsuwając znów klucz do zamka, tym razem głośno, i otworzy-

łem drzwi. I zanim wszedłem, zawołałem ją po imieniu, pytając, czy jest w domu.

– Mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego pan to zrobił? – spytał Brunetti, zdziwiony tym, że ten z pozoru praktyczny męz-

czyzna tak emocjonalnie zareagował na tę sytuację.

Lekarz pokręcił głową.

– Nie. To było tylko wrażenie, coś, co mnie uderzyło w sposób, w jaki signora mówiła przez telefon. Miałem uczucie, jakbym nagle zetknął się... z jakimś złem.

W trakcie ich rozmowy krzyki dzieci przybrały na sile.

Carlotti uchylił drzwi i wystawił głowę na zewnątrz.

– Signora Ciapparelli, niech pani przyniesie Piera.

Odsunął się na bok, by wypuścić komisarza, i uściśnął mu dłoń. Zanim Brunetti przeszedł przez poczekalnię, drzwi do gabinetu się zaniknęły, a dziecko przestało płakać.

Rozdział 13

Po powrocie do biura Brunetti wybrał numer signoriny Simionato, ale i tym razem nikt nie odebrał. Pieniądze ulokowane na czterech kontach wciąż były dla niego zagadką. Nie ich łączna suma – wielu biednych na pozór ludzi zdążyło w ciągu długiego życia zgromadzić ukryte fortuny: odkładając lir do lira kosztem codziennych wyrzeczeń, dorabiali się czasem okazałych majątków, które pozostawiali krewnym lub Ko-

ściołowi. Całe życie spędzili na liczeniu – uświadomił sobie Brunetti – na liczeniu i odmawianiu sobie wszystkiego, co nie było niezbędne do przeżycia. Nigdy nie zasmakowali przyjemności ani nie zaspokoili swoich pragnień – a życie upływało. Lub, co gorsza, jedyną przyjemność sprawiało im zwiększanie swojego stanu posiadania.

Obserwował to zjawisko tyle razy, że już nie budziło w nim zdziwienia; zdumiewało go natomiast wyrafinowanie, z jakim wyciągnięto pieniądze z banków, a następnie wyprowadzono z kraju. Wyrafinowanie, no i szybkość tej operacji.

Transferów dokonano w poniedziałek po śmierci signory Battestini, na długo zanim można było podjąć jakiegokolwiek dzia-

łania prawne w związku z testamentem. Sugerowało to, że jedna z kobiet – lub obie – wykonała ten ruch, gdy tylko dowiedziała się o śmierci signory Battestini, to zaś z kolei

157 wskazywało, że starsza pani pilnowała swoich kont i zauważy-

łały każdą wypłatę po otrzymaniu miesięcznego wyciągu bankowego.

Zanotował sobie, żeby zapytać listonosza, czy wyciągi do-starczano jej do domu. Chociaż Brunetti nie znalazł żadnego ich śladu na strychu, cztery przesyłki z różnych banków – właściwie pięć, jeśli wliczyć w to jej normalny rachunek w Uni Credit – z pewnością nie uszłyby uwagi nawet najmniej spostrzegawczego listonosza.

W czasach młodości Brunetti miał się za człowieka mocno zaangażowanego politycznie. Wstąpił do pewnej partii, wspierał ją i cieszył się jej sukcesami, przekonany, że kiedy dojdzie ona do władzy, w kraju zapanuje większa sprawiedliwość społeczna.

Rozczarowanie następowало powoli, choć proces przyspieszyła postawa żony, która wyzbyła się wszelkich złudzeń co do polityki, zanim jeszcze zdał się na jej opinię w tej sferze. Zaprzeczał zarówno słowem, jak i nieugiętą postawą pierwszym oskarżeniom o nieuczciwość i notoryczną korupcję, stawianym ludziom, którzy, jak wierzył, poprowadzą kraj ku jasnej i sprawiedliwej przyszłości. Ale kiedy przyjrzał się zgromadzonym przeciwko nim dowodom – nie jako zwolennik, lecz jako policjant – natychmiast nabrał pewności, że są winni.

Od tamtej pory trzymał się z daleka od polityki, fatygując się na wybory jedynie po to, by dać przykład dzieciom, a nie dlatego, że wierzył, iż jego głos może mieć jakiegokolwiek znaczenie. W ciągu tych lat, gdy cynizm Brunettiego się pogłę-

biał, jego dawne przyjaźnie z politykami podupadły, a relacje z nimi stały się bardziej oficjalne niż serdeczne.

Teraz próbował sobie przypomnieć kogoś z obecnie 158

sprawujących władzę, komu nadal mógłby ufać, lecz żadne nazwisko nie przychodziło mu do głowy. Przeniósł uwagę na sędziów pokoju i wtedy z pamięci wyłoniło się jedno nazwisko – sędziego, który nadzorował śledztwo w sprawie kata-strofy ekologicznej spowodowanej przez kombinat petrochemiczny w Margherze. Niemłody już sędzia Galvani stał się ostatnio obiektem dobrze zorganizowanej kampanii mającej go zmusić do przejścia na emeryturę.

Brunetti znalazł jego nazwisko w opublikowanym kilka lat temu spisie urzędników miejskich i zadzwonił. Telefon odebrał sekretarz, który oznajmił, że sędzia jest nieosiągalny, ale kiedy Brunetti poinformował go, że pracuje w policji, męż-

czynna odrzekł, że postara się go odszukać. Wreszcie, gdy komisarz wspomniał, że dzwoni na osobiste polecenie vice-questore, sekretarz przyznał, że sędzia jest u siebie, i przełą-

czył rozmowę.

– Galvani – odezwał się niski głos.

– Dottore, mówi komisarz Guido Brunetti. Chciałbym spytać, czy znalazłby pan czas, żeby ze mną porozmawiać.

– Brunetti?

– Tak.

– Znam pańskiego zwierzchnika – zaskoczył go sędzia Galvani.

– Vice-questore Patte?

– Chyba nie ma dobrej opinii o panu, commissario.

– To przykre, dottore, ale obawiam się, że nie mam na to żadnego wpływu.

– Faktycznie – przyznał sędzia. – A o czym chciałby pan ze mną porozmawiać?

– Wolałbym tego nie mówić przez telefon.

Brunetti często stykał się w powieściach z określeniem 159

„wymowna pauza”. Wydawało się, że właśnie coś takiego nastąpiło. W końcu sędzia spytał:

– Kiedy chciałby się pan ze mną zobaczyć?

– Najszybciej jak to możliwe.

– Jest prawie szósta – stwierdził Galvani. – Wyjdę stąd za jakieś pół godziny. Możemy się spotkać w tym barze przy Ponte delle Becarie? – spytał, mając na myśli enoteca niedaleko targu rybnego. – O wpół do siódmej?

– To bardzo uprzejme z pańskiej strony – powiedział Brunetti. – Mam na sobie... – zaczął, ale sędzia mu przerwał.

– Rozpoznam pana – odparł i odłożył słuchawkę.

Kiedy Brunetti wszedł do baru, natychmiast rozpoznał sę-

dziego Galvaniego. Starszy mężczyzna stał przy kontuarze z kieliszkiem białego wina. Niski, przysadzisty, o nabrzmałym nosie nałogowego pijaka, ubrany w garnitur wytłuszczony na kołnierzu i mankietach, ani trochę nie przypominał z wyglądu sędziego, może raczej rzeźnika albo dokera. Ale Brunetti wiedział, że gdy tylko otworzy usta i przemówi – pięknie modu-lowanym głosem, wymawiając słowa z nienaganną dykcją, o jakiej większość aktorów mogłaby tylko pomarzyć – wówczas spod nieatrakcyjnej powłoki wyłoni się człowiek z krwi i ko-

ści.

Komisarz podszedł, stanął obok niego i wyciągając rękę na powitanie, powiedział:

– Dobry wieczór, dottore.

Uścisk dłoni sędziego był mocny, ciepły i energiczny.

– Może spróbujemy znaleźć jakieś miejsca? – zaproponował Galvani, obracając się ku stolikom w głębi sali, w większości zajęтым o tej porze dnia.

Akurat w tym momencie trzech mężczyzn wstało od stolika po lewej i sędzia szybko ruszył w tamtą stronę. Brunetti zatrzymał się przy barze, żeby zamówić kieliszek chardonnay.

Kiedy dotarł do stolika, Galvani już siedział, ale uniósł się lekko na krześle, gdy podszedł komisarz. Chociaż Brunettiego bardzo interesowało dochodzenie wszczęte przeciwko zakładom chemicznym w Margherze, gdzie pracowali dwaj jego wujowie, zanim zmarli na raka, nie poruszył tego tematu, wiedząc, że sędzia nie może i nie zechce o tym mówić.

Galvani podniósł kieliszek w stronę komisarza i pociągnął łyk.

– No więc?

– Poprosiłem pana o spotkanie w związku ze sprawą kobiety zamordowanej w zeszłym miesiącu, Marii Battestini.

Wydaje się, że w chwili śmierci miała kilka kont bankowych, na których zgromadziła w sumie ponad trzydzieści tysięcy euro. Konta zostały otwarte jakieś dziesięć lat temu, kiedy zarówno jej mąż, jak i syn pracowali w kuratorium oświaty, a wpłat dokonywano aż do jej śmierci.

Brunetti wziął kieliszek, ale odstawił go, nie spróbował wina. Ujął go za nóżkę i obracał nim nerwowo. Galvani milczał.

– Uważam, że kobieta oskarżona o morderstwo signory Battestini jest niewinna – ciągnął – ale nie mam żadnych dowodów, które potwierdzałyby moje przeświadczenie. A jeśli ona jej nie zabiła, to zrobił to ktoś inny. Jediną osobliwością, którą odkryliśmy dotąd w związku z signorą Battestini, jest istnienie tych kont. – Znów zrobił pauzę, lecz nadal nie spró-

bował wina.

– A na czym miałyby polegać moja rola w tym wszystkim? – spytał Galvani.

Brunetti spojrział na niego.

– Przede wszystkim musimy ustalić źródło tych wpłat.

Ponieważ obaj mężczyźni pracowali w kuratorium, tam najpierw chciałbym zrobić rozpoznanie.

Galvani skinął głową, więc Brunetti kontynuował:

– Jest pan sędzią od kilkudziesięciu lat, dottore, i wiem, że w trakcie swojej działalności miał pan powody, by uważnie się przyjrzeć pracy niektórych urzędów miejskich – powiedział, wcale nie czując dumy z powodu eufemistycznego opisu tego, co konserwatywna prasa nazwała „wściekłą kruczają” przeciwko weneckiej administracji. – Liczyłem więc na to, że miał

pan również do czynienia z kuratorium i tym, jak ono funkcjonuje. – W reakcji na tę uwagę Galvani rzucił mu chłodne, ba-dawcze spojrzenie, więc Brunetti dodał: – Funkcjonuje w rzeczywistości.

Sędzia skinął głową prawie niezauważalnie, lecz dla Brunettiego było to wystarczającą zachętą.

– Gdyby mógł pan podsunąć jakiś powód – ciągnął – coś, co mogłoby wyjaśnić dokonywanie tych wpłat. A może były tam jakieś nieprawidłowości, których lepiej nie zgłębiać.

– Nieprawidłowości? – spytał sędzia, a kiedy Brunetti skinął głową, szeroko się uśmiechnął. – Jak elegancko pan to ujął.

– Z braku lepszego słowa.

– Oczywiście – odparł Galvani. Oparł się na krzesło i znów uśmiechnął. Na tak brzydkiej twarzy uśmiech wydawał

się osobliwie słodki. – O kuratorium wiem bardzo niewiele, commissario. Lub, mówiąc dokładniej, wiem, ale nie wiem, a to chyba najczęstsza postawa, jaką przyjmujemy w życiu: skłonni jesteśmy w coś wierzyć, bo ktoś zrobił aluzję albo 162

coś nam zasugerował, albo po prostu dlatego, że jakieś wyja-

śnienie jako jedyne pasuje do tego, co już wiemy o danej sprawie. – Upił kolejny mały łyk i odstawił kieliszek. – Kuratorium, commissario, jest dla urzędników czymś w rodzaju przechowalni. Lub, jak pan woli, cmentarzyskiem słońi: to miejsce, gdzie zawsze wysyłało się beznadziejnie nieudolnych pracowników albo upychało kogoś, dopóki nie znalazła się lepiej płatna posada. Tak było jeszcze cztery czy pięć lat temu, ale wtedy nawet nasze władze miejskie uznały, że niektóre stanowiska powinno się powierzać profesjonalistom, którzy mają jakieś pojęcie o funkcjonowaniu oświaty. Przedtem te posady traktowano jak synekury, chociaż uważane były za dość kiepskie. Do tego doszła refleksja, że... jak by to powiedzieć, żeby tego nie powiedzieć... ludzie tam zatrudnieni

nie mogą liczyć na lepsze zarobki.

Brunetti miał wrażenie, że Galvani użył równie eleganc-kiego określenia jak on. Sędzia podniósł kieliszek i znów go odstawił, nie napiwszy się wina.

– Jeśli pan sądzi, że konta signory Battestini zostały stwo-rzone po to, żeby wpłacano na nie łapówki przeznaczone dla jej męża lub syna, to radzę, żeby pan przemyślał własną hipotezę. – Pociągnął łyk, odstawił kieliszek i dodał: – Rozumie pan, commissario, zgromadzenie stosunkowo niedużej sumy w ciągu tak długiego okresu nie wskazuje, że mamy tu do czynienia z tego rodzaju łapownictwem, z jakim stykam się na ogół w tym mieście. – Nie pozostawiając Brunettiemu czasu na wyciągnięcie wniosków z tego stwierdzenia, ciągnął: – Ale, jak mówiłem, nigdy nie miałem do czynienia z tym urzędem, więc może to zjawisko występuje tam na mniejszą skalę. –

Znów ten uśmiech. – I trzeba pamiętać, że korupcja, podobnie 163

jak woda, zawsze utoruje sobie drogę.

Przez chwilę Brunetti zastanawiał się nad tym, czy jego własne krytyczne spostrzeżenia dotyczące lokalnych władz zabrzmiałyby tak ponuro dla kogoś, kto nie był równie dobrze jak on obeznany z ich funkcjonowaniem. Odrywając się od tych refleksji i jednocześnie rezygnując z możliwości skomen-towania uwag sędziego, zapytał:

– Czy wie pan, kto kierował tym urzędem w tamtych latach?

Galvani zamknął oczy, położył łokcie na stoliku i oparł

czoło na dłoniach. Trwał w tej pozycji przez co najmniej minutę, a potem spojrzął na komisarza.

– Piero De Pra nie żyje, Renato Fedi prowadzi teraz firmę budowlaną, bodajże w Mestre, a Luca Sardelli dostał jakąś posadę w Assessorato dello Sport. O ile mnie pamięć nie myli, to oni trzej pełnili tę funkcję, dopóki nie sprowadzono tam profesjonalistów. – Brunetti sądził, że Galvani już skończył, ale ten dodał po chwili: – Żaden nie utrzymał się na tym stanowisku dłużej niż parę lat. Tak jak mówiłem, kuratorium to swego rodzaju przechowalnia albo trampolina, chociaż w przypadku Sardellego trudno powiedzieć, żeby skoczył wysoko. Tak czy owak żaden nie czerpał większych korzyści z racji sprawowania tej funkcji.

Komisarz zanotował nazwiska. Dwa dźwięczały znajomo w pamięci: De Pra, ponieważ miał siostrzeńca, który chodził

do szkoły z bratem Brunettiego, i Fedi, bo ostatnio został wybrany na posła do Parlamentu Europejskiego.

Oparł się pokusie, by zapytać sędziego o inne urzędy i nazwiska. Powiedział tylko:

– Hojnie ofiarował mi pan swój czas, dottore.

Po raz kolejny dziecięcy uśmieszek przeobraził twarz sędziego.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Zawsze chciałem się z panem spotkać, commissario. Uważałem, że warto poznać kogoś, kto przysparza tylu zgryzot vice-questore. – Powiedziawszy, że już zapłacił za wino, sędzia pożegnał się uprzejmie z Brunettim, tłumacząc, że spieszy się do domu na kolację, a następnie wyszedł.

Rozdział 14

Nazajutrz Brunetti zjawił się w ufficio postale o siódmej trzydzieści rano. Odszukał urzędniczkę nadzorującą pracę listonoszy, wylegitymował się i wyjaśnił, że chciałby porozmawiać z postino, który doręcza przesyłki w Cannaregio, w pobliżu Palazzo del Cammello. Kobieta powiedziała, żeby poszedł na pierwsze piętro i zapytał o niego w drugim pokoju po lewej, gdzie listonosze obsługujący rejon Cannaregio sortują pocztę. Pomieszczenie miało wysoki sufit, a całą przestrzeń wypełniały długie lady z przymocowanymi z tyłu półkami.

Stało przy nich dziesięciu lub dwunastu ludzi, którzy wkładali listy do przegródek albo je stamtąd wyciągali i pakowali do skórzanych toreb.

Zapytał pierwszą napotkaną osobę, długowłosą kobietę o dziwnie czerwonej karnacji, gdzie może znaleźć listonosza, który doręcza pocztę w rejonie Canale della Misericordia.

Popatrzyła na niego z nieskrywaną ciekawością, po czym wskazała mężczyznę stojącego w połowie długości stołu i zawołała:

– Mario, ktoś chce z tobą rozmawiać!

Pracownik nazwany Mariem spojrzał na nich, a potem na listy trzymane w rękach. Następnie, ledwie zerkając na nazwiska i adresy, powrzucał je szybko, jeden po drugim, do 166

przegródek i podszedł do komisarza. Był mężczyzną około czterdziestki, jak ocenił Brunetti, tego samego wzrostu co on, lecz szczuplejszym, o gęstych jasnobrązowych włosach opadających na czoło.

Komisarz przedstawił się i sięgnął po legitymację policyjną, lecz postino powstrzymał go gestem ręki i zaproponował, by porozmawiali przy kawie. Zeszli na dół do baru, gdzie Mario zamówił dla nich espresso, a potem spytał Brunettiego, w czym mógłby mu pomóc.

– Czy dostarczał pan pocztę Marii Battestini w Cannaregio...

Mario przerwał mu, recytując dokładny adres, a potem uniósł ręce, jakby się poddawał.

– Chciałem, ale naprawdę tego nie zrobiłem. Niech mi pan uwierzy.

Podano kawę i obaj mężczyźni wsypali cukier do filiżanek.

Mieszając, Brunetti spytał:

– Była aż taka okropna?

Mario upił łyk i dodał jeszcze pół łyżeczki cukru.

– Tak. – Dopił kawę i odstawił filiżankę na spodek. – Znosiłem jej pocztę przez trzy lata. Przez ten czas doręczyłem jej ze trzydzieści lub czterdzieści listów poleconych i musiałem wdrapywać się po schodach, żeby pokwitowała odbiór.

Wiedząc, że listonosz nigdy nie dostał napiwku od signory Battestini, Brunetti oczekiwał jakichś oznak niezadowolenia, lecz tamten powiedział tylko:

– Nie spodziewam się napiwków, zwłaszcza od starych ludzi, ale ona nigdy nie powiedziała mi nawet „dziękuję”.

– Sporo było tych listów poleconych, prawda? – spytał

Brunetti. – Jak często przychodziły?

– Co miesiąc. Z dokładnością szwajcarskiego zegarka. I to nie były zwyczajne listy, ale te bąbelkowe koperty, wie pan, w jakich się wysyła zdjęcia albo płyty CD.

Albo pieniądze, pomyślał Brunetti.

– Pamięta pan, od kogo przychodziły? – spytał.

– Było kilku nadawców – odparł Mario. – Sądząc po na-zwach, mogły to być organizacje dobroczynne: „Uśmiech Dziecka”, „Pomocna Dłoń”. Coś w tym stylu.

– Zapamiętał pan w szczególności któreś z nich?

– Doręczam pocztę prawie czterystu klientom – stwierdził listonosz, unikając bezpośredniej odpowiedzi.

– A może pan pamięta, kiedy zaczęły przychodzić?

– Och, signora już je dostawała, kiedy przydzielono mi ten rejon.

– A kto go przedtem obsługiwał?

– Nicolò Matucci, ale już odszedł na emeryturę i wrócił na Sycylię.

Pozostawiając temat przesyłek poleconych, komisarz spytał:

– Czy dostarczał pan jej również wyciągi bankowe?

– Tak, co miesiąc – odparł Mario i wymienił nazwy banków. – Wyciągi i rachunki. To właściwie jedyna korespondencja, jaką dostawała, nie licząc innych listów poleconych.

– Od kogo były te listy?

– Przeważnie od ludzi z sąsiedztwa, którzy skarżyli się na hałas z telewizora. – Zanim Brunetti zdążył go zapytać, skąd o tym wie, listonosz wyjaśnił: – Sami mi mówili o tych listach, bo chcieli się upewnić, że zostały doręczone. Wszystkim doku-czał ten hałas, ale nic nie mogli zrobić. Ona jest stara, to znaczy była, i policjanci też nic nie mogli zrobić. Są bezużyteczni. –

Spojrzał szybko na komisarza i dodał: – Pan wybaczy.

Brunetti skwitował te słowa swobodnym uśmiechem.

– Nie, ma pan rację – powiedział. – Tak naprawdę to nic nie możemy zrobić. Osoba narzekająca na hałas może wnieść formalną skargę, a to znaczy, że ludzie z pewnego wydziału –

nie znam jego nazwy, ale istnieje wydział, który rozpatruje podobne sprawy – muszą udać się na miejsce, żeby zmierzyć poziom hałasu w decybelach i stwierdzić, czy faktycznie jest to uciążliwość dla uszu. Nie pracują jednak w nocy i jeśli o tej właśnie porze otrzymają zgłoszenie, przyjadą dopiero następnego dnia rano, a do tego czasu hałas zazwyczaj ustaje.

Jak wszyscy policjanci w mieście dobrze znał ten problem i podobnie jak oni wiedział, że nie da się go rozwiązać.

– Czy dostarczał jej pan jeszcze jakąś korespondencję? – spytał.

– Kilka pocztówek na Boże Narodzenie i od czasu do czasu, to znaczy raz lub dwa razy w roku, jakiś list, oprócz tych ze skargami na hałas. A poza tym tylko rachunki i wyciągi bankowe. – Zanim Brunetti zdążył to skomentować, dodał: –

Jak na starszych ludzi to i tak całkiem sporo. Ich znajomi w większości powymierali, a ponieważ mieszkają tu całe życie, rodzina i pozostali znajomi są na miejscu, więc nie ma potrzeby, żeby pisać do siebie listy. Założę się, że starszycy, którym przynoszę listy, często są analfabetami, a płaceniem rachunków zajmują się ich dzieci. Nie, signora ani trochę nie różniła się od innych osób w jej wieku.

– Przez chwilę pan udawał, że niby podejrzewam pana o jej zabójstwo – rzekł Brunetti, kiedy zmięli w kierunku drzwi.

- Nie miałem powodu, naprawdę – odparł postino, odpowiadając na niezadane pytanie.
- Ale to przesadna reakcja na to, że nigdy nie powiedziała panu „dziękuję”.
- Nie podobało mi się, jak pomiatała tymi kobietami, które u niej pracowały, a szczególnie tą ostatnią, co ją zabiła – odparł. – Traktowała je jak niewolnice. Cieszyła się, jeśli doprowadziła którąś do płaczu. Sam to widziałem parę razy.

Mario zatrzymał się w drzwiach sortowni i wyciągnął rękę.

Brunetti podziękował mu za pomoc, uścisnął dłoń, po czym zszedł na dół i ruszył do wyjścia. Był już prawie w drzwiach, gdy usłyszał, że ktoś go woła, a kiedy się obrócił, zobaczył

Maria zmierzającego w jego stronę, z ciężką skórzaną torbą przerzuconą przez lewe ramię, i młodą kobietę o czerwonej twarzy, idącą o krok za nim.

- Commissario – powiedział, podchodząc. Sięgnął ręką do tyłu i chwycił kobietę za łokieć, by przyciągnąć ją bliżej. – To jest Cinzia Foresti. Obsługiwała ten rejon, zanim pięć lat temu przejął go Nicolò. Pomyślałem, że może zechce pan również z nią porozmawiać.

Młoda kobieta uśmiechnęła się nerwowo, a jej twarz poczerwieniała, o ile to możliwe, jeszcze bardziej.

- Doręczała pani pocztę signorze Battestini?

– I jej synowi – wtrącił Mario. Poklepał kobietę po ramieniu. – Muszę wracać do pracy – powiedział i ruszył w kierunku drzwi.

- Tak jak wspomniał pani kolega, signorina – rzekł Brunetti – interesuje mnie poczta, którą otrzymywała signora Battestini. – Widząc, że jest nieskora do mówienia, może z powodu nieśmiałości, a może ze strachu, dodał: – A zwłaszcza przychodzące co miesiąc wyciągi bankowe.

– Wyciągi? – powtórzyła z pewną nerwową ulgą.

Brunetti się uśmiechnął.

– Tak. I listy poleczone od sąsiadów.

Nagle kobieta spytała:

– A wolno mi o tym mówić? Bo korespondencja to prywatna sprawa.

Wyjął legitymację policyjną.

– Owszem, signorina, to prywatna sprawa, ale w takim przypadku jak ten, gdy dana osoba nie żyje, może pani swobodnie o tym mówić. – Nie chciał przeszarżować, sugerując, że jest do tego zobowiązana; poza tym nie był pewien, czy zmusiłby ją do rozmowy bez nakazu sądowego.

Postanowiła mu uwierzyć.

– Tak, przynosiłam jej wyciągi z banku co miesiąc. Jak obsługiwałam ten rejon.

– Coś jeszcze pani doręczała?

– Jej? Nie, właściwie nie. Rzadko jakiś list albo pocztów-kę. No i rachunki.

– A synowi?

Rzuciła mu nerwowe spojrzenie, lecz nie odpowiedziała.

Komisarz czekał.

– Głównie rachunki – odezwała się w końcu. – Czasem też listy. – Po bardzo długiej pauzie dodała: – I czasopisma.

Wyczuwając jej rosnący niepokój, zapytał:

– Było coś dziwnego w tych czasopismach, signorina?

Albo w listach?

Rozejrzała się po ogromnym otwartym holu, przesunęła trochę w lewo, żeby się oddalić od mężczyzny, który właśnie dzwonił z automatu przy drzwiach, i powiedziała:

– To były takie czasopisma z chłopcami.

Tym razem to bez wątpienia zdenerwowanie wywołało ognisty rumieniec na jej twarzy.

– Chłopcami? Ma pani na myśli małych chłopców?

Chciała odpowiedzieć, ale tylko spojrzała na swoje stopy i pokręciła głową, bardzo powoli. Postanowił zaczekać, aż sama to wyjaśni, lecz wtedy uświadomił sobie, że łatwiej jej będzie mówić, jeśli nie będzie na niego patrzeć.

– Młodzi chłopcy, signorina?

Tym razem pokiwała głową. Chciał się upewnić.

– Nastoletni?

– Tak.

– Mogę spytać, skąd pani to wie, signorina?

Z początku myślał, że nie odpowie, ale w końcu wykrztusiła:

– Któregoś dnia padało i torba wystawała mi spod peleryny, więc kiedy dotarłam do domu signory Battestini, koperty były przemoczone, to znaczy te leżące na wierzchu. Jak je wyciągałam z torby, z jednej wysunęło się czasopismo i upadło na ziemię. Podniosłam je, a wtedy samo się otworzyło i zobaczyłam zdjęcie chłopca. – Wciąż wpatrywała się w pod-

łogę pomiędzy stopami, jakby obawiała się na niego spojrzeć.

– Mam młodszego brata, który miał wtedy czternaście lat, i ten chłopiec wyglądał podobnie. – Przerwała, a Brunetti wiedział, że nie ma sensu jej prosić, by dokładniej opisała to zdjęcie.

– I co pani zrobiła, signorina?

– Wyrzuciłam czasopismo do śmietnika. On nigdy o nie nie zapytał.

– A miesiąc później, kiedy znowu przyszło?

– Też wyrzuciłam do śmietnika i następne również. Od tej pory przestały przychodzić.

– W jego poczcie było tylko jedno takie czasopismo?

– Tak, ale były też koperty. Takie z naklejką „zdjęcie” na wierzchu, ostrzegającą, żeby ich nie zginać.

– Co pani z nimi robiła?

– Po tym, jak zobaczyłam to czasopismo, zawsze zgina-

łam kopertę, zanim ją wepchnęłam do skrzynki na listy – odparła tonem, w którym gniew mieszał się z dumą.

Nie nasuwały mu się dalsze pytania, ale wtedy sama z siebie powiedziała:

– Niedługo potem on umarł i po pewnym czasie te listy przestały przychodzić.

Wyciągnął do niej rękę, a ona ją uścisnęła.

– Dziękuję, że chciała pani ze mną porozmawiać – rzekł i spontanicznie dodał: – Rozumiem panią.

Uśmiechnęła się nerwowo i znów poczerwieniała.

Po powrocie do komendy zostawił Vianellowi na biurku wiadomość, żeby przyszedł do niego, jak tylko dotrze na miejsce. Była środa, a w ten dzień tygodnia signorina Elettra rzadko zjawiała się w pracy wcześniej niż w południe, co cały personel zaakceptował bez zdziwienia czy sprzeciwu. W trakcie letnich miesięcy jej skóra nie nabrała ciemniejszego odcienia, a zatem signorina Elettra nie spędzała czasu na plaży; nie przysyłała też widokówek, co znaczyło, że nie wyjeżdżała z Wenecji. W środowy poranek nikt jej nigdy nie spotkał na ulicy; gdyby tak było, z pewnością wiedzieliby o tym wszyscy w komendzie. Więc może po prostu przebywała w domu i prasowała swoje płócienne bluzki, uznał Brunetti.

Wciąż wracał myślami do syna signory Battestini. Chociaż wiedział, że mężczyzna miał na imię Paolo, ciągle myślał o nim jako o synu signory Battestini. W chwili śmierci miał czterdzieści lat, ponad dziesięć lat przepracował w jednym z 173

urzędów miejskich, jednak wszyscy, z którymi Brunetti rozmawiał, wyrażali się o nim wyłącznie jako o jej synu, zupełnie jakby nie istniał samodzielnie. Komisarz nie znosił żargonu psychoterapeutów ani szybkich i łatwych analiz, jakie stosowali w odniesieniu do powikłanych ludzkich osobowości, ale w tym przypadku, jak sądził, odkrył wzorzec tak oczywisty, że trudno go było przeoczyć: weźmy dominującą matkę, umie-

śmy ją w zamkniętej, konserwatywnej społeczności, dodajmy do tego ojca, który lubi przesiadywać w barze z kumplami, a można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że syn jedy-nak będzie homoseksualistą. Zaraz jednak pomyślał o swoich znajomych gejach, których matki były tak bierne, że wydawa-

ły się niewidzialne, a ich mężowie potrafili pożreć wołu na obiad, i oblał się rumieńcem wstydu jak ta kobieta z poczty.

Chcąc się dowiedzieć, czy Paolo Battestini rzeczywiście był gejem, wybrał służbowy numer Domenica Lallego, wła-

ściciela jednego z zakładów chemicznych objętych dochodzeniem, które nadzorował sędzia Galvani. Podał swoje nazwisko, a kiedy sekretarka Lallego próbowała go zbyć, powiedział, że chodzi o policyjne śledztwo, i zasugerował, żeby spytała szefa, czy chce z nim rozmawiać.

Minutę później uzyskał połączenie.

– Kto tym razem, Guido? – spytał Lalli, który dawniej służył Brunettiemu za źródło informacji o gejowskim środowisku w Mestre i Wenecji. W jego głosie nie było gniewu, jedynie zniecierpliwienie typowe dla człowieka, który zarządza dużą firmą.

– Paolo Battestini. Pracował kiedyś w kuratorium, a pięć lat temu zmarł na AIDS.

– Rozumiem – odparł Lalli. – A co w szczególności chciałbyś wiedzieć?

– Czy był gejem, czy interesował się nastoletnimi chłopcami i czy z kimś dzielił to swoje upodobanie.

Lalli mruknął z dezaprobatą, a potem spytał:

– To jego matkę zamordowano kilka tygodni temu?

– Tak.

– Ma to jakiś związek z jego skłonnościami?

– Być może. Dlatego cię proszę, żebyś spróbował się czegoś dowiedzieć.

– Pięć lat temu?

– Tak. Zdaje się, że prenumerował czasopismo ze zdjęciami chłopców.

– To nieprzyjemne – skomentował odruchowo Lalli. – I głupie. Mogą ściągać z Internetu, co tylko chcą, chociaż nadal uważam, że powinno się ich wszystkich pozamykać.

Brunetti wiedział, że Lalli ożenił się jako młody człowiek i dochował już trojga wnucząt, z których był niezmiernie dumny. Obawiając się, że będzie musiał wysłuchać litanii ich naj-

świeższych dokonań, powiedział:

– Będę wdzięczny za jakiegokolwiek informacje.

– Hm. Popytam tu i tam. Kuratorium, mówisz?

– Tak. Na pewno znasz tam kogoś.

– Wszędzie znam kogoś, Guido – odparł Lalli krótko, bez cienia przechwałki. – Zadzwoń, jeśli się czegoś dowiem –

powiedział i odłożył słuchawkę.

Brunetti zastanawiał się, kogo jeszcze mógłby spytać o tę sprawę, ale dwaj mężczyźni, którzy mogliby mu pomóc, byli teraz, o ile się orientował, na wakacjach, postanowił więc, zanim się z nimi skontaktuje, zaczekać na informacje od Lallego. Podjąwszy decyzję, zszedł na dół, żeby sprawdzić, czy pojawił się już Vianello.

Rozdział 15

Nie zastał Vianella w pokoju służbowym. A kiedy stamtąd wychodził, zderzył się w drzwiach z porucznikiem Scarpą.

Po wymownej pauzie, podczas której skutecznie blokował ciałem wejście, porucznik zrobił krok do tyłu i powiedział:

– Czy mogę zamienić z panem słowo, commissario?

- Oczywiście.
- Może u mnie? – zasugerował Scarpa.
- Obawiam się, że muszę wrócić do swojego biura – odparł Brunetti, nie chcąc oddawać przeciwnikowi przewagi terytorialnej.
- Sądzę, że to ważne, commissario. Ma to związek z za-bójstwem signory Battestini.

Komisarz przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Naprawdę? A o co chodzi?
- O tę Gismondi – rzucił krótko Scarpa i najwyraźniej nie zamierzał na razie rozwijać tematu.

Chociaż, usłyszawszy to nazwisko, komisarz odczuł ciekawość, postanowił milczeć, by uzyskać w ten sposób tak-tyczną przewagę.

Po dłuższej chwili Scarpa podjął wątek:

- Odsłuchałem nagrania dwóch zgłoszeń Gismondi, kiedy do nas dzwoniła, i odkryłem, że dwukrotnie jej groziła.

– Kto komu groził, poruczniku? – spytał Brunetti.

– Signora Gismondi groziła signorze Battestini.

– Dzwoniąc na policję? Nie sądzi pan, że powodowały nią emocje?

Przyglądał się, jak Scarpa próbuje nad sobą zapanować, zaciskając usta i unosząc się minimalnie na piętach. Pomyślał o tym, jak łatwo przychodzi mu obudzić w przeciwniku odczu-cie słabości, i nie spodobała mu się ta myśl.

– Gdyby znalazł pan chwilę, by posłuchać tych nagrań, pewnie by pan zrozumiał, o co mi chodzi – powiedział porucznik.

– Nie można z tym zaczekać? – spytał Brunetti, nawet nie próbując ukryć irytacji.

Scarpa nieco się rozluźnił, zupełnie jakby widok zniecier-pliwionej miny komisarza wystarczająco go satysfakcjonował.

– Jeśli nie chce pan usłyszeć, jak osoba, która, co sama przyznaje, prawdopodobnie ostatnia widziała ofiarę żywą, używa wobec niej pogróżek, to już wyłącznie pańska sprawa.

Ja jednak uważałem, że należałoby się tym bliżej zainteresować.

– Gdzie one są? – spytał Brunetti. Scarpa udał, że nie rozumie.

– Gdzie co jest, commissario!

Powstrzymując odruch, żeby go nie uderzyć, komisarz uświadomił sobie, jak często nachodziło go to pragnienie.

Pattę uważał za zadowolonego z siebie oportunistę, zdolnego uczynić niemal wszystko, byle utrzymać się na stanowisku.

Ale to właśnie ta ludzka słabość ukryta w słowie „niemal” powodowała, że Brunetti, nawet jeśli nie lubił Patty, to nie życzył mu źle. Natomiast Scarpy szczerze nienawidził.

Brzydził się nim – tak jak wzdragałby się wejść do ciemnego pokoju, z którego wydobywa się dziwny odór. I choć w większości pokoi można zapalić światło, obawiał się, że nie sposób oświetlić wnętrza Scarpy; przeczuwał też, że gdyby udało się zobaczyć, co kryje się w tym wnętrzu, odczułoby się jedynie strach.

Niechęć komisarza do udzielenia odpowiedzi była tak wi-doczna, że Scarpa odwrócił się, mruknął pod nosem: „W laboratorium” – i ruszył w stronę tylnych schodów.

Nie zastali w laboratorium Bocchesego, choć silny zapach tytoniu wskazywał, że musiał stamtąd wyjść niedawno. Scarpa podszedł do ściany na końcu pomieszczenia, gdzie na długiej drewnianej ladzie stał duży odtwarzacz kasetowy. Obok leżały dwie dziesięćdziesięciminutowe kasety, obie opatrzone datą i sygnaturą.

Porucznik podniósł jedną, spojrzął na opis i wsunął do urządzenia. Potem wziął słuchawki, włożył je na głowę, wcisnął przycisk „play”, słuchał przez kilka sekund, wcisnął

„stop”, przewinął taśmę do przodu i znów ją puścił. Po trzech próbach udało mu się znaleźć właściwe miejsce, a wtedy zatrzymał taśmę, cofnął ją kawałek i wręczył słuchawki Brunettiemu.

Czując wstręt do przedmiotu, który miał tak bliski kontakt z ciałem Scarpy, komisarz spytał:

– Nie może pan tego puścić tak normalnie?

Scarpa wyciągnął wtyczkę słuchawek z gniazdka i wcisnął

„play”.

„Mówi Assunta Gismondi z Cannaregio. Dzwoniłam już wcześniej”.

Komisarz rozpoznał jej głos, ale nie ton, napięty od gniewu.

„Tak, signora. O co chodzi tym razem?”

„Mówiłam panu półtorej godziny temu. Nastawiłam telewizor tak głośno, że sam pan może to usłyszeć. – Głosy dwojga ludzi, którzy najwyraźniej się kłócili, przybliżyły się, a potem przycichły. – Słyszysz pan? Jej okna są oddalone o dziesięć me-trów, a ja to słyszę tak, jakby to było w moim domu”.

„Niestety, nic nie mogę poradzić, signora. Patrol wyjechał do innego wezwania”.

„I zajmuje się tym wezwaniem od półtorej godziny?”

„Nie mogę pani udzielić tej informacji, signora.

„Jest prawie czwarta nad ranem – powiedziała głosem bliskim hysterii lub płaczu. – Włączyła telewizor o pierwszej.

Chciałabym choć trochę się przespać”.

„Mówiłem już pani, kiedy pani poprzednio dzwoniła.

Funkcjonariusze z patrolu otrzymali pani adres i przyjadą, jak tylko będą mogli”.

„To się dzieje już trzecią noc z rzędu, ale ani razu nie widziałam tu policjanta” – powiedziała jeszcze ostrzejszym tonem.

„Nic mi w tej sprawie nie wiadomo, signora.

„To co ja mam zrobić? Pójść tam i ją zabić?!” – wrzasnęła signora Gismondi do słuchawki.

„Mówiłem pani – odpowiedział beznamiętny głos dyżurnego z centrali – patrol przyjedzie, jak tylko to będzie możliwe”.

Któreś z nich przerwało połączenie i dalej było słychać tylko cichy szum przesuwanej się taśmy.

Scarpa zwrócił się do Brunettiego, mówiąc równie obojętnym głosem:

– Na następnej taśmie słychać, jak Gismondi autentycznie grozi, że ją zabije.

– Co mówi?

– „Jeśli jej nie powstrzymacie, to pójde tam i ją zabiję”.

– Chciałbym tego posłuchać – powiedział Brunetti.

Porucznik wsunął następną kasetę do odtwarzacza, przewinął ją do połowy, przez chwilę szukał właściwego miejsca i puścił. Rzeczywiście wiernie przytoczył słowa signory Gismondi i Brunettiego aż ciarki przeszły, gdy usłyszał jej gniewny, balansujący na granicy hysterii głos.

„Jeśli jej nie powstrzymacie, to pójde tam i ją zabiję”.

To, że dzwoniła o trzeciej trzydzieści nad ranem i że był to już jej czwarty telefon na policję tej nocy, zdaniem Brunettiego wyraźnie wskazywało, że w jej głosie przebijał gniew, a nie wyrachowanie, jednak sędzia mógłby to ocenić inaczej.

– Ma też na koncie używanie przemocy – rzucił Scarpa mimochodem. – Kiedy się to połączy z tymi pogroźkami, to uzyskamy solidne podstawy do tego, żeby ją ponownie przesłuchać w sprawie jej poczynań tamtego ranka.

– O jakiej przemocy pan mówi? – spytał Brunetti.

– Osiem lat temu, kiedy była jeszcze mężatką, zaatakowała swojego męża i groziła, że go zabije.

– Jak go zaatakowała?

– Z raportu policji wynika, że chlusnęła na niego wrzątkiem.

– Co jeszcze jest w tym raporcie?

– Mam go u siebie w pokoju, w razie gdyby zechciał pan przeczytać.

– Co jeszcze tam jest, Scarpa?

Porucznik spojrział zdziwiony, odruchowo odsuwając się o krok.

– Byli w kuchni, pokłócili się i ona chlusnęła na niego wrzątkiem.

– Miał poważne obrażenia?

– Niezbyt. Woda wylądowała na jego butach i spodniach.

– Wniósł oskarżenie?

– On nie, commissario. Sporządzono raport, ale z oskarżenia się wycofano.

Nagle Brunetti nabrał podejrzeń.

– On nie? To kto wycofał się z oskarżenia?

– To mało istotne, commissario.

– No kto? – spytał Brunetti głosem tak napiętym, że zabrzmiało to jak szczeknięcie.

– Ona – odparł Scarpa po pauzie, którą starał się przedłużyć, jak tylko się da.

– O co miałyby go oskarżyć?

Komisarz obserwował Scarpę, zastanawiającego się, czy nie powołać się znów na raport, i zauważył moment, w którym porucznik odstąpił od tego zamiaru.

– O napaść.

– Jakiego rodzaju?

– Złamał jej nadgarstek, a przynajmniej tak twierdziła.

Czekał, aż Scarpa rozwinie wąż, lecz na próżno.

– Chlusnęła na niego garnkiem wrzątku, mając złamany nadgarstek? – spytał.

Porucznik, jakby te słowa do niego nie dotarły, odparł:

– Jakakolwiek była przyczyna, mamy tu do czynienia z użyciem przemocy.

Komisarz odwrócił się i wyszedł z laboratorium.

Ruszył do swojego biura, czując, jak niewyrażony gniew rozsadza mu pierś i powoduje łomotanie serca. Zdał sobie sprawę, że Scarpa chciał wszystko tak ukartować, żeby 181 ściągnąć podejrzenie na signorę Gismondi, i choć robił to to-pornie – wyraźnie do tego dążył. Brunetti nie rozumiał tylko dlaczego. Scarpa nic nie mógł zyskać na tworzeniu pozorów, że to signora Gismondi jest morderczynią.

Nagle pojął, w czym rzecz, i stawiając ciężko stopę na kolejnym stopniu, potknął się, zataczając na ścianę. Scarpie nie zależało na tym, by akurat na nią zrzucić winę. Chciał, by ktoś inny znalazł się poza podejrzeniem. Lecz w miarę jak wchodził po schodach, odezwał się w nim zdrowy rozsądek i podsunął mniej szokujące wytłumaczenie: Scarpa

chciał jedynie utrudnić mu śledztwo, a najskuteczniej mógł to zrobić, tworząc fałszywy trop prowadzący do signory Gismondi.

Ta myśl tak go dręczyła, że nie mógł wysiedzieć w biurze.

Odczekał parę minut, dając Scarpie czas na opuszczenie klatki schodowej, a potem zszedł na dół do signoriny Elettry. Okaza-

ło się, że jeszcze się nie pojawiła. Gdyby weszła w tym momencie, zażądałby, być może podnosząc głos do krzyku, wyja-

śnienia, gdzie się podziewała i jakim prawem wzięła sobie w środe pół dnia wolnego, skoro jest tyle pracy. Wracając do siebie, wciąż wygłaszał w myślach tę tyradę, wygrzebując z przeszłości różne incydenty, przeoczenia i wybryki, które mógł jej wypomnieć.

Znalazłszy się u siebie, zdjął marynarkę i cisnął ją na biurko, ale zrobił to z taką siłą, że prześlizgnęła się po blacie i spadła na podłogę, pociągając za sobą stertę luźnych dokumentów, nad którymi ślęczał poprzedniego popołudnia, układając je chronologicznie. Rozsierdzony jeszcze bardziej, dał

głośno wyraz poważnym wątpliwościom co do dziewictwa czyjejś matki.

W tym właśnie momencie zjawił się Vianello. Słyszając go w drzwiach, Brunetti odwrócił głowę i burknął: 182

– Proszę wejść.

Inspektor popatrzył na marynarkę i rozrzucone papiery, po czym bez słowa minął Brunettiego i usiadł na krześle.

Komisarz przyjrzał się jego potylicy i ramionom. Rozbawi-

ła go ta bezzasadnie sztywna poza i nastrój nieco mu się poprawił.

– Scarpa – powiedział, podchodząc do biurka. Schylił się, podniósł marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła, a potem zgarnął z podłogi papiery, rzucił je na blat i wreszcie usiadł.

–

Próbuje stworzyć pozory, że to signora Gismondi ją zabiła.

– Próbuje? Jak?

– Ma taśmy z nagraniem jej rozmów. Dwa razy zadzwoni-

ła na policję, skarżąc się na hałas z telewizora. I dwukrotnie groziła, że zabije starszą panią.

– W jaki sposób groziła? – spytał Vianello. – Na poważnie czy pod wpływem gniewu?

– Myśli pan, że jest jakaś różnica?

– Krzyczał pan kiedyś na swoje dzieci, commissario? To jest gniew. A na poważnie to jest wtedy, gdy pan je bije.

– Nigdy tego nie robiłem – odparł szybko Brunetti, jakby go o to oskarżano.

– A ja tak – przyznał Vianello. – Raz. Z pięć lat temu. –

Brunetti czekał na jakieś wyjaśnienie, ale nie nastąpiło. Zamiast tego Vianello dodał: – Jeśli się o tym mówi, to znaczy, że się tylko mówi. – Oderwał się od teorii i przeszedł do konkretów. – Zresztą jak by się dostała do środka?

Brunetti obserwował, jak inspektor rozważa i wyklucza kolejno różne sposoby. Wreszcie Vianello stwierdził:

– Nie, to nie ma żadnego sensu.

– W takim razie dlaczego on to robi? – spytał Brunetti, 183

ciekaw, czy Vianello dojdzie do tych samych konkluzji co on.

– Mogę mówić szczerze, commissario?

– Oczywiście.

Inspektor spojrział na swoje kolana, strzepnął ze spodni ja-kiś niewidoczny pyłek i powiedział:

– Dlatego, że pana nienawidzi. Ja jestem dla niego zbyt mało ważny, żeby mnie nienawidził, ale z pewnością byłby do tego zdolny, gdyby uznał, że na to zasługuję. A poza tym boi się Elettry.

W pierwszym odruchu Brunetti chciał się sprzeciwić tej in-terpretacji, ale zmusił się do jej głębszego rozważenia. Zdawał

sobie sprawę, że takie wyjaśnienie go nie zadowala, bo ukazuje Scarpę w lepszym świetle niż to, w którym on chciał go widzieć: niejako nikczemnika, który knuje, lecz po prostu człowieka pełnego nienawiści. Przyciągnął do siebie papiery i zaczął je od nowa układać według dat.

– Mam wyjść, commissario? – spytał Vianello.

– Nie. Zastanawiam się nad tym, co pan powiedział.

Jeśli jakaś możliwość wydawała się aż nadto oczywista, prawdopodobnie stanowiła prawidłowe wyjaśnienie – ileż to razy przywoływał tę zasadę? A więc tylko złośliwość, a nie udział w zмовie. Nawet jeśli skłonny był przyznać, że to bardziej prawdopodobne, nie mógł zaprzeczyć, że by się ucieszył, gdyby Vianello również wierzył, że Scarpą powodują bardziej złowieszcze, przestępcze motywy. Spojrział na inspektora.

– W porządku – przyznał w końcu. – To całkiem możliwe.

Przez chwilę rozważał konsekwencje: Scarpa zaszczepia w umyśle Patty tezę, że signora Gismondi jest winna morderstwa; 184

oznaczałoby to, że Brunetti – aby nie wzbudzać niepokoju Patty i nie zostać odsuniętym od sprawy – musiałby udawać, iż podziela ten pogląd; w związku z tym trzeba by poświęcić więcej czasu na zbadanie życia signory Gismondi, wykazując przy tym, co nieuchronne, taki brak taktu, że przesłuchiwana stałaby się opornym świadkiem; a kiedy by ją wreszcie nakłoniło do zmiany zeznań w sprawie Fiori Ghiorghiu, Patta powróciłby do swojego teraz już potwierdzonego przeświadczenia, że Rumunka jest morderczynią, i sprawa znów zоста-

łyby uznana za rozwiązana.

– I have measured out my life with coffee spoons* – wyrecytował Brunetti, a Vianello posłał mu tak dziwne spojrzenie, że natychmiast dodał: – Tak mawia moja żona.

* „Łyżeczkami od kawy odmierzyłem życie”. T. S. Eliot, *Śpiew miłosny* J. Alfreda Prufrocka, tłum. Adam Pomorski.

– Moja za to mówi, że powinniśmy lepiej się przyjrzeć synowi signory Battestini – odparł inspektor.

Brunetti uznał, że zanim opowie Vianellowi o swoich rozmowach w urzędzie pocztowym, wolałby najpierw usłyszeć, czego ten dowiedział się o Paolu Battestinim, więc zapytał krótko:

– Dlaczego?

– Nadia twierdzi, że nie podoba jej się otaczająca go atmosfera, a przynajmniej sposób, w jaki ludzie o nim mówią.

Według niej to dziwne, że tyle osób znało go tak długo, obserwowało, jak dorasta, a mimo to nie miało o nim prawie nic do powiedzenia.

Brunetti w zasadzie podzielał jego opinię.

– A czy domyśla się, co się za tym kryje?

Vianello pokręcił głową.

– Nie, uważa tylko, że to nie jest normalne, by nikt nie chciał o nim rozmawiać.

Brunetti dostrzegł minę Vianella – umiarkowane zadowolenie – i odgadł, że inspektor dowiedział się czegoś, co by potwierdzało analizę jego żony. Żeby zrobić mu przyjemność i zachęcić do wyjawienia tej rewelacji, spytał:

– Co pan zastał w kuratorium?

– Wszystko działa po staremu.

– Czyli jak?

– Typowy urząd miejski w dawnym stylu. Zadzwoiłem tam i wyjaśniłem, że w związku z pewnym dochodzeniem kryminalnym chciałbym porozmawiać z dyrektorem. Uznałem, że lepiej nie mówić, o jakie dochodzenie chodzi. Ale okazało się, że dyrektor wyjechał do Treviso na jakieś spotkanie, podobnie jak jego zastępca, a urzędniczka, z którą udało mi się pogadać, powiedziała, że pracuje tam dopiero od trzech tygodni i nie może mi w niczym pomóc. – Skrzywił się i dodał: – Pewnie by nie pomogła, nawet gdyby przepracowała tam trzy lata.

Brunetti, oswojony ze stylem mówienia inspektora, czekał

cierpliwie. Vianello strzepnął kolejny niewidoczny pyłek ze spodni i kontynuował:

– Więc w końcu zgodziłem się porozmawiać z kierowniczką działu personalnego i poszedłem do jej biura. Zdążyli się już zmodernizować i teraz wszyscy mają nowe biurka i komputery. Ta urzędniczka kieruje działem, który nazywa się teraz Zarządzanie Zasobami Ludzkimi – ciągnął Vianello, a Brunetti aż się wzdrygnął na to kanibalistyczne określenie.

–

Poprosiłem, żeby mi udostępniła akta personalne Paola Battestiniiego, a ona spytała, kiedy tam pracował. Kiedy jej powiedziałem, odparła, że trudno będzie znaleźć akta z pewnych 186

okresów, bo urząd akurat wprowadza informacje o zatrudnieniu do systemu komputerowego. – Widząc minę komisarza, wyjaśnił: – Nie, nie zainteresowałem się, jak długo to potrwa, ale spytałem, których lat to dotyczy. – Spojrzał na Brunettiego, szukając aprobaty, a kiedy ją uzyskał, podjął wątek: –

Sprawiła jego nazwisko w komputerze, stwierdziła, że ostatnie pięć lat jego zatrudnienia jest już wprowadzone do systemu, i zrobiła mi wydruk.

– Jakiego rodzaju są to informacje?

– Raporty zwierzchników dotyczące wyników pracy, terminy urlopów, zwolnienia lekarskie, tego typu rzeczy.

– Zabrał pan ten wydruk?

– Tak, dałem go signorinie Elettrze, kiedy przyszedłem. –

Brunetti odnotował, że zjawiała się już w pracy, a Vianello dodał: – Pod koniec zatrudnienia często brał długie zwolnienia lekarskie i Elettra sprawdza szpitalne kartoteki, żeby ustalić, czy przebywał w szpitalu, a jeśli tak, to z jakiego powodu.

– Oszczędzę jej fatygi – powiedział Brunetti. – Paolo Battestini zmarł na AIDS.

Widząc zaskoczenie inspektora, streścił mu swoją rozmowę z doktorem Carlottim z poprzedniego dnia i przeprosił go, że nie zadzwonił, by mu o tym powiedzieć, przed jego wizytą w kuratorium.

– Lepiej to potwierdzić w dwóch źródłach – skwitował

Vianello.

Brunetti poczuł ukłucie gniewu, słysząc sugestię, że to, co ustalili, wymaga potwierdzenia, ale opanował emocje.

– Udało się panu porozmawiać z kimś, kto z nim pracował? – spytał.

– Tak. Kiedy dostałem już wydruk, jeszcze prawie do dziesiątej pałętałem się po korytarzu i w pewnej chwili usłyszałem rozmowę dwóch urzędników – oceniłem, że mogli pracować razem z Battestinim – którzy wybierali się na kawę do baru po drugiej stronie ulicy. Złożyłem papiery tak, żeby widać było nagłówek firmowy, i poszedłem za nimi.

Komisarz nie mógł się nadziwić, jak ten mężczyzna, wyż-

szy i potężniej zbudowany niż on, tak łatwo stawał się niewidzialny, gdy tylko zaczynał rozmawiać z ludźmi.

– I? – ponaglił.

– Powiedziałem, że jestem z oddziału w Mestre, a oni mi uwierzyli, bo nie mieli powodu, żeby nie wierzyć. Widzieli mnie w biurze, widzieli też, jak urzędniczka dała mi wydruk, sądzili więc, że przyjechałem załatwić jakieś sprawy służbo-we. Zaglądałem tej kobiecie przez ramię, kiedy szukała w komputerze akt personalnych, i zobaczyłem kilka nazwisk obecnych pracowników kuratorium. Zamówiłem więc kawę i zapytałem tych dwóch, co słychać u kogoś tam, bo już kopę lat go nie widziałem. A potem zagadnąłem o Battestiniego: czy to jego matkę niedawno zabito i jak on to zniósł, bo przecież zawsze wydawał się taki do niej przywiązany.

Bez wątpienia Vianello był dumny ze swojego wyczynu.

– Przebiegłość węża, inspektorze – pochwalił go Brunetti.

– Wtedy jednak wszystko się zmieniło. To było bardzo dziwne, commissario. Zupełnie jakbym chwycił tego samego przebiegłego węża i rzucił im pod nogi. Jeden z nich cofnął się o krok, położył pieniądze na kontuarze i wyszedł. Zapadło długie milczenie, a potem ten drugi w końcu powiedział, że o ile wie, to ten Battestini już tam nie pracuje. W ogóle nie 188

wspomniał o tym, że nie żyje. Po chwili też się ulotnił. Zaproponowałem, że zapłacę za kawę, a kiedy się odwróciłem, face-ta już nie było – ani obok mnie, ani w barze. –

Pokręcił głową na to wspomnienie.

– Czy wyczuł pan, dlaczego tak reagują na jego nazwisko?

– Dwadzieścia lat temu mogłoby chodzić o to, że był gejem, ale dziś już nikogo to nie szkodzi – stwierdził Vianello. –

W dodatku większość ludzi ze współczuciem myśli o kimś, kto zmarł na AIDS, więc moim zdaniem chodzi o coś innego, o coś, co prawdopodobnie ma związek z kuratorium. Lecz cokolwiek to jest, nie chcieli, żeby obcy człowiek wypytywał

ich o niego. – Uśmiechnął się i dodał: – Przynajmniej ja tak to widzę.

– Prenumerował czasopismo ze zdjęciami chłopaków –

powiedział Brunetti i obserwował, jakie wrażenie ta informacja robi na inspektorze. Potem gwoli jasności dodał: – Nastolatków, nie małych chłopców.

– Nie jestem pewien, czy koledzy z pracy by o czymś takim wiedzieli – rzekł Vianello po chwili.

Komisarz przyznał mu rację.

– W taki razie musi to mieć związek z jego pracą w kuratorium.

– Na to wygląda – zgodził się Vianello.

Rozdział 16

Byli w drodze do biura signoriny Elettry, żeby oszczędzić jej niepotrzebnej fatygi – Brunetti nie wiedział, jak to określić:

„dostania się” czy „włamania” do szpitalnych kartotek – kiedy zdał sobie sprawę, że już go nie obchodzi, w jaki sposób ona zdobywa informacje, które mu przekazuje. Ta myśl z kolei wzbudziła w nim poczucie winy, że tak się na nią rozzłościł z powodu jej nieobecności. Podobnie jak Otello, miał porucznika, który potrafił zatruć jego najlepsze uczucia.

Signorina Elettra włożyła tego dnia długą sukienkę z białe-go luźno tkanego lnu i miała rozpuszczone włosy, jakby ktoś ją uprzedził, że dzisiaj wystąpi w roli Desdemony. Powitała ich uśmiechem, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Vianello spytał:

– I co, udało się?

– Jeszcze nie – przeprosiła. – Dostałam telefon od vice-questore. – I jakby to nie było wystarczającym wyjaśnieniem, dodała: – Chciał, żebym napisała w jego imieniu pismo, i miał

bardzo szczegółowe wymagania co do doboru słów. – Zrobiła pauzę, czekając, który z nich zapyta pierwszy.

Zapytał Vianello.

- Czy wolno pani wyjawic, jaka jest natura tego pisma?
- Na miłość boską, nie! Gdybym to zrobiła, wszyscy w komendzie by się dowiedzieli, że vice-questore stara się o pracę w Interpolu.
- Brunetti pierwszy się otrząsnął.
- No tak, oczywiście. To było do przewidzenia.
- Vianello nie mógł znaleźć słów, które by dosadnie wyraziły jego uczucia.
- Czy może nam pani zdradzić, do kogo to pismo jest adresowane? – spytał Brunetti.
- Nie pozwala mi na to lojalność wobec vice-questore, commissario – odparła głosem pełnym pobożnej szczerości, która Brunettiemu zawsze kojarzyła się z politykami i księżmi.
- Potem, wskazując palcem leżący na stole arkusz papieru, zapytała od niechcienia: – Czy sądzi pan, że pismo do burmistrza z prośbą o list polecający należy wysłać drogą służbową?
- Szybciej byłoby wysłać je e-mailem – zasugerował Brunetti.
- Vice-questore jest tradycjonalistą – wtrącił się inspektor.
- Sądzę, że wolałby własnoręcznie podpisać to pismo.
- Signorina Elettra skinęła głową, po czym powróciła do pierwszego pytania Vianella.
- Myślę, że mogłabym zerknąć na jego kartę pacjenta.
- To nie jest konieczne – powiedział komisarz. – Battestini zmarł na AIDS.
- Ach, biedny człowiek – westchnęła.
- Prenumerował też czasopismo ze zdjęciami młodych chłopców – dorzucił Vianello ostrym tonem.
- Mimo wszystko zmarł na AIDS, inspektorze – powiedziała. – A nikt na to nie zasługuje.

Po długiej ciszy Vianello mruknął: „Być może”, przypominając im, że ma dwójkę dzieci, które dopiero co stały się na-stolatkami.

Zapadło niezręczne milczenie. Zanim zdążyło przygnieść ich swoim ciężarem, odezwał się Brunetti:

– Vianello rozmawiał z ludźmi z sąsiedztwa i w jego miejscu pracy. Wszyscy reagowali w ten sam sposób: ilekroć padło jego nazwisko, okazywało się, że nikt nic o nim nie wie.

Ogólnie wszyscy są zgodni, że jego matka miała podły charakter, a ojciec był una brava persona i lubił sobie wypić. Ale sama wzmianka o Paolu powodowała, że ludzie nabierali wo-dy w usta. – Dał jej moment na zastanowienie, po czym spytał:

– Co pani o tym sądzi?

Usiadła i nacisnęła przycisk wygaszający ekran komputera.

Potem oparła łokieć na biurku, dłonią dotykając podbródka.

Siedząc tak przez jakiś czas, sprawiała wrażenie, jakby znikła z pokoju, pozostawiając tu jedynie odziane w białą szatę ciało, podczas gdy jej uwaga przeniosła się gdzie indziej.

W końcu spojrzała na Vianella.

– To milczenie może być oznaką szacunku. Jego matka padła niedawno ofiarą okropnej zbrodni, a on sam zmarł zapewne równie okropną śmiercią, więc nikt nie powie o nim nic złego, teraz ani nigdy. – Podniosła dłoń i powoli podrapała się w czoło. – A jeśli chodzi o kolegów z pracy, to nic dziwnego, że po pięciu latach od jego śmierci już o nim zapomnieli.

– Nie, tu chodzi o coś innego – przerwał jej Vianello. –

Oni w ogóle nie chcieli o nim mówić.

– Mówić o nim czy odpowiadać na dotyczące go pytania?

– spróbował uściślić Brunetti.

– Nie przystawiałem im pistoletu do głowy – odparł urażony Vianello. – Nie chcieli o nim rozmawiać i tyle.

– Ilu ludzi tam pracuje? – spytał Brunetti.

– W całym urzędzie?

– Tak.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Vianello. – Kuratorium zajmuje dwa piętra, więc może pracuje tam ze trzydzieści osób. W jego dziale prawdopodobnie pięć lub sześć.

– Mogłabym to łatwo sprawdzić, commissario – zaproponowała signorina Elettra.

Brunetti jednak, zaintrygowany tą powszechną niechęcią do mówienia o synu signory Battestini, postanowił, że sam po południu zajrzy do kuratorium. Następnie opowiedział im o telefonie do Lallego i obiecał, że da im znać, jak tylko dostanie jakąś odpowiedź.

– Tymczasem, signorina, chciałbym, żeby sprawdziła pani dwa nazwiska: Luca Sardelli i Renato Fedi. To jedyni żyjący poprzedni dyrektorzy kuratorium. – Nie wspomniał, że podsunął ten pomysł, bo żaden inny nie przyszedł mu do głowy.

– Chciałby pan ich przesłuchać, commissario! – spytał Vianello.

Brunetti spojrzał na signorinę Elettrę.

– Mogłaby pani ich najpierw sprawdzić? Dowiedziałem się, że Sardelli pracuje w Assessorato dello Sport, a Fedi prowadzi firmę budowlaną w Mestre. Jest także eurodeputato, ale nie wiem, z ramienia której partii.

Nie słyszała o żadnym z nich, więc zanotowała nazwiska i powiedziała, że zaraz się tym zajmie i przekaże im informacje po obiedzie.

Uznawszy, że straci mniej czasu, jeśli pójdzie od razu do 193

kuratorium, nie wstępując do domu na obiad, komisarz spytał

Vianella, czy ma jakieś plany obiadowe, a kiedy po krótkim wahaniu inspektor odpowiedział przecząco, ustalili, że spotkają się za dziesięć minut przy głównym wejściu. Brunetti zadzwonił do Paoli, aby ją zawiadomić, że nie przyjdzie na obiad.

– Szkoda – powiedziała. – Dzieci są już w domu i będziemy jeść... – zawiesiła głos.

– Mów dalej – poprosił. – Jestem mężczyzną. Jakoś to zniosę.

– Grillowane warzywa jako antipasto, a potem cielęcinę z cytryną i rozmarynem.

Brunetti wydał teatralny jęk.

- A na deser cytrynowy sorbet domowej roboty polany sosem figowym – dodała.
- Czy to wszystko prawda – zapytał nagle – czy tylko chcesz mnie w ten sposób ukarać za to, że nie przyjdę na obiad?

Długo się nie odzywała.

- Wolałbyś, abym powiedziała, że zabieram ich do McDo-nalda na big maca? – spytała w końcu.
- To by było molestowanie dzieci.
- To są już nastolatki, Guido.
- Nadal jest to molestowanie – skwitował i odłożył słuchawkę.

Postanowili pójść z Vianellem piechotą do Da Remigio, ale kiedy tam dotarli, okazało się, że restauracja jest zamknięta do dziesiątego września. Podobnie jak dwa inne lokale, które odwiedzili, mieli więc do wyboru albo chińską restaurację, albo długi spacer do via Garibaldi, żeby sprawdzić, czy tam cokolwiek jest otwarte.

Żaden z nich się nie odzywał, ale na zasadzie milczącego porozumienia skierowali się z powrotem do baru przy Ponte dei Grecci, gdzie przynajmniej tramezzini i wino były do zniesienia. Starając się nie myśleć o cielej pieczeni, Brunetti zamówił prosciutto et funghi, prosciutto e pomodoro i zwyczajną panino con salami. Vianello, przekonany, że to i tak nie będzie porządny obiad i nie ma znaczenia, co wybierze, za-mówił to samo.

Inspektor przyniósł na stół butelkę wody mineralnej i pół litra białego wina, po czym usiadł naprzeciwko Brunettiego.

Spoglądając na stojący między nimi talerz z kanapkami, powiedział:

– Nadia przyrządziła świeży makaron. – I sięgnął po tra-mezzino.

Skończył pierwszą kanapkę i wypił dwie szklanki wody mineralnej, zanim znów się odezwał. Odstawił szklankę z wodą, rozlał wino do kieliszków i spytał:

– Co zrobimy ze Scarpą?

Ponieważ nie użył tytułu „porucznik”, Brunetti się domyślił, że to całkiem nieoficjalna rozmowa. Wypił łyk wina.

– Myślę, że jedyne, co możemy zrobić, to pozwolić mu kontynuować jego dochodzenie, jeśli to właściwe słowo, w sprawie signory Gismondi.

– Przecież to nonsens – rzucił gniewnie Vianello. Choć sam nigdy jej nie spotkał, tylko czytał akta i znał treść jej rozmowy z Brunettim, wystarczyło to, by go upewnić, że jedyny jej udział w przestępstwie polegał na udzieleniu pomocy Rumunce w opuszczeniu kraju. Ale uświadomiwszy sobie zawarte w tej myśli ponure implikacje, spytał:

– Sądzi pan, że on może ją oskarżyć o pomoc w przestępstwie, bo dała tamtej pieniądze i kupiła jej bilet na pociąg?

Brunetti nie miał już pojęcia, do czego Scarpa jest lub nie jest zdolny. Żałował, że taka przyzwoita kobieta jak signora Gismondi mogłaby stać się zakładniczką w podjazdowej wojnie Scarpy przeciwko niemu. Wiedział jednak, że jakakolwiek próba jej ratowania zwiększyłaby jedynie ryzyko odwetu ze strony porucznika.

– Uważam, że musimy pozwolić mu w to brnąć. Jeśli spróbujemy go powstrzymać, powie, że mamy jakiś ukryty powód, by ją chronić, i Bóg jeden wie, dokąd to zaprowadzi.

Trudno było mu przewidzieć działania Scarpy, bo nie rozumiał jego motywów. To znaczy mógł je zrozumieć, ogarnąć intelektualnie, ale brakowało mu mechanizmu, który pozwoliłby mu instynktownie je wyczuwać. Wiedział, że w takich sprawach o wiele lepsza od niego była Paola albo, w tym konkretnym przypadku, signorina Elettra. Podobno kocice, pomy-

ślał, są znacznie lepszymi myśliwymi, większą też rozkosz sprawia im zamęczenie ofiary na śmierć.

Od tych rozważań oderwało go pytanie Vianella:

– Czy cokolwiek z tego ma według pana jakiś sens, commissario?

– Chodzi panu o morderstwo czy Scarpę?

– O morderstwo. Scarpę łatwo przejrzeć.

Oby tak było, pomyślał Brunetti i powiedział:

– Signore Battestini zamordował ktoś, kto jej nienawidził

lub chciał, żeby tak to wyglądało. Co w sumie wychodzi na jedno. – Napotykając spojrzenie inspektora, dodał: – Sądzę, że ktokolwiek to zrobił, jest zdolny do tego rodzaju przemocy, z gniewu lub z wyrachowania. Nie widziałem zwłok, ale wystarczyły mi zdjęcia.

Uznał, że nie ma sensu mówić, jak bardzo teraz żałuje, że nie wrócił z urlopu, gdy tylko przeczytał o morderstwie. Powinien był okazać większą podejrzliwość wobec relacji w gazetach, a jeszcze większą wobec odpowiedzi, jakie uzyskał, kiedy dzwonił do komendy, żeby zapytać o tę sprawę, i powiedziano mu, że już została rozwiązana. Przebywali wtedy we czworo na wybrzeżu Irlandii. Raffi i Chiara spędzali połowę czasu, żeglując i penetrując zatoczki wśród skał, a drugą połowę – jedząc, podczas gdy on z Paolą ponownie przeczyta-li, każde z właściwą sobie cierpliwością, on Gibbona, a ona powieści o Palliserach i nie mieli odwagi wspomnieć o ewentualnym powrocie do Wenecji.

Czekając, aż przełożony zacznie mówić dalej, Vianello zjadł ostatnią kanapkę i dopił wodę. Podnosząc pustą butelkę, pomachał do barmana krzątającego się za kontuarem.

– Nasze żony pewnie by uznały, że to seksistowskie uprzedzenia – rzekł Brunetti – ale tej zbrodni nie popełniła kobieta. – Vianello skinął głową, zgadzając się, że to zwyczajne seksistowskie uprzedzenie, a komisarz kontynuował: –

Powinniśmy więc odkryć powód, dla którego jakiś mężczyzna zdecydował się ją zabić, i musiały to być ktoś, kto miał dostęp do jej mieszkania, albo ktoś, kogo sama wpuściła.

Barman postawił butelkę wody na stole i Brunetti napełnił obie szklanki.

– Wiemy tylko – podjął – że jedyną rzeczą, którą dotąd odkryliśmy i która budzi podejrzenia, są pieniądze: przestały wpływać po śmierci signory, a jej prawniczka ani słowem o nich nie wspomniała. Nawet nie wiemy, czy siostrzenica signory Battestini w ogóle wiedziała o ich istnieniu. – Dolał

sobie wina, ale go nie tknął. – Zresztą z jakiego powodu 197

avvocatessa Maneschi miałyby mi mówić o tych pieniądzach, nawet jeśli o nich wiedziała? – dodał.

– Mogła je zabrać? – spytał Vianello.

– Oczywiście.

– Może to dziwne, ale niechętnie dopuszczam myśl, że osoba, która ma takiego psa, mogłaby być nieuczciwa – rzekł

Vianello, przypomniawszy sobie, co Brunetti opowiadał mu o Poppi. Wypił łyk wina, spojrzął na barmana, podniósł do góry pusty talerz, a potem postawił go na stole. – Tym dziwniejsze, że przecież większość ludzi, których aresztujemy, ma dzieci, a nigdy nie przyszłoby nam do głowy, że z tego powodu nie byłiby zdolni do popełnienia przestępstwa. – Komisarz nie skomentował tego spostrzeżenia, więc Vianello skierował jego uwagę na inny trop: – Siostrzenica mogła równie łatwo wyprowadzić te pieniądze.

Przypominając sobie to, co słyszał o bankowości, Brunetti dodał:

– Albo ktoś z banku, kiedy się dowiedział o śmierci signory Battestini.

– Oczywiście.

Kelner przyniósł kanapki, lecz komisarz przełknął tylko połówkę jednej, pozostawiając resztę na talerzu. Nie musząc precyzować, kogo ma na myśli, spytał Vianella:

– Sądzi pan, że uda jej się ustalić, kto zrobił te przelewy?

Inspektor dopił wino, ale nie śpieszył się z ponownym napełnieniem kieliszka.

– Jeśli zachowały się jakieś zapisy w ich rejestrach, to na pewno je znajdzie – odpowiedział po chwili namysłu.

– To okropne, prawda?

– Owszem, jeśli jest się bankowcem.

Wrócili do komendy przytłoczeni nasilającym się upałem 198

i frustrującą myślą, że musieli jeść na obiad kanapki. Poszli prosto do biura signoriny Elettry, która powitała ich dość ponurą miną, choć wyglądała tak, jakby przerwę obiadową spędziła w klimatyzowanym pomieszczeniu, czekając, aż zostaną wyprasowane wszystkie zagniecenia na sukience. Wychwytu-jąc tę zmianę w jej nastroju, Vianello spytał:

– Co z przelewami?

– Nadal nic nie mogę znaleźć – odparła krótko.

Pamięć Brunettiego nagle wypełniły wyrywkowe wspomnienia związane z prawniczką. Była wysoka, mocno zbudowana i miała silny uścisk dłoni. Próbował ją sobie wyobrazić, jak stoi z uniesioną ręką nad starą kobietą, ale kiedy mu się to udało, wizję zakłóciło wspomnienie książeczek z zagadkami, przy których pomagał kiedyś Chiarze: „Co nie pasuje na tym obrazku?” Zobaczył dłonie avvocatessy Maneschi głaszczące uszy Poppi. Nazwał się sentymentalnym głupcem i skupił

ponownie uwagę na głosie signoriny Elettry.

– ...któraś z nich – dokończyła, wskazując ekran komputera.

– Słucham? – spytał Brunetti.

– Ten przelew – powtórzyła signorina Elettra – mogła zlecić któraś z nich.

– Siostrzenica? – wtrącił się Vianello.

Przytaknęła.

– Ta osoba musiała znać jedynie numer konta i numer ko-du, no i mieć pełnomocnictwo, a przelew był automatyczny.

Wystarczyło wypełnić formularz i dać go kasjerowi. – Zanim zdążył spytać, czy można sprawdzić podpis na tym formularzu, wyjaśniła: – Nie, bank nigdy by go nie udostępnił bez nakazu sądowego.

Brunetti podążył tym śladem aż do nieuchronnej konkluzji.

– A co z bankami na Wyspach Normandzkich?

Pokręciła głową.

– Próbowałam na różne sposoby, ale nigdy nie udało mi się nic od nich wyciągnąć – przyznała niechętnie, choć z pewnym szacunkiem.

Brunettiego korciło, by zapytać, czy sama trzyma tam pieniądze, ale się powstrzymał.

– Czy ma pani jakiś pomysł, jak można by namierzyć to zlecenie przelewu?

– Bez nakazu sądowego to niemożliwe – powtórzyła.

Wszyscy troje wiedzieli, że zdobycie nakazu jest mało realne.

– A udało się pani coś znaleźć na temat tej siostrzenicy? – zapytał.

– Niewiele. Data urodzenia, akta szkolne i medyczne, podatki, takie zwyczajne rzeczy.

Brunetti wiedział, że nie mówiła tego z ironią. Ustalenie takich szczegółów z życia jakiejś osoby było dla niej równie łatwe jak skorzystanie z książki telefonicznej.

– No i?

– I wydaje się, że jest równie nieprzewidywalna jak jej ciotka.

– Gdzie pracuje?

– Pomaga w ciastkarni w Romolo – odparła, mówiąc o pasticceria po drugiej stronie miasta, do której Brunetti czasami chodził w niedzielne poranki po świeże wypieki.

Od myśli o ciastkach oderwało komisarza nagłe pojawienie się Alvisego, który wbiegł do biura i o mało nie wpadł z impetem na Vianella, ale zdołał złapać się framugi i zatrzymać.

– Commissario – wykrztusił, głośno dysząc. – Właśnie odebrałem telefon od jakiejś kobiety, która do pana dzwoniła.

– Tak? – spytał Brunetti, zaniepokojony wyrazem twarzy tego flegmatycznego z natury funkcjonariusza.

– Prosiła, żeby pan natychmiast przyjechał.

– Gdzie mam przyjechać, Alvise?

Alvise odpowiedział dopiero po chwili.

– Nie podała adresu, commissario. Tylko prosiła, żeby pan zaraz przyjechał.

– Dlaczego? – spytał Brunetti.

– Powiedziała, że zabili Poppi.

Rozdział 17

Na dźwięk tego imienia Brunetti niemal podskoczył. Starając się zachować spokój, zapytał Alvisego:

– Czy ona powiedziała, skąd dzwoni?

– Nie pamiętam, commissario – odparł zmieszany policjant, nie rozumiejąc, dlaczego zwierzchnik pyta o podobne szczegóły po otrzymaniu tak pilnej wiadomości.

– Co dokładnie powiedziała, Alvise? – naciskał Brunetti.

Słyszając zmianę tonu w głosie zwierzchnika, Alvise puścił framugę i stanął bardziej wyprostowany. Z widocznym wysiłkiem na twarzy próbował odtworzyć to zdarzenie.

– Ponieważ pan nie odbierał, rozmowa została przełączona do centrali, commissario, a Russo pomyślał, że pan może być u Vianella, więc przełączył ją do naszego biura i ja odebrałem.

Mając ponownie ochotę uderzyć osobnika stojącego naprzeciwko, komisarz rzucił krótko:

– Proszę mówić dalej.

– Dzwoniła kobieta i wydaje mi się, że płakała. W kółko powtarzała, że chce z panem rozmawiać, a kiedy zaproponowałem, że pójdę pana poszukać, poprosiła, bym przekazał, żeby pan zaraz przyjechał, bo zabili Poppi.

– Mówiła coś jeszcze, Alvisie? – spytał Brunetti z nie-wzruszonym spokojem.

Zupełnie jakby próbował sobie przypomnieć rozmowę, która odbyła się wiele tygodni temu, Alvisie zamknął na chwilę oczy, potem je otworzył, spojrzął na podłogę i powiedział:

– Tylko to, że właśnie tam weszła i ją znalazła. Rozumiem, że chodziło o Poppi.

– Czy powiedziała, gdzie jest? – powtórzył komisarz przez ściśnięte gardło.

– Nie, commissario – trwał przy swoim policjant. – Tylko, że właśnie wróciła z obiadu i ją znalazła.

Brunetti rozluźnił zaciśnięte pięści.

– Możesz już odejść, Alvisie – rzekł, po czym zwrócił się do Vianella i signoriny Elettry. – Dowiedzcie się, gdzie mieszka Roberta Maneschi. Vianello, niech pan tam pójdzie i sprawdzi, czy jest w domu. Ja wybiorę się do jej kancelarii.

– A jeśli będzie w domu? – spytał Vianello.

– To niech pan się dowie, kim są ci „oni” i dlaczego we-dług niej zabili psa.

Brunetti odwrócił się i wyszedł, zanim signorina Elettra zdążyła sięgnąć po książkę telefoniczną. Upewniwszy się, że komórkę ma nadal w kieszeni marynarki, zbiegł po schodach i wyszedł z komendy.

Do nabrzeża była przycumowana pusta motorówka, ale nie chciał wracać do środka, żeby poszukać pilota, więc ruszył

piechotą w kierunku Castello. Zanim dotarł do końca Salizada San Lorenzo, koszula i marynarka lepiły mu się do pleców, a kołnierz przesiąknięty był potem. Kiedy wyszedł z zacienionych calli na Riva degli Schiavoni, uderzył go żar 203

popołudniowego słońca. Spodziewał się, że lekki wietrzyk wiejący od wody przyniesie ulgę, ale ten wywołał tylko nagły dreszcz, przewiewając wilgotne ubranie.

Pospiesznym krokiem przemierzył ostatni szeroki most i skręcił w via Garibaldi. Słońce zapędziło niemal wszystkich mieszkańców do domów: nawet pod parasolami ogródkowych barów ciągnących się wzdłuż ulicy było pusto, bo ludzie czekali, aż słońce przesunie się na zachód i przynajmniej jedna strona ulicy znajdzie się w cieniu.

Drzwi frontowe były otwarte, więc wbiegł po schodach na piętro. Przed drzwiami kancelarii zauważył kałużę lepkiej żółtej cieczy, która przypominała wymiociny. Przeskoczywszy nad nią, walnął pięścią w drzwi i zawołał:

– Signora, to ja, Brunetti!

Chwycił za klamkę i stwierdził, że drzwi są otwarte.

Wszedł do środka i ponownie krzyknął:

– Jestem tu, signora! Brunetti.

Poczuł niewyraźny kwaśny odór i zauważył kolejne ślady żółtej cieczy, tym razem rozbryzgane na ścianie na lewo od biurka sekretarki, oraz kałuże na podłodze pod biurkiem.

Wydało mu się, że słyszy jakiś cichy odgłos dochodzący zza drzwi gabinetu. Nie próbując nawet myśleć o pistolecie, który zostawił w zamkniętej szufladzie swojego biurka, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi.

Prawniczka siedziała przy swoim biurku, zaciskając lewą dłoń wokół ust, jakby usiłowała powstrzymać rozpaczliwy szloch na widok otwierających się drzwi. Wydało mu się, że go rozpoznała, bo przerażenie w jej oczach zmalało, choć dłoń wciąż trzymała na ustach.

Brunetti, nic nie mówiąc, rozejrzał się po pomieszczeniu. I 204

zobaczył psa leżącego na podłodze, nieco na lewo od biurka.

Podłoga wokół niego była zbryzgana tym samym cuchnącym żółtym świństwem. Poppi leżała z otwartym pyskiem i wywalonym językiem. Pysk i język pokrywała gęsta biała piana.

Jednym szklistym okiem patrzyła w górę na swoją właścicielkę, jakby ją o coś oskarżała lub błagała o pomoc.

Komisarza przeszył nagły dreszcz – nie tylko z powodu klimatyzacji. Wywołała go także myśl o tym, co powinien zrobić. Wiele lat temu, kiedy go instruowano, że należy przy-

przeć świadka do muru w momencie jego największej słabo-

ści, łatwo było to zapisać na papierze jako zasadę, o wiele trudniej jednak zastosować teraz w praktyce.

Podszedł do jej biurka, odczekał chwilę, a potem wyciągnął

do milczącej kobiety rękę.

– Lepiej, żeby pani poszła ze mną, signora – powiedział, zachowując spokojny ton. Z dłonią wciąż zaciśniętą wokół ust pokręciła głową.

– Już nic nie może pani dla niej zrobić – rzekł, nie ukrywając smutku, który czuł na widok śmierci takiego pięknego stworzenia. – Niech pani teraz przejdzie do drugiego pokoju.

Myślę, że tak będzie lepiej.

Odrywając wzrok od martwego psa, odparła:

– Nie chcę jej tu zostawiać samej.

– W porządku, signora – zapewnił ją, sam nie wiedząc, co właściwie ma na myśli. Skinął na nią palcami. – Niech pani stąd wyjdzie. Wszystko w porządku.

Opierając się obiema dłońmi o blat, wstała. Wyglądała, jakby jej przybyło dwadzieścia lat. Nie patrząc na psa, obeszła biurko i zbliżyła się do komisarza. Wziął ją pod rękę i wyprowadził z gabinetu, nie zapominając dokładnie zamknąć drzwi.

Odsunął krzesło od biurka sekretarki, ustawił je tak, żeby nie było z tego miejsca widać rozbryzganej cieczy, i pomógł

prawniczkę usiąść. Sam wziął jedno z pozostałych krzeseł i usiadł naprzeciwko niej w odległości metra.

– Czy może mi pani coś o tym powiedzieć, signora?

Milczała.

– Niech pani powie, co się stało.

Signora Maneschi rozplakała się. Tak łagodnie, że jedyną oznaką były zaciśnięte wargi i łzy płynące z oczu. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos brzmiał zadziwiająco spokojnie, jakby mówiła o czymś, co zdarzyło się gdzie indziej lub przytrafiło komu innemu.

– Miała tylko dwa lata. Tak naprawdę była jeszcze szczeniakiem. Wszystkich lubiła.

– Takie już są z natury – zgodził się Brunetti.

– I do wszystkich miała zaufanie, więc każdy mógł jej to dać...

– To znaczy truciznę?

Zanim zdążył ją zapytać, jak to się mogło stać, wyjaśniła:

– Za domem jest ogród i zostawiam ją tam na cały dzień, nawet kiedy wychodzę na obiad. Wszyscy o tym wiedzą.

– Wszyscy sąsiedzi czy pani klienci?

Zignorowała pytanie.

– Kiedy wróciłam, chciałam przyprowadzić ją tu na górę.

I wtedy ją zobaczyłam... i te wymiociny wszędzie na trawie...

a ona nie była w stanie iść. Musiałam ją tu wnieść. – Rozejrza-

ła się po pokoju, dostrzegła plamę na ścianie, ale wydawało się, że nie widzi śladów na swojej spódnicy ani na lewym bucie. – Położyłam ją tu na podłodze i próbowałam dzwonić do weterynarza, ale go nie było. No i znowu zwymiotowała. A potem umarła. – Zamilkła na chwilę. – Wtedy zadzwoniłam 206

do pana. Ale pana też nie było. – Wyczuł w jej głosie, że ma do niego taką samą nieuzasadnioną pretensję jak do weterynarza.

Nie zwracając uwagi na jej ton, lekko się ku niej pochylił.

– Oficer, który przekazał mi wiadomość, powtórzył pani słowa, że ktoś zabił Poppi, signora. Czy domyśla się pani, kto to zrobił?

Zacisnęła dłonie i przygarbiwszy się, wcisnęła je między kolana. Widział tylko czubek jej głowy i ramiona. Siedzieli tak przez dłuższą chwilę. Kiedy się wreszcie odezwała, głos

miała tak słaby, że Brunetti musiał jeszcze bardziej się wychylić, żeby usłyszeć, co ona mówi.

– To jej siostrzenica – powiedziała. – Graziella.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – spytał nieco mniej współczującym tonem.

Wzruszyła ramionami tak mocno, że Brunetti aż się odsunął. Czekał na jakieś wyjaśnienie, lecz bez skutku.

– Czy to mogło mieć jakiś związek ze spadkiem, signora?

– spytał, nie chcąc ujawniać, że wie o istnieniu kont bankowych.

– Być może – odpowiedziała, a wyćwiczone ucho komisarza wychwyciło w jej głosie pierwsze oznaki jakiegoś wykrę-

tu, jakby szok spowodowany śmiercią psa zaczynał ustępować.

– Co według niej pani zrobiła?

Spodziewał się, że znowu wzruszy ramionami, ale nie tego, że skłamię, patrząc mu prosto w oczy.

– Nie wiem.

Zrozumiał, że to kluczowy moment. Gdyby darował jej to kłamstwo, już nie usłyszałby od niej ani słowa prawdy, bez 207

względu na to, jak długo i ile razy by ją przesłuchiwał. Więc od niechcienia, niczym stary zaufany przyjaciel, który siedzi obok niej przy kominku i gawędzi o wspólnych sprawach, powiedział:

– Bez trudu moglibyśmy udowodnić, że to pani wyprowadziła pieniądze z kraju, avvocatessa, i nawet gdyby nie udało się pani za to skazać, bo ma pani pełnomocnictwo do korzy-stania z kont, pani reputacja jako prawnika mocno by ucierpia-

ła. – Potem, jakby się to przytrafiło jemu samemu, przyjacielskim tonem ostrzegł ją przed konsekwencjami. – No i podejrzewam, że Guardia di Finanza także chciałaby z panią porozmawiać o tych pieniądzach.

Jej zaskoczenie było całkowite. Wszystkie prawnicze umiejętności nagle ją opuściły i wyrzuciła z siebie:

– Jak się pan o tym dowiedział?

– Wystarczy, że o tym wiemy – rzekł bez cienia współ-czucia w głosie.

Zauważyła tę zmianę tonu i wyprostowała się, a nawet odsunęła trochę dalej na krześle. Obserwując ją, dostrzegł, że coraz bardziej się usztywnia, tak jak on.

– Sądzę, że powinniśmy szczerze o tym porozmawiać. –

Widząc, że próbuje się sprzeciwić, uciął to w zarodku. – W

ogóle mnie nie obchodzą te pieniądze ani to, co pani z nimi zrobiła. Chcę tylko wiedzieć, skąd pochodzą. – Znów zamierzała się odezwać, ale był pewny, że skłamię, więc

postanowił

ją nastraszyć. – Jeśli nie zadowolę mnie to, co pani powie, złożę oficjalny raport w sprawie tych kont, pani pełnomocnictwa, dat dokonanych przelewów i tego, gdzie trafiły pieniądze.

– Jak pan się o tym dowiedział? – spytała tonem, jakiego dotąd nie słyszała w jej głosie.

– Już mówiłem, to nie ma żadnego znaczenia. Interesuje mnie wyłącznie, skąd pochodzą te pieniądze.

– Ona zabiła mojego psa – powiedziała gniewnie.

Brunetti stracił cierpliwość.

– Więc niech pani ma nadzieję, że nie zabiła również swojej ciotki, bo jeśli to zrobiła, to pani jest następną osobą na jej liście.

Kiedy to do niej dotarło, otworzyła szeroko oczy. Potrząsnęła głową, raz, drugi, trzeci, jakby nie dopuszczała takiej możliwości.

– Nie, ona nie mogłaby tego zrobić. Nigdy.

– Dlaczego?

– Znam ją. Nie byłaby do tego zdolna – odparła z przekonaniem.

– A Poppi? Przecież zabiła Poppi. – Nie miał pojęcia, czy tak było, ale to wystarczyło, by ją przekonać.

– Ona nienawidzi psów, nienawidzi zwierząt.

– Jak dobrze ją pani zna?

– Dostatecznie dobrze, by o tym wiedzieć.

– Skąd jednak ma pani pewność, że nie zabiła ciotki? To przecież co innego.

Sprowowana jego powątpiewającym tonem odparła:

– Gdyby to ona ją zabiła, toby wcześniej zabrała pieniądze. Albo zaraz po śmierci ciotki.

Zdając sobie sprawę, że prawniczka musiała wiedzieć, iż siostrzenica również ma pełnomocnictwo, a może nawet sama je dla niej sporządziła, spytał:

– Ale pani była szybsza?

Jeśli poczuła się urażona, to zupełnie tego nie okazała.

– Tak.

– Więc może to pani zabiła signorę Battestini? – spytał.

Choć sam w to nie wierzył, był ciekaw, jak zareaguje na tę sugestię.

– Nie zabiłabym nikogo dla tak małej sumy – odparła.

Zabrakło mu słów, by to skomentować. Zamiast tego po-wrócił do sprawy kont.

– Skąd pochodziły te pieniądze? – dążył. Widząc, że nie zamierza odpowiedzieć, kontynuował: – Była pani jej prawniczką i signora udzieliła pani pełnomocnictwa, więc na pewno coś pani wie. – Kiedy nadal się opierała, powiedział: –

Ktokolwiek ją zabił, był to ktoś, komu ufała na tyle, żeby wpuścić go do mieszkania. Może ta osoba wiedziała o pienią-

dzach, a może to właśnie ona dawała je starszej pani przez te wszystkie lata. – Zauważył, jak prawniczka wyprzedza tok jego myśli i rozważa różne możliwości. – To może być w pani najlepszym interesie, żebyśmy znaleźli tę osobę, avvocatessa.

– Czy to może być ta sama osoba, która zabiła ją? – zapytała z zaciśniętym gardłem. – To znaczy Poppi?

Przytaknął, chociaż wiedział, że ktoś zdolny do takiego be-stialskiego zabójstwa nie zawracałby sobie głowy wysyłaniem podobnych ostrzeżeń.

Cały jej opór zniknął w momencie, gdy przypomniała sobie o własnej śmiertelności.

– Nie wiem, kto to był, naprawdę – zapewniła. – Signora nigdy mi nie powiedziała.

Zamilkła. Brunetti odczekał prawie całą minutę, a kiedy nadal się nie odzywała, spytał:

– Co signora Battestini pani powiedziała?

– Nic. Tylko że pieniądze wpłacano co miesiąc.

– Czy mówiła, po co jej były potrzebne albo na co chciała je przeznaczyć?

Potrząsnęła głową.

– Nie, nigdy. Mówiła tylko, że są. – Zastanawiała się nad tym przez chwilę i nie kryjąc zmieszania, dodała: – Nie sędzę, że to było dla niej ważne: wydawanie ich czy sama możliwość wydawania. Po prostu lubiła je mieć, wiedzieć, że są. – Rozejrzała się po pokoju, jakby szukała wyjaśnienia tak dziwnego zachowania. Potem popatrzyła ponownie na komisarza. – Powiedziała mi o nich dopiero jakieś trzy lata temu, kiedy wspomniała, że chce sporządzić testament.

– A co konkretnie powiedziała?

– Tylko to, że są.

– Czy mówiła, komu miały zostać przekazane?

Prawniczka udała dezorientację, więc powtórzył:

– Czy mówiła, komu chce je zapisać? Rozmawialiście przecież o jej testamencie, więc musiała powiedzieć, na jaki cel zamierza je przeznaczyć.

– Nie – odparła, ewidentnie kłamiąc.

– To dlaczego udzieliła pani pełnomocnictwa?

Zrobiła długą przerwę, zapewne po to, żeby zyskać na czasie i wymyślić odpowiedź, w którą on uwierzy.

– Chciała, żebym zajęła się jej sprawami – odparła wymijająco.

– To znaczy?

– Miałam znajdować kobiety, które będą pomagać jej w domu. Płacić im. Uznałyśmy, że będzie łatwiej, jeśli nie będę musiała jej ciągle prosić o wypisywanie czeków. W tym czasie nie była już w stanie wychodzić z domu, więc nie mogła też chodzić do banku. – Odczekała chwilę, żeby sprawdzić, jak komisarz zareaguje na te słowa, ale milczał, więc dodała: –

Tak było łatwiej.

Musiała chyba uważać go za głupka, skoro sądziła, że on 211

uwierzy w to, iż taka osoba jak signora Battestini mogłaby komuś powierzyć rozporządzenie całym jej majątkiem. Zastanawiał się, w jaki sposób Maneschi nakłoniła starszą panią, by podpisała pełnomocnictwo, i czy tamta w ogóle wiedziała, co podpisuje. Zastanawiał się też, kto był świadkiem sporządzania tego dokumentu. Tak jak jej powiedział: nie interesowało go, dokąd trafiły te pieniądze; chciał jedynie wiedzieć, skąd pochodziły.

– Więc korzystała pani z tych pieniędzy, żeby pokryć wydatki związane z zatrudnieniem kobiet, które pomagały jej w domu?

– Tak, bo bieżące rachunki były automatycznie opłacane z konta.

– Wszystkie pracowały nielegalnie, prawda?

Udała dezorientację.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Przyznam, że jestem zdumiony, avvocatessa, że prawnik w tym kraju nie wie o istnieniu nielegalnych pracowników.

Zupełnie się zapominając, odparła:

– Nie może pan udowodnić, że o tym wiedziałam.

– Myślę, że nadszedł czas, abym wyjaśnił pani pewne rzeczy – ciągnął z wystudiowanym spokojem. – Nie obchodzą mnie interesy, które pani prowadzi, werbując nielegalnych pracowników używających podrobionych paszportów. Przynajmniej nie w trakcie dochodzenia w sprawie zabójstwa. Ale jeśli nadal będzie pani kłamać albo unikać odpowiedzi na mo-je pytania, to dopilnuję, żeby pełny raport na temat pani poczynań, wraz z adresami kobiet z Triestu i Mediolanu, które także posługują się fałszywymi dokumentami Florindy Ghiorghiu, już jutro trafił do funkcjonariuszy z urzędu imigracyjnego, 212

a wszystkie szczegóły dotyczące pani operacji na kontach signory Battestini – do Guardia di Finanza.

Zacząła protestować, ale powstrzymał ją, wyciągając rękę.

– Co więcej, jeśli znów mnie pani okłamie, jeszcze dzisiaj sporządzę raport w sprawie śmierci pani psa, nie zapominając nadmienić, że podejrzewa pani o jego otrucie siostrzenicę signory Battestini, a to oznacza, że trzeba będzie tę kobietę przesłuchać i wypytać o motywę, które ją skłoniły do tego czynu.

Nie patrzyła na niego, ale był pewien, że z uwagą wsłuchuje się w każde jego słowo.

– Czy to jasne?

– Tak.

– Chcę, żeby mi pani powiedziała o wszystkim, co signora Battestini mówiła o tych kontach, i o tym, co pani sama myśla-

ła przez te lata, odkąd dowiedziała się o ich istnieniu, o ewen-tualnym źródle pieniędzy, niezależnie od tego, skąd pochodzi-

ły te informacje i czy uważała je pani za wiarygodne. – Odczekał chwilę, a potem dodał: – Rozumie pani?

Odpowiedziała bez najmniejszego wahania:

– Tak. – Westchnęła, ale nie dał się na to nabrać. – Powiedziała mi o kontach, kiedy sporządzała testament, ale nigdy nie zdradziła, skąd pochodziły te pieniądze. Aż pewnego razu, jakiś rok temu, zaczęła mówić o swoim synu – wspominałam panu, że nigdy go nie poznałam – o tym, jakim był dobrym chłopcem i że zabezpieczył ją na stare lata. Że dzięki niemu i Matce Boskiej ma zapewnioną dobrą opiekę.

Obserwował jej twarz i zastanawiał się, czy kobieta mówi prawdę i czy zauważyłby,

gdyby tak nie było.

– W tym czasie powtarzała w kółko to samo – ciągnęła Maneschi – jak większość ludzi w podeszłym wieku, więc nie zwracałam zbytnio uwagi na jej słowa.

– Jak to się stało, że akurat wtedy pani u niej była? Przecież powiedziała pani, że signora Battestini postanowiła napisać testament trzy lata temu.

– Chodziło o telewizor. Poszłam do niej, bo chciałam ją poprosić, żeby starała się go ściszać, zanim położy się spać.

Jedyne, co przyszło mi do głowy, to ją postraszyć, że przyjdzie policja i zarekwiruje telewizor, jeśli nie będzie tego robiła.

Zwracałam jej na to uwagę już wcześniej, ale zawsze o wszystkim zapomniała albo pamiętała tylko to, co chciała pamiętać.

– Rozumiem.

– I znowu zaczęła mówić, jakim Paolo był dobrym chłopcem, że nigdy jej nie opuścił. Wtedy właśnie mi powiedziała, że ją zabezpieczył i pozostawił pod opieką Matki Boskiej. Nie zastanawiałam się nad tym specjalnie w tamtym czasie – kiedy zaczynała głądzić, nie zwracałam na to uwagi – ale potem przyszło mi na myśl, że mówiła właśnie o tych pieniądzach: że to jej syn je zdobył lub w jakiś sposób zadbał, by stale wpły-wały.

– Zapytała ją pani o to?

– Nie. Już panu mówiłam. Taka myśl przyszła mi do głó-wy dopiero parę dni później. A do tego czasu już się nauczy-

łam, żeby jej nigdy nie pytać wprost o konta, więc tego nie robiłam.

Miał w zanadrzu jeszcze dalsze pytania, które chciał jej za-dać: kiedy zaczęła planować kradzież pieniędzy i skąd miała pewność, że siostrzenica jej o to nie oskarży. Lecz w tym

214
momencie uzyskał już informacje, na których mu zależało.

Pomyślał, że prawniczka była wystarczająco wystraszona, aby powiedzieć prawdę, i nie czuł ani dumy, ani wstydu z powodu technik, które zastosował, żeby ją do tego zmusić. Wstał.

– Jeśli będę miał dodatkowe pytania, skontaktuję się z pa-nią – powiedział. – A jeśli pani coś przyjdzie do głowy, proszę do mnie zadzwonić.

Wyjął wizytówkę, zapisał na odwrocie domowy numer telefonu i podał jej. Odwrócił się i ruszył do drzwi, ale go zatrzymała, pytając:

– A co ja zrobię, jeśli to nie siostrzenica zabiła Poppi?

Brunetti był niemal pewny, że to sprawa siostrzenicy, więc prawniczka nie miała się czego obawiać. Ale wtedy przypomniał sobie, jak szybko odrzuciła jego sugestię, mówiąc, że ona sama nikogo by nie zabiła dla takiej małej sumy, i nie widział powodu, by

rozproszyć jej obawy.

– Niech pani stara się nie przebywać sama w kancelarii ani w domu. A gdyby działo się coś podejrzanego, proszę do mnie zadzwonić – powiedział i wyszedł.

Rozdział 18

Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, zadzwonił na komórkę do Vianella, który nie zastawszy nikogo pod domowym adresem avvocatessa Maneschi, wrócił tymczasem do komendy.

Brunetti wyjaśnił mu pokrótce, co się zdarzyło w kancelarii, i zaproponował, żeby się spotkali w Romolo, gdzie chciał

wreszcie porozmawiać z siostrzenicą signory Battestini.

– Myśli pan, że ona mogła to zrobić? – spytał Vianello, a ponieważ Brunetti nie śpieszył się z odpowiedzią, uściślił: –

To znaczy otruć psa.

– Tak sędzę – odparł komisarz.

Żeby zaoszczędzić czas, Brunetti wsiadł do vaporetto linii osiemdziesiąt dwa przy Arsenale i wysiadł na przystanku Ac-cademia. Nie zwracając uwagi na długą kolejkę skąpo odzianych turystów stojących przed wejściem do muzeum, minął

znajdującą się po lewej galerię, którą zawsze nazywał w my-

ślach Supermarketem Sztuki, i podążył w stronę San Barnaba.

W labiryncie wąskich uliczek osaczył go upał. Dawniej tak wysoka temperatura wpływała na zmniejszenie się liczby turystów; obecnie wydawało się, że odgrywa podobną rolę jak szalka Petriego: na jego oczach mnożyły się obce formy 216

życia. Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył Vianella, który stał

po drugiej stronie calle, oglądając wystawę sklepu z maskami.

Weszli razem do cukierni. Vianello zamówił kawę i szklankę wody mineralnej, a komisarz skinął tylko głową, prosząc o to samo. Szklaną gablotkę wypełniały dobrze znane Brunettiemu wypieki: ptysie, babeczki w polewie czekoladowej i –

uwielbiane przez Chiare – łabędzie nadziewane bitą śmietaną.

Z powodu upału wszystkie wyglądały nieapetycznie.

Kiedy pili kawę, Brunetti dość dokładnie zrelacjonował

Vianellowi rozmowę z prawniczką, lecz powiedział jedynie, że pies został otruty, nie opisując szczegółowo okoliczności.

– To znaczy, że ta kobieta – rzekł inspektor, wskazując w kierunku zaplecza sklepu, gdzie zapewne mieściła się kuchnia

– wiedziała o Marieschi dostatecznie dużo, by ugodzić ją w najczulszy punkt.

– Gdyby ją pan zobaczył z tym psem choćby raz, też by pan to wiedział – odparł Brunetti, przypominając sobie ich pierwsze spotkanie i piękny, porośnięty jasnobrązową sierścią łeb zwierzęcia.

Odstawił pustą szklanę. Ekspedientka uniosła butelkę i spojrzała na niego. Skinął głową. Kiedy nalewała wodę, zapytał:

– Czy jest tu signorina Simionato?

– Chodzi panu o Graziellę? – spytała, najwyraźniej ciekawa, czego mogą chcieć ci dwaj mężczyźni.

– Tak.

– Chyba jest – odparła niespokojnie, odchodząc od lady i odwracając się w stronę drzwi prowadzących na zaplecze. –

Zaraz zobaczę.

Nie zdążyła się oddalić, bo Brunetti powstrzymał ją ruchem ręki.

– Wolałbym, signora, żeby pani nic jej nie mówiła, dopóki sami z nią nie porozmawiamy.

– Panowie są z policji? – spytała, otwierając szeroko oczy.

– Tak – potwierdził komisarz, zastanawiając się, po co w ogóle noszą przy sobie legitymacje, skoro tak łatwo każdy może ich rozpoznać, nawet ekspedientka z ciastkarni.

– Tam jest? – spytał, wskazując otwarte drzwi za odległym krańcem lady.

– Tak – przyznała ekspedientka. – A co...? – urwała.

Vianello wyjął notes.

– O której przyszła dziś do pracy, signora? Pamięta pani?

– spytał.

Kobieta gapiła się na notes, jakby był żywym, groźnym stworzeniem. Widząc jej opór, komisarz wyciągnął portfel, ale zamiast pokazać jej legitymację policyjną, wyjął banknot o nominale pięciu euro i położył na ladzie, żeby uregulować rachunek.

– No więc o której dzisiaj przyszła, signora?

– Koło drugiej, może trochę później.

Brunetti pomyślał, że dla cukiernika to dziwna pora rozpoczęcia pracy, ale kobieta od razu wyjaśniła:

– W przyszłym tygodniu będziemy mieć kontrolę sanitarną, więc musimy się przygotować. Każdy pracuje jeszcze na dodatkowe pół zmiany. – Brunetti powstrzymał się od komentarza, że takie kontrole nie powinny być zapowiadane, kobieta zaś dodała: – Niektórzy cukiernicy też przychodzą po południu, żeby wszystko było jak należy.

– Rozumiem – rzekł Brunetti i wskazał drzwi. – Tam jest wejście?

Ekspedientka powiedziała z wyraźną niechęcią:

– Chyba byłoby lepiej, żeby właścicielka panów zaprowadziła.

I nie patrząc, czy komisarz się na to zgadza, podeszła do rudowłosej kobiety stojącej przy kasie i zamieniła z nią parę słów. Ta druga zerknęła podejrzliwie w ich stronę, znów spojrzała na pracownicę i jeszcze raz na nich. Następnie poprosiła, żeby ekspedientka zastąpiła ją przy kasie, a sama podeszła do policjantów.

– Co ona takiego zrobiła? – spytała bez ceregieli.

Komisarz uśmiechnął się, jak mu się zdawało, rozbrajająco i skłamał:

– O ile mi wiadomo, nic, signora. Ale, o czym pani z pewnością wie, jej ciotka padła ofiarą zbrodni i mamy nadzieję, że signorina Simionato udzieli nam informacji, które pomogą w śledztwie.

– Myślałam, że wiecie, kto to zrobił – odparła tonem bliskim oskarżenia. – Ta Albanka. – Rozmawiając z nimi, zerka-

ła nerwowo w stronę kasy, ilekroć podchodził do niej klient.

– Na to wygląda – przyznał Brunetti – ale potrzebujemy jeszcze pewnych informacji na temat ciotki signoriny Simionato.

– Musicie wypytywać ją tutaj? – spytała obcesowo właścicielka cukierni.

– Nie, signora, nie tutaj. Wolelibyśmy porozmawiać z nią na zapleczu, w kuchni.

– Chodzi mi o to, że ona jest w pracy. Nie płacę jej za to, żeby stała i rozmawiała o swojej ciotce.

Od czasu do czasu życie dostarczało Brunettiemu kolejnych przykładów owianej legendą pazerności weneccjan. Ale to nie ich chciwość go zdumiewała, tylko okazywanie jej bez żadnego skrępowania.

Uśmiechnął się.

– Doskonale to rozumiem, signora. Więc może przyjdę później i postawię przy drzwiach dwóch policjantów w mundurach, kiedy będę z nią rozmawiał. I może przy okazji zamienię słowo z urzędnikami z Departamentu Zdrowia i spytam, skąd pani wie o planowanej na przyszły tydzień kontroli sanitarnej. – Zanim zdążyła otworzyć usta, dokończył: – A może po prostu pójdziemy teraz do kuchni i porozmawiamy z signoriną Simionato.

Jej twarz spąsowiała od gniewu, a Brunetti tym razem nie miał sobie za złe rażącego nadużycia władzy.

– Jest na zapleczu – mruknęła właścicielka cukierni, po czym odwróciła się i ruszyła z powrotem do kasy.

Vianello poszedł przodem i wkrótce znaleźli się w kuchni zalanej światłem wpadającym przez okna usytuowane na ścianie w głębi. Wzdłuż pozostałych ścian ciągnęły się rzędy pół-

ek na metalowych stelażach. Mężczyzna i kobieta, oboje ubrani w nieskazitelnie białe fartuchy i czepki, stali przed głębokim zlewem, znad którego unosiły się kłęby pary. Z mydlanej piany wystawały trzonki różnych przyborów kuchennych oraz fragmenty szerokich drewnianych blatów, na których pozostawiano ciasto do wyrośnięcia.

Szum ciekącej wody zagłuszał wszystkie inne dźwięki, więc Brunetti i Vianello zbliżyli się do dwojga pracowników na odległość metra, zanim mężczyzna zdał sobie sprawę z czyjeś obecności i odwrócił głowę. Widząc nieznaną stojącą tuż za plecami, szybko zakręcił wodę.

– Tak? – spytał.

Był niski i krępy, ale miał przystojną twarz, która teraz zdradzała zaciekawienie.

Najwyraźniej kobieta nie zauważyła ich obecności, dopóki nie odezwał się jej towarzysz, i dopiero wtedy się odwróciła.

Jeszcze niższa od niego, miała okulary w masywnych prosto-kątnych oprawkach. Jej oczy, zniekształcone przez grube szkła, przypominały duże kulki. Kiedy przenosiła wzrok z Brunettiego na Vianella i z powrotem, ogniska soczewek przemieszczały się wraz z ruchem głowy, przywodząc na myśl kulki przetaczające się pod szkłem. Poza tą jedyną oznaką aktywności jej twarz pozostawała osobliwie niewzruszona.

– Signorina Simionato? – spytał Brunetti.

Niczym sowa obróciła głowę w kierunku dźwięku i zastanowiła się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

– Tak.

– Chciałbym z panią porozmawiać, jeśli pani pozwoli.

Wlepiła wzrok w komisarza i milczała. Mężczyzna szybko przeniósł spojrzenie z Brunettiego na kobietę, potem na Vianella i z powrotem na signorinę Simionato, jakby próbował

odgadnąć cel wizyty dwóch nieznajomych.

Vianello pierwszy się do niego odezwał.

– Może jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać z signoriną Simionato na osobności?

– Nie ma tu nic takiego. Ale mogę wyjść na papierosa, kiedy będziecie rozmawiać.

Brunetti skinął głową, a mężczyzna ściągnął czepek i we-wnętrzną stronę przedramienia otarł pot z czoła. Zadarłszy fartuch, wyciągnął z kieszeni spodni niebieską paczkę nazionalni i wyszedł, zostawiając ich samych. Wtedy Brunetti zauważył, że są tu tylne drzwi prowadzące na calle.

– Signorina Simionato – zaczął. – Jestem komisarz Brunetti. Z policji.

Jeśli nieruchoma twarz może całkiem zastygnąć, to tak właśnie stało się w tej chwili. Nawet oczy przestały krążyć między Brunettim a Vianellem i skupiły się na tylnej ścianie.

Kobieta nadal się nie odzywała. Komisarz przyjrzał się jej obliczu: płaski nos i kręcone rude włosy wymykające się spod białego czepka. Skóra błyszczała – albo od potu, albo z powodu naturalnej skłonności do przetłuszczania. I kiedy tak patrzył

na bezmyślny wyraz twarzy tej kobiety, nabrał pewności, że nie byłaby zdolna posłużyć się komputerem, by przetransferować pieniądze na anonimowe konta na Wyspach Normandzkich.

– Chciałbym zadać pani kilka pytań.

Sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała, co powiedział, i nie odrywała wzroku od ściany.

– Pani jest signorina Simionato, prawda?

Dźwięk własnego nazwiska najwyraźniej wywołał w niej reakcję, bo skinęła głową.

– Siostrzenica signory Battestini?

Pod wpływem tych słów ponownie skierowała spojrzenie na komisarza.

– Tak – wymamrotała.

Kiedy otworzyła usta, zauważył, że dwa przednie zęby ma wystające i znacznie większe od pozostałych.

– Według mojej wiedzy jest pani jej spadkobierczynią, signorina.

– Jej spadkobierczynią, tak – powiedziała. – Miałam dostać wszystko.

– A tak się nie stało? – spytał, starając się okazać troskę i zdziwienie.

Kiedy się jej przyglądał, nieodparcie nasuwały mu się skojarzenia z różnymi zwierzętami. Najpierw przypominała sowę.

Potem gryzonia w klatce. A teraz, gdy zadał to pytanie, jej twarz przybrała jakiś nieodgadniony, zdziwały wyraz.

Zwróciła ku niemu powiększone przez soczewki oczy i spytała:

- Czego pan chce?
- Chciałbym z panią porozmawiać o majątku ciotki.
- A co chciałby pan wiedzieć?
- Choćby to, czy pani wie, skąd miała pieniądze.

Najwyraźniej odezwał się w niej instynkt nakazujący ukrycie wszelkich oznak zamożności.

- Ciotka nie miała dużo gotówki.
- Ale miała konta.
- Nic o tym nie wiem.
- W Uni Credit i czterech innych bankach.
- Nic nie wiem. – Jej głos był równie nijaki jak wyraz twarzy.

Brunetti rzucił spojrzenie Vianellowi, który uniósł brwi, pokazując, że on też rozpoznał ten ośli upór, jakim wieśniacy zawsze reagują na zagrożenie. Komisarz szybko pojął, że w zderzeniu z pancerzem jej głupoty nic nie wskóra łagodną perswazją, więc nadając głosowi nieprzyjemną szorstkość, powiedział:

- Signorina, ma pani dwa wyjścia.

W reakcji na ten ostry ton wzrok kobiety powędrował w górę, ku twarzy Brunettiego.

- Albo porozmawiamy o tym, z jakiego źródła pochodzi majątek pani ciotki, albo porozmawiamy o psach.

Zacisnęła wargi, zakrywając wystające zęby, i chciała coś powiedzieć, ale ją uprzedził.

– Nie sądzę, by właściciel jakiegokolwiek firmy produkującej żywność chciał nadal zatrudniać osobę oskarżoną o użycie trucizny. Mam rację, signorina? – Upewniwszy się, że to do niej dotarło, spytał swobodniejszym tonem: – Pani szefowa nie wygląda na osobę skłoną do okazania wyrozumiałości pracownicy, która musi ciągle się zwalniać, żeby stawić się na rozprawę w sądzie, prawda? – Dał jej chwilę do namysłu i dorzucił: – To znaczy jeśli ta pracownica ma jeszcze prawnika, który pomoże jej przebrnąć przez proces.

Signorina Simionato położyła palce lewej ręki na prawej dłoni i zaczęła ją pocierać, jakby chciała przywrócić jej życie.

Skierowała soczewki okularów na Vianella i ponownie na Brunettiego. Wciąż pocierając dłoń, zaczęła coś mamrotać, ale komisarz przerwał jej podniesionym głosem:

– Inspektorze, niech pan powie właścicielce, że zabieramy signorinę Simionato do komendy. I proszę jej wyjaśnić dlaczego.

Udając, że zamierza wykonać rozkaz, Vianello odrzekł:

– Tak jest, panie komisarzu. – I obrócił się ku drzwiom prowadzącym do sklepu.

Nie zdążył nawet zrobić kroku, gdy kobieta wykrzyknęła piskliwym głosem:

– Nie! Niech pan zaczeka, proszę tego nie robić! Wszystko powiem. – Bełkotała niewyraźnie, jakby artykułowanie spółgłosek wymagało użycia dużej ilości śliny.

Inspektor obrócił się, nie podchodząc jednak do kobiety, jakby nie chciał swą pokazną posturą potęgować strachu, który wzbudziły w niej słowa Brunettiego.

– To on – wydukała – to on zdobył dla niej te pieniądze, ale nie wiem jak. Ciotka nigdy mi tego nie powiedziała. Tylko 224

ciągle powtarzała, jaka jest z niego dumna, bo zawsze myślał

przede wszystkim o niej. – Przerwała, jakby uznała, że to wystarczająca odpowiedź na pytania i że w ten sposób oddali grożące jej niebezpieczeństwo.

– A co dokładnie signora Battestini pani mówiła? – dociekał Brunetti.

– No przecież panu powiedziałam – odparła zadziornym tonem.

– Vianello, niech pan pójdzie zawiadomić właścicielkę.

Signorina Simionato spoglądała rozpaczliwie to na jednego, to na drugiego, jakby szukając u nich litości, a gdy zobaczyła, że nie ma na co liczyć, odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła wyc jak zranione zwierzę.

Brunetti zrobił krok w jej stronę, lecz zaraz znowu się cofnął, nie chcąc, by ktoś, kto przyjdzie sprawdzić, co tu się dzieje, zobaczył, że stoi zbyt blisko przesłuchiwanej. W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się właścicielka cukierni.

– Graziella, przestań! – krzyknęła. – Uspokój się albo od dziś już tu nie pracujesz.

Wycie natychmiast ustało, ale signorina Simionato wciąż zanosila się szlochem.

Właścicielka popatrzyła na policjantów, prychnęła z odrazą i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Brunetti, nie czując wyrzutów sumienia, odwrócił się do łkającej kobiety.

– Sama pani słyszała, Graziello – powiedział. – Ona nie okaże wyrozumiałości, jeśli będziemy zmuszeni jej powiedzieć o Poppi i truciznie, prawda?

Kobieta ściągnęła z głowy czepek i wytarła nim usta i nos, ale nadal nie mogła powstrzymać szlochu. Zdjęła okulary, położyła je na blacie i wytarła czepkiem całą twarz, a potem 225

spojrzała na Brunettiego nagimi oczami, zezowatymi i niedo-widzącymi.

Opanował odruch współczucia i spytał:

– Co jeszcze ciotka pani mówiła, Graziello? O pieniąd-
dzach.

Łkanie ustało. Ponownie wytarła twarz i zaczęła po omacku szukać okularów. Brunetti, widząc zbliżającą się dłoń, cofnął się o krok, tłumiąc odruch, żeby jej pomóc. W końcu na-trafiła na okulary i obiema rękami włożyła je na nos.

– Co jeszcze ciotka pani powiedziała? – powtórzył. – W
jaki sposób Paolo zdobył te pieniądze?

– Od kogoś z pracy – odparła. – Ona była z niego strasz-nie dumna. Chwaliła się, że to premia za to, że okazał się sprytny. Ale mówiła to takim tonem, jakby sama w to nie wierzyła albo jakby zdobył te pieniądze w jakiś nieuczciwy sposób. Ale ja się tym nie przejmowałam, bo mnie zapewniała, że kiedyś pieniądze będą moje, więc nie obchodziło mnie, jak je zdobył. Poza tym mówiła, że nad wszystkim, co robi Paolo, czuwa Matka Boska, więc to chyba nie mogło być nic złego, prawda?

Brunetti zignorował pytanie.

– Wiedziała pani, gdzie ciotka trzyma pieniądze, w któ-
rych bankach?

Spuściła głowę, wpatrując się w podłogę między swoimi stopami.

– Czy pani wie, jak się tam znalazły?

Cisza. Wciąż miała spuszczoną głowę, a on zastanawiał

się, czyjej powolny umysł przetrawi to pytanie i jaką część prawdy zdecyduje się ujawnić.

Zaskoczyła go, odpowiadając na pytanie dosłownie:

– Sama je zanosilałam.

Choć brzmiało to niedorzecznie, nie okazał zdziwienia.

– Jak? – spytał.

– Po śmierci Paola odwiedzałam ciotkę raz w miesiącu i wtedy dawała mi pieniądze. A ja zanosilaam je do banku.

No właśnie! Nigdy nawet nie zastanowił się nad tym, jak praktycznie mogło się to odbywać, wyobrażając sobie jakieś tajemnicze przelewy, które może wytropić jedynie signorina Elettra.

– A dowody wpłat?

– Oddawałam je ciotce. Co miesiąc.

– Gdzie są teraz?

Cisza.

– Gdzie są? – powtórzył podniesionym głosem.

Mówiła bardzo cicho, ale kiedy schylił głowę, mógł rozróżnić słowa.

– Kazała mi je spalić.

– Kto? – spytał, chociaż już się domyślał, kim jest ta osoba.

– No, ona.

– Czyli kto?

– Prawniczka – odpowiedziała w końcu.

– I pani to zrobiła? – spytał, zastanawiając się, czy ta kobieta jest w ogóle świadoma tego, że jeśli posłuchała prawniczki, to zniszczyła dowody potwierdzające istnienie pieniędzy.

Spojrzała na niego i zobaczył, że szkła okularów są mokre od łez, które musiały nakapać, kiedy trzymała głowę pochyłą. Miała jeszcze bardziej rozbiegane oczy.

– Spaliła je pani, signorina? – powtórzył ostrym tonem.

– Powiedziała, że tylko wtedy będę miała pewność, że dostanę te pieniądze, bo gdyby policja znalazła dowody wpłat, 227

mogłaby zacząć coś podejrzewać – odparła, a w każdym słowie pobrzmiwał żal z powodu straty.

– A potem, signorina? Co się zdarzyło, kiedy poszła pani do banków, żeby wybrać pieniądze?

– Urzędnicy... znałam wszystkich bardzo dobrze... powiedzieli mi, że konta zostały zamknięte.

– A dlaczego pani pomyślała, że pieniądze zabrała avvocatessa Maneschi? – spytał, po raz pierwszy wymieniając nazwisko prawniczki.

– Zia Maria mówiła, że tylko ona oprócz nas o nich wie. I że mogę jej ufać – dodała z wyraźnym obrzydzeniem. – Kto inny mógł to zrobić?

Brunetti spojrział na milczącego Vianella i uniósł pytająco brwi. Inspektor zamknął na chwilę oczy i pokręcił głową, co znaczyło: niczego się już od niej nie dowiemy.

Komisarz, nie odzywając się więcej do kobiety, ruszył do drzwi. Nagle usłyszał za plecami głos Vianella, więc się zatrzymał, lecz nie odwrócił głowy.

– Dlaczego otruła pani psa, signorina?

Upłynęło tyle czasu, że każdy oprócz wytrwałego inspektora już dawno by zrezygnował i wyszedł. W końcu, wypluwa-jąc grzęznące w ślinie spółgłoski, wymamrotała:

– Bo ludzie kochają psy.

Chwilę później komisarz usłyszał za sobą kroki Vianella i ruszył znowu ku drzwiom.

Rozdział 19

– I co pan o niej sądzi? – zapytał Brunetti, kiedy wyszli na Calle Lunga San Barnaba.

– Cóż, użyłbym określenia, którego moje dzieciaki nauczyły się w szkole: „rozgarnięta inaczej”.

– To znaczy opóźniona w rozwoju?

– Tak. Wskazuje na to już sam jej wygląd i to wycie, kiedy poczuła się osaczona, a do tego prawie całkowity zanik normalnych ludzkich odruchów i uczuć. Okropne.

– Zupełnie jakby pan mówił o połowie pracowników komendy – odparł Brunetti.

Vianellowi wystarczyła sekunda, żeby się połapać, a wtedy ryknął takim śmiechem, że aż musiał się zatrzymać i oprzeć o ścianę budynku, dopóki się nie uspokoił. Nie czując najmniejszej dumy z powodu tego komentarza, Brunetti zanotował

sobie w pamięci, żeby przytoczyć go Paoli, i był ciekaw, czy Vianello powtórzy jego słowa signorinie Elettrze.

Kiedy inspektor odzyskał panowanie nad sobą i ruszyli w stronę przystanku Ca' Rezzonico, Brunetti spytał:

– Myśli pan, że Simionato miała coś wspólnego ze śmiercią ciotki?

Odpowiedź była natychmiastowa.

– Nie sędzę. Zaczęła wrzeszczeć, kiedy zapytał ją pan o konta i postraszył, że wyleci z pracy, jeśli nie odpowie. Natomiast nie sprawiała w ogóle wrażenia zaniepokojonej, gdy mówił pan o jej ciotce.

Komisarz myślał podobnie, więc ucieszył się, że inspektor podziela jego opinię.

– Musimy mieć listę wszystkich osób, które pracowały w kuratorium razem z Paolem Battestinim – powiedział, a potem się poprawił: – A przynajmniej pracowały w tym czasie, kiedy zaczęły się wpłaty.

– Jeśli rejestry bankowe zostały skomputeryzowane – odrzekł Vianello – to nie powinno być z tym problemu.

– Dziwię się, że signorina Elettra nie zadaje panu lekcji do domu – rzucił Brunetti z uśmiechem. – Bo nie zadaje, prawda?

Dotarli do imbarcadero i przystanęli zadowoleni, że mogą wreszcie schować się w cieniu.

– Właściwie to nie, commissario. Ale wie pan, że dosta-

łem od niej komputer, to znaczy dostałem od wydziału. I czasem sugeruje, żebym spróbował na nim zrobić to i owo.

– Coś, w czym ja bym się nie połapał? – spytał Brunetti.

Vianello patrzył daleko przed siebie, na palazzo Grassi i długie kolejki turystów czekających przed wejściem do kolejnej świątyni sztuki.

– Wątpię, commissario – przyznał w końcu. – Ona twierdzi, że pan musi uczyć się od podstaw, wypróbować różne metody działania albo zmieniając podejście. Więc właściwie powinien pan obcować z komputerem jak najczęściej. – Spojrzał na zwierzchnika i ośmielił się dodać: – No i musi pan mieć lepsze nastawienie do komputerów.

Brunetti chciał się bronić, mówiąc, że jego dzieci mają komputer i żona też używa komputera w pracy, ale uznał, że to poniżej jego godności. Więc tylko spytał:

– Kiedy dostaniemy nazwiska?

– Najpóźniej jutro po południu – odparł Vianello. – Nie jestem pewien, czy mnie udałoby się je zdobyć, a signorina Elettra jest z kimś umówiona dziś po pracy.

– Czy wspominała, gdzie ma to spotkanie?

– Nie.

– No to zostawmy to do jutra – zaproponował Brunetti, spoglądając na zegarek.

Nie było już sensu wracać do komendy, w dodatku nagle poczuł się wyczerpany wydarzeniami całego dnia. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu, zjeść kolację z rodziną i po-myśleć o czymś innym niż śmierć i chciwość. Vianello przystał na ten pomysł z ochotą i wsiadł do jedyńki, a komisarz musiał poczekać jeszcze dwie minuty na vaporetto innej linii, które zawiezie go do domu.

Kiedy zatrzymało się przy San Silvestro, gdzie zwykle wysiadał, Brunetti pozostał na pokładzie i dopłynął do następnego przystanku, Rialto. Stąd miał tylko parę kroków drogą nad kanałem do ratusza na Ca' Farsetti, a potem musiał przejść jeszcze kawałek wzdłuż calle, by dotrzeć do budynku, w któ-

rym mieściły się biura kuratorium. Pokazał legitymację policyjną portierowi i dowiedział się, że Ufficio di Pubblica Istruzione jest na trzecim piętrze. Ponieważ nigdy nie czuł się zbyt dobrze w windzie, postanowił wejść po schodach. Na trzecim piętrze, zgodnie ze strzałką na tabliczce, skręcił w prawo i wąskim korytarzem dotarł do szklanych drzwi prowadzących do biur kuratorium. Za nimi znajdowała się duża otwarta 231

przestrzeń, czterokrotnie większa niż jego własne biuro. Po jednej stronie wzdłuż ścian stały pomarańczowe plastikowe krzesła, a na wprost drzwi, za podniszczonym drewnianym biurkiem, siedziała równie podniszczona kobieta; coś mu mó-

wiło, że taki wygląd nie jest dziełem przypadku, lecz rezultatem jej własnych zaniedbań.

Ponieważ w pomieszczeniu nie było nikogo innego, podszedł prosto do niej. Mogła mieć równie dobrze trzydzieści jak pięćdziesiąt lat, bo niestaranny makijaż skutecznie uniemożliwiał dokładniejsze określenie wieku. Szminka wprawdzie powiększała usta, lecz wylewała się poza kontur, wypełniając mnóstwo drobnych zmarszczek pod dolną wargą, co z jednej strony nadawało ustom wyraz młodzieńczej obietnicy, a z drugiej świadczyło o latach nałogowego palenia. Ciemnozielone, właściwie szmaragdowe oczy lśniły tak mocno, że mogło to być zarówno efektem stosowania szkieł kontaktowych, jak i objawem zażywania narkotyków. Brwi natomiast zastępowały cienkie brązowe kreski, które wcinały się ostrymi łukami w czoło i wyglądały, jakby narysowano je przypadkowo.

Brunetti uśmiechnął się, zbliżywszy się do biurka. Wargi kobiety wykrzywiły się w odpowiedzi.

- Przyszedł pan naprawić automat z chłodzoną wodą? – spytała głosem pozbawionym jakiegokolwiek modulacji.
- Słucham?
- To pan ma naprawić automat z chłodzoną wodą?
- Nie. Przyszedłem, żeby porozmawiać z dyrektorem.
- To pan nie jest tym specem, co ma naprawić automat?
- Obawiam się, że nie.

Obserwował, jak ta informacja zostaje przetworzona gdzieś w głębi za szmaragdowymi oczami. Natychmiast dało się 232

zauważyć, że sytuacja, w której coś potoczyło się niezgodnie z oczekiwaniami, całkowicie przerosła tę kobietę i zmusiła ją do zamknięcia oczu. Dostrzegł, że ze skóry na lewej skroni wyłoniły się dwa małe srebrne kolczyki, ale nie zastanawiał się, skąd się tam wzięły ani tym bardziej czemu mają służyć.

Otworzyła oczy. Chyba otworzyła, bo nie był tego do końca pewien.

– Dottor Rossi jest w swoim gabinecie – powiedziała, machając dłonią z długimi zielonymi paznokciami w kierunku drzwi za jej lewym przedramieniem.

Komisarz podziękował i postanowiwszy nie wyrażać nadziei, że spec od automatu z wodą wkrótce się pojawi, podszedł do wskazanych drzwi. Za nimi znajdował się krótki korytarz z rzędem drzwi po lewej stronie i kilkoma oknami po prawej, wychodzącymi na nieduży wewnętrzny dziedziniec.

Brunetti zagłębił się w korytarz, odczytując po drodze nazwiska na tabliczkach. W pokojach panowała cisza i wydawa-

ło się, że nikt tam nie urzęduje. Na końcu korytarza skręcił w prawo: znajdowały się tam dwa gabinety, choć żaden nie był

gabinetem dyrektora.

Znów skręcił w prawo. W głębi wnęki znalazł drzwi z tabliczką: DOTTOR MAURO ROSSI. Zapukał. Usłyszał, jak ktoś zawołał: Avanti! – więc wszedł do środka.

Mężczyzna siedzący za biurkiem podniósł wzrok i wyraźnie zaskoczony widokiem nieznanego zapytał:

– Słucham, o co chodzi?

– Komisarz Guido Brunetti, dottore. Przyszedłem, żeby zadać panu kilka pytań dotyczących jednego z dawnych pracowników kuratorium.

– Pan jest komisarzem policji? – spytał Rossi, a usłyszawszy potwierdzenie, wstał i wyciągnął do Brunettiego rękę, a potem ruchem głowy wskazał mu krzesło.

Był postawnym mężczyzną, wyższym od komisarza o głowę. Mimo atletycznej sylwetki nie zdradzał jednak śladów otyłości. Wyglądał na czterdzieści parę lat: włosy, wciąż gęste i ciemne, opadały mu na czoło. Miał zdrową cerę i poruszał się wyjątkowo zwinnie jak na człowieka tak potężnej postury.

Wnętrze gabinetu odzwierciedlało owo poczucie męskości: jedną z półek oszklonej gabloty wypełniały sportowe trofea, na biurku stała oprawiona w ramki fotografia kobiety i dwojga dzieci, na ścianie zaś wisiało sześć lub siedem dyplomów, wśród nich tłoczony pergamin zaświadczający o nadaniu Mauro Rossiemu tytułu doktora.

Usiadłszy na krześle, Brunetti wyjaśnił:

– Chodzi o urzędnika, który przestał tu pracować jakieś pięć lat temu, dottore. O Paola Battestiniego.

Rossi skinął na komisarza, by kontynuował, lecz w żaden sposób nie okazał, że rozpoznaje to nazwisko.

– Znał go pan, dottore? – spytał Brunetti, nie doczekawszy się reakcji.

Dyrektor zastanawiał się przez chwilę.

– Być może. Nie jestem pewien – odpowiedział.

Komisarz przekrzywił głowę, czekając na uściślenie.

– W tym czasie nadzorowałem szkoły w Mestre.

– Stąd?

– Ależ nie! – odparł Rossi z uśmiechem, jakby przeproszając za nieprecyzyjną odpowiedź. – Wtedy pracowałem w Mestre. Dopiero dwa lata temu powierzono mi stanowisko w tutejszym urzędzie.

– Dyrektora?

– Tak.

– Więc przeprowadził się pan do Wenecji?

Rossi znów się uśmiechnął i ściągnął usta, zakłopotany tym przedłużającym się nieporozumieniem.

– Nie. Zawsze tu mieszkałem.

Brunetti był zdziwiony, że mężczyzna wciąż mówi czystym włoskim, bo w tym momencie większość weneccjan przeszłaby na miejscowy dialekt, ale widocznie Rossi chciał utrzymać powagę sprawowanego urzędu.

– Więc przeniesienie tutaj było niejako podwójnym błogosławieństwem – ciągnął Rossi, odrywając komisarza od rozważań na temat języka – ponieważ oznaczało, że nie będę musiał codziennie dojeżdżać do Mestre.

– Perły Adriatyku – wtrącił Brunetti z pewną dozą sarka-zmu.

Rossi, jak prawdziwy weneccjanin, pokiwał głową, wyrażając niechęć do tego szpetnego parweniusza – Mestre.

Komisarz zdał sobie sprawę, że odbiegli od zasadniczego tematu rozmowy, i powrócił do przerwanej wątku.

– Powiedział pan, dottore, że być może znał pan Paola Battestiniego. Czy mógłby pan to bliżej wyjaśnić?

– Przypuszczam, że musiałem go znać – odparł Rossi i widząc zdezorientowaną minę Brunettiego, dodał: – To znaczy w taki sposób, w jaki zna się ludzi pracujących w tym samym urzędzie. Spotykamy kogoś na korytarzu, widzimy na tabliczce jego nazwisko, ale nigdy nie mamy sposobności poznać tej osoby osobiście ani z nią porozmawiać.

– Czy, pracując w Mestre, miał pan okazję bywać w tutejszym urzędzie?

– Owszem. Człowiek, którego zastąpiłem na stanowisku 235

dyrektora, urzędował tutaj, więc w czasie, gdy pracowałem w Mestre, musiałem raz w tygodniu uczestniczyć w naradach, ponieważ tu znajduje się centralne kierownictwo. – Wyprzedzając następne pytanie komisarza, powiedział: – Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek spotkał się z człowiekiem o nazwisku Battestini albo z nim rozmawiał. Słyszając to nazwisko, odniosłem wrażenie, że brzmi ono znajomo, ale nie potrafię z nim skojarzyć konkretnej osoby. A kiedy mnie przeniesiono, pewnie już tu nie pracował, bo, jak pan wspomniał, odszedł stąd pięć lat temu.

– A czy kiedykolwiek słyszał pan, co mówili o nim inni pracownicy?

Rossi pokręcił głową.

– Nic takiego sobie nie przypominam.

– Czy po śmierci jego matki ktoś o nim wspominał? –
dążył Brunetti.

– Jego matki? – spytał Rossi, a po chwili zrobił taką minę, jakby zaczynał coś kojarzyć. –
Ma pan na myśli tę zamordowaną kobietę?

Brunetti potwierdził ruchem głowy.

– Jakoś tego nie powiązałem – odparł dyrektor. – To dość pospolite nazwisko. – Potem
spytał nieco innym tonem: – A dlaczego pan o to pyta?

– Chodzi jedynie o wykluczenie pewnych możliwości, dottore. Chcemy się upewnić, że
śmierć tej kobiety nie łączy się w żaden sposób z jego osobą.

– Po pięciu latach? – zdziwił się Rossi. – Wspomniał pan, że on przestał tu pracować pięć
lat temu. – Jego ton sugerował, że Brunetti traci czas na podobne dociekania.

Komisarz puścił te słowa mimo uszu.

– Jak powiedziałem, staramy się wyeliminować pewne możliwości, zamiast szukać powiązań, dottore. Dlatego pana o to pytam.

Spodziewał się sprzeciwu ze strony Rossiego, ale ten milczał. Oparł się jedynie wygodniej na krześle.

Brunetti obrócił dłonie wnętrzem do góry jakby w geście porażki.

– Mówiąc szczerze, dottore, czujemy się w tym trochę za-gubieni. Nie mamy pojęcia, jakim Battestini był człowiekiem.

– Ale to jego matkę zamordowano, prawda? – spytał Rossi. Można by pomyśleć, że usiłuje przypomnieć policji, czym powinna się zajmować.

– Owszem – potwierdził Brunetti i znów się uśmiechnął. –

Ale taki już mamy nawyk. Zawsze staramy się zebrać jak najwięcej informacji o ofiarach i osobach z ich otoczenia.

Nagle Rossi jakby coś sobie przypomniał.

– Ale gazety zdaje się podawały, że tego morderstwa dokonała jakaś cudzoziemka. Rosjanka albo ktoś taki.

– Rumunka – poprawił odruchowo Brunetti. Jakimś zmysłem wychwycił, że Rossi nie lubi, by go korygowano, więc dodał: – Nie żeby to miało jakieś znaczenie, dottore. Mieliśmy nadzieję, że odkryjemy, dlaczego ta kobieta mogłaby żywić do signory Battestini urazę albo niechęć. – Zanim Rossi zdążył

się wtrącić, dokończył: – Może to syn signory wyrządził jej jakąś krzywdę.

– Ale ona chyba zaczęła pracować u signory już po śmierci jej syna, prawda? – spytał Rossi, dorzucając kolejny fakt, który miał potwierdzać, że wszystkie pytania Brunettiego są bezcelowe.

– Tak, to prawda – przyznał komisarz, wykonując ponownie gest otwartą dłonią, choć tym razem mniej teatralnie. Potem wstał. – Chyba nie mam już do pana więcej pytań, dottore. Bardzo dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu.

Rossi również się podniósł.

– Mam nadzieję, że mogłem mimo wszystko choć trochę pomóc.

Brunetti uśmiechnął się szeroko.

– Obawiam się, że tak, dottore – powiedział, a widząc je-go zdziwioną minę, ciągnął gładko: – W tym sensie, że wyeliminował pan parę możliwości, które dotąd uwzględnialiśmy. A teraz widzę, że będziemy musieli ponownie skupić uwagę na signorze Battestini.

Rossi odprowadził komisarza do drzwi gabinetu. Pochylił

się lekko, by sięgnąć do klamki. Podali sobie ręce: dwaj funkcjonariusze miejskich władz wymieniający uścisk dłoni po kilku minutach efektywnej współpracy. Podziękowawszy ponownie dyrektorowi za pomoc, Brunetti zamknął za sobą drzwi i ruszył w kierunku klatki schodowej, zastanawiając się po drodze, skąd dottore Rossi wiedział, że Paolo Battestini, którego podobno w ogóle nie znał, nie żyje i że Fiori Ghiorghiu zaczęła pracować u starszej pani już po jego śmierci.

Kiedy dotarł do domu, było już po ósmej, ale Paola postanowiła poczekać z kolacją co najmniej do wpół do dziewiątej, zakładając, że mąż uprzedziłby ją telefonicznie, gdyby miał

wrócić znacznie później.

Jego poważny nastrój wydawał się udzielać pozostałym domownikom, przynajmniej w chwili, gdy wszyscy zasiedli do stołu. Ale po zjedzeniu dwóch dokładek orecchiette z kostka-mi mozzarella di bufala i pomodorini dzieci miały już ochotę 238

wznosić okrzyki radości, gdy Paola rozbiła skorupę z soli, w której upiekła branzino, i ich oczom ukazało się soczyste białe mięso.

– A co robisz potem z tą solą, mamma? – spytała Chiara, polewając porcję ryby oliwą z oliwek.

– Wyrzucam do śmieci. Przy okazji, Raffi, czy mógłbyś je wynieść? Nie chcę, żeby w całym mieszkaniu cuchnęło rybą.

– Jasne. Umówiłem się z Giorgiem i Luçą, że spotkamy się o wpół do dziesiątej. Zabiorę śmieci, gdy będę schodził na dół.

– A włożyłeś swoje rzeczy do pralki?

Wzniósł oczy do sufitu.

– Myślisz, że próbowałbym się wymknąć, nie zrobiwszy tego? – Odwrócił się do ojca i tonem wyrażającym męską solidarność, powiedział: – Ona ma radar. – Ostatnie słowo

wycodził powoli, żeby nikt nie miał wątpliwości, jaki okropny reżim musi znosić w domu.

– Dzięki – rzekła Paola, pewna swojej władzy i nieczuła na wszelkie wyrzuty.

Kiedy córka zaofiarowała się, że pozmywa naczynia – odparła, że woli sama to zrobić ze względu na pozostałości po rybie. Chiara odebrała to raczej jako akt miłosierdzia niż jako obrazę dla jej gospodarskich umiejętności i postanowiła wykorzystać nieobecność Raffiego, żeby dopaść do komputera.

Gdy Paola kończyła zmywanie, Brunetti wstał i wyciągnął z szafki dzbanek do parzenia kawy.

– Kawa? – zdziwiła się. Dobrze знаła nawyki męża i wiedziała, że o tej porze pije kawę wyłącznie po zjedzeniu posiłku w restauracji.

– Jestem skonany – wyznał.

– To może lepiej połów się wcześniej spać – zasugerowała.

– Nie wiem, czy uda mi się zasnąć w tym upale.

– Poczekaj chwilę, aż skończę – zaproponowała – a potem pójdziemy posiedzieć na tarasie, dopóki nie poczujesz się śpiący.

– Dobrze – zgodził się. Odstawił dzbanek na miejsce i otworzył sąsiednią szafkę. – Czego najlepiej się napić w tym upale? – spytał, robiąc przegląd butelek zapełniających dwie półki.

– Gazowanej wody mineralnej.

– Bardzo zabawne – powiedział. Sięgnął w głąb szafki, wyciągnął butelkę galliano i powtórzył pytanie: – Czego najlepiej się napić, gdy człowiek siedzi na tarasie, patrząc, jak słońce dogasa na zachodzie, w dodatku siedzi koło osoby, którą uwielbia najbardziej w całym wszechświecie, i zdaje sobie sprawę, że nie ma w życiu większej radości niż przebywanie w jej towarzystwie?

Przewieszając kuchenną ścierkę przez uchwyt szuflady ze sztućcami, Paola posłała mu przeciągłe spojrzenie, które zmieniło się w zagadkowy uśmiech.

– Człowiekowi w tym stanie najlepiej by zrobiła niegazowana woda mineralna – powiedziała i wyszła na taras, by tam na niego zaczekać.

Gdy obudził się następnego ranka, od razu dopadła go apatia, która często go ogarniała, ilekroć jakaś sprawa wydawała się zmierzać donikąd. Miał w tym swój udział także dotkliwy upał, który mimo wczesnej pory dawał się już mocno we znaki. Nawet filiżanka kawy, którą Paola przyniosła mu do łóżka, 240

nie poprawiła jego nastroju, ani długa kąpiel pod prysznicem, którą się uraczył, korzystając z okazji, że dzieci wyruszyły już do Alberoni i nie mogły go nękać gniewnym łomotaniem w drzwi łazienki ani reprimendami, że zużywa więcej wody, niż pozwala na to ich ekologiczna wrażliwość.

Po dwóch dziesięcioleciach codziennej dawki porannego zrzędzenia Paola miała prawo być w złym nastroju, toteż nie obiecywał sobie zbyt wiele po porannej rozmowie.

Wyruszył z domu od razu po kąpiele, nieco pogniewany na wszechświat. Gdy zmierzał w stronę Rialto, postanowił wypić jeszcze jedną kawę w najbliższym barze na rogu. Po drodze kupił gazetę i wchodząc do lokalu, zerknął na nagłówki. Podszedł do kontuaru – ze wzrokiem wciąż wlepionym w gazetę –

i poprosił o kawę i drożdżową bułeczkę. Nie zwrócił uwagi na swojski odgłos ekspresu do kawy – głucho dudnienie i syk –

ani na stukot stawianej przed nim na blacie filiżanki. Lecz kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że barmanka, która podawała mu kawę od dziesiątków lat, gdzieś zniknęła –

albo zamieniła się w Chinę o połowę od niej młodszą. Spojrzał w kierunku kasy, a tam stał inny przybysz z Chin, dla odmiany mężczyzna.

Obserwował to zjawisko od miesięcy: stopniowe opano-wywanie barów w mieście przez chińskich właścicieli i pracowników, po raz pierwszy jednak doświadczył tego w jednym z lokali, które regularnie odwiedzał. Powstrzymał odruch, by zapytać, dokąd wyjechali signora Rosalba i jej mąż; zamiast tego wrzucił do kawy dwie kostki cukru. Podszedł do plastikowej gablotki i zauważył, że drożdżowe bułeczki różnią się od tych świeżych, z dodatkiem mirtillo, które jadał od lat.

Nalepka na gablotce informowała, że zostały upieczone w 241

Mediolanie i przywiezione tu jako produkt mrożony. Dopił

kawę, zapłacił i wyszedł.

O tak wczesnej porze tramwaje wodne nie były jeszcze za-tłoczone przez turystów, więc wszedł do jedynej przy San Silvestro i stojąc na górnym pokładzie, czytał „Il Gazzettino”.

Wiadomości nie poprawiły mu jednak humoru. Nie poprawił

go tym bardziej widok porucznika Scarpy stojącego u stóp schodów przed wejściem do komendy.

Brunetti minął go w milczeniu i zaczął wchodzić po stop-niach, gdy nagle za plecami usłyszał wołanie:

– Commissario, jeśli mógłbym zamienić z panem słowo...

Brunetti odwrócił się i popatrzył na funkcjonariusza w mundurze.

– Słucham, poruczniku?

– Wezwałem dziś signorę Gismondi na ponowne przesłuchanie. Pomyślałem, że skoro jest pan tak zainteresowany tą osobą, to może chciałby pan o tym wiedzieć.

– Co znaczy „zainteresowany”, poruczniku?

Ignorując pytanie, Scarpa dodał:

– Nikt nie pamięta, żeby ją widział tamtego ranka na dworcu kolejowym.

– Ośmielam się zauważyć, że to samo można by powiedzieć o pozostałych siedemdziesięciu tysiącach mieszkańców naszego miasta – odparł Brunetti znużonym tonem – Miłego dnia, poruczniku.

Znalazłszy się w swoim biurze, przyłapał się na tym, że wciąż myśli o zachowaniu Scarpy. Celowe obstrukcyjne dzia-

łania były zapewne przejawem jego nienawiści do Brunettiego i ludzi, z którymi współpracował, a signora Gismondi służyła tylko jako narzędzie. Nie po raz pierwszy dopatrywał się tu jednak głębszego znaczenia: że Scarpa być może próbuje w 242

ten sposób odwrócić jego uwagę od innej osoby. Na samą tę myśl znów poczuł lekkie mdłości.

Żeby oderwać się od tych spekulacji, przewertował dokumenty, które zalegały od paru dni

na jego biurku. Najważniejszym był okólnik z Ministero dell' Interno, wyszczególniający zmiany w przepisach dotyczących resortów siłowych, niedawno, jak stwierdzał dokument, przyjęte przez parlament. Przeczytał pismo z zainteresowaniem, potem przeczytał je ponownie z coraz większym gniewem. Kiedy po raz drugi doczytał

do końca, położył kartkę na środku biurka i powiedział na głos z odrazą:

– Dlaczego po prostu nie pozwolić im rządzić całym kra-jem?

Użyty przez niego zaimek bynajmniej nie odnosił się do członków parlamentu.

Potem zajął się pozostałymi dokumentami, które wymagały przejrzenia, dzięki czemu pohamował pokusę, żeby zejść na dół i dopilnować, by signorze Gismondi nie stała się jakaś krzywda. Wiedział, że nie można jej postawić żadnych zarzutów i że jest jedynie pionkiem w grze, której do końca nie rozumiał, ale wiedział też, że jakakolwiek próba udzielenia pomocy mogłaby jej tylko zaszkodzić.

Spędził jałową godzinę, potem kolejną, aż wreszcie do drzwi zapukał Vianello. Po jego minie Brunetti widział, że dzieje się coś niedobrego.

Inspektor stanął przed jego biurkiem, trzymając w ręce plik papierów.

– To moja wina, commissario – oznajmił.

– Co takiego?

– Miałem wszystko pod samym nosem, a jednak nie przyszło mi do głowy, żeby zadać najoczywistsze pytanie.

– O czym pan mówi, Vianello? – spytał ostro Brunetti. – I niech pan siada. Proszę tak nie stać.

Inspektor jakby go nie słyszał, tylko wyciągnął przed siebie papiery.

– Pracował w dziale, który zajmował się rozstrzyganiem przetargów – powiedział, potrząsając wymownie kartkami. –

Do jego obowiązków należało analizowanie planów dotyczą-

cych wszelkich prac budowlanych na terenie szkół i sprawdzanie, czy są one zgodne z konkretnymi potrzebami uczniów i nauczycieli. – Wyciągnął jedną kartkę, a pozostałe położył na biurku komisarza. – Nie był uprawniony do podejmowania decyzji, ale mógł udzielać rekomendacji. – Dołączył kartkę do innych i cofnął się o krok, jakby się obawiał, że buchną ogniem. – Przecież tam byłem i rozmawiałem o nim, a jednak nie przyszło mi do głowy spytać, w jakim dziale pracował.

– Kto? Battestini junior?

– Tak. Tam właśnie wystartował. Ojciec pracował w dziale personalnym i wiadomo, że nikt tam nie przychodzi z żądaniem łapówki.

– A daty się zgadzają?

Vianello wziął papiery i szybko je przejrzał.

– Wpłaty zaczęły się, gdy przepracował cztery lata. –

Spojrzał ponad biurkiem na Brunettiego. – To wystarczająco dużo czasu, by się zorientować, co się tam dzieje.

– Jeśli rzeczywiście się działo.

– Commissario – rzekł Vianello z nietypową dla niego szorstkością. – Przecież to urząd miejski, na litość boską.

Więc dlaczego miałyby funkcjonować inaczej niż wszystkie?

– Kto kierował kuratorium, kiedy zaczęły się te wpłaty?

Inspektor nie musiał zaglądać do papierów, by odpowiedzieć.

– Renato Fedi. Mianowano go dyrektorem jakieś trzy miesiące przed otwarciem kont.

– Ale potem znalazł sobie lepsze i ciekawsze zajęcie –

wtrącił Brunetti, po czym spytał: – A kto był dyrektorem, kiedy Battestini zaczął tam pracować?

– Początkowo Piero De Pra, ale umarł. Zastąpił go Luca Sardelli. Przetrwał na tym stanowisku tylko dwa lata, bo został

przeniesiony do wydziału oczyszczania miasta. Zanim wydział

sprywatyzowano – dodał.

– A czy wiadomo, czemu został przeniesiony?

Vianello wzruszył ramionami.

– Z tego, co o nim słyszałem, jest jedną z tych miernot, które się przesuwają z urzędu do urzędu, bo zdołał sobie wyrobić wszędzie znajomości i nikt nie ma odwagi go wyrzucić.

Więc trzymają takiego na posadzie, dopóki nie znajdą dlań jakiegoś innego miejsca, i wtedy się go pozbywają.

Powstrzymując silny odruch, by powtórzyć swój komentarz na temat komendy, komisarz poprzestał na pytaniu:

– A teraz jest w Assessorato dello Sport?

– Tak.

– Wie pan, czym się tam zajmuje?

– Nie.

– To niech pan sprawdzi. – Zanim do Vianella dotarła treść polecenia, Brunetti spytał: – A Fedi?

– Przyszedł na miejsce Sardellego, kierował urzędem przez dwa lata, a potem porzucił administrację państwową, by przejąć firmę budowlaną po wuju. Prowadzi ją do dziś.

– Jakiego rodzaju prace wykonują?

– Głównie remonty – odparł Vianello. – Między innymi szkół.

Brunetti wrócił pamięcią do swojej rozmowy z sędzią Galvanim, zastanawiając się, czy nie przeoczył czegoś, kiedy sędzia wspomniał o Fedim – może ton głosu albo sugestią, że powinien lepiej się przyjrzeć temu człowiekowi – ale niczego takiego nie mógł sobie przypomnieć. Przyszło mu do głowy, że Galvani nie jest jego przyjacielem i nie jest mu winien żadnej przysługi, więc przypuszczalnie nie wystąpiłby z taką sugestią, nawet gdyby istniały ku temu powody. Na moment ogarnęła go irytacja: dlaczego zawsze tak musi być, że nikt nie chce niczego zrobić z własnej woli, jeśli nie ma z tego osobistej korzyści, albo robi coś tylko dlatego, że musi się komuś odwdzięczyć.

Przeniósł ponownie uwagę na Vianella, który mówił:

– ...coraz lepiej prosperuje od pięciu lat.

– Przepraszam, inspektorze, zamyśliłem się. Co pan powiedział?

– Że kiedy Fedi był dyrektorem kuratorium, firma jego wuja wygrała przetarg na remont dwóch szkół i od tamtej pory świetnie prosperuje, zwłaszcza odkąd on ją przejął.

– Skąd pan to wie?

– Zajrzeliśmy do papierów w jego biurze i sprawdziliśmy tegoroczne zwroty podatkowe.

Przez chwilę Brunetti czuł pokusę, by zapytać gniewnie, czy to znaczy, że on i signorina Elettra znaleźli jakimś sposobem czas dziś rano, żeby wybrać się do biura Fediego i poprosić go o łaskawe pokazanie im rejestru klientów oraz informacji o zwrocie podatku, nie kłopotując się w ogóle uzyskaniem nakazu od sędziego. Ale powiedział tylko:

– Vianello, trzeba z tym skończyć.

– Tak jest – odparł karnie inspektor i dodał: – Coś mi mówi, że ofertę złożoną przez firmę jego wuja, która w końcu dostała to zlecenie, rozpatrywał właśnie Battestini. Bo wtedy pracował w tym dziale.

– A może pan sprawdzić, czy faktycznie on ją rozpatrywał? – poprosił Brunetti świadom bezcelowej ironii zawartej w pytaniu.

Napawając się zwycięstwem, Vianello jedynie skinął głową.

– Jeśli on się tym zajmował, to na oryginalnej ofercie powinien widnieć jego podpis albo parafka – powiedział i uprzedzając pytanie Brunettiego, szybko dodał: – Nie, commissario, nie musimy tam iść i grzebać w papierach. Każda z ofert jest opatrzona sygnaturą wskazującą, kto ją badał pod kątem potrzeb szkoły, więc musimy odnaleźć jedynie ofertę Fediego i sprawdzić sygnaturę.

– Gdyby udało się też sprawdzić koszty i zobaczyć, czy były... – Wyobraźnia zawiodła Brunettiego i nie dokończył zdania.

– Najprostszym sposobem, jak sądzę, byłoby porównanie jej z innymi ofertami pod kątem proponowanych warunków, jeśli chodzi o koszt i termin realizacji. Jeśli oferta wuja Fediego obejmowała mniejszy zakres prac za wyższą cenę, toby sugerowało, że znaleźliśmy wyjaśnienie.

Vianello mówił z takim entuzjazmem, jakby był z góry pewien rezultatu tych ustaleń. Ale Brunetti spędził wiele lat na kontemplowaniu genialnego sprytu, jaki wykazywali Włosi w okradaniu państwa, wątpił więc, by taki zaradny człowiek jak Fedi – jeśli rzeczywiście w nieuczciwy sposób przyznał zlecenie swojemu wujowi – pozostawił za sobą widoczny ślad.

– Niech pan też sprawdzi, czy zdarzały się przypadki przekroczenia budżetu i czy ktoś to kwestionował – podsunął, opierając się na swoim dwudziestoletnim doświadczeniu związanym z administracją miejską.

Vianello wstał i wyszedł. Brunetti rozważał przez chwilę pomysł, żeby zejść na dół i poobserwować ich przy pracy –

wolał się nie łudzić, że mógłby w jakikolwiek sposób okazać się pomocny – ale wiedział, że lepiej zostawić to im. W ten sposób nie tylko szybko uzyska wyniki, ale oszczędzi też swoje sumienie, jeśli nie będzie musiał się przypatrywać techni-kom dochodzeniowym signoriny Elettry i Vianella, wykraczającym coraz dalej poza granice prawa.

Rozdział 20

Po upływie godziny niecierpliwość wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem i Brunetti postanowił zejść na dół. Kiedy wszedł do biura signoriny Elettry, spodziewając się, że zasta-nie ją i Vianella ślęczących przed monitorem, ze zdziwieniem stwierdził, że ich nie ma, chociaż pusty ekran wciąż dawał

oznaki życia. Drzwi do gabinetu Patty były zamknięte; Brunetti zdał sobie nagle sprawę, że od kilku dni nie widział

zwierzchnika, i zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście Patta nie wyjechał po cichu do Brukseli, by podjąć pracę w Interpolu. Gdy tylko taka możliwość pojawiła się w jego głowie, natychmiast zaczął rozważać konsekwencje: który z tej bandy oportunistów unieruchomionych na oślizgłej drabinie awan-sów zostanie wybrany na jego miejsce?

Zagospodarowanie przestrzenne Wenecji stanowiło odbicie panujących w mieście zwyczajów społecznych: sieć wąskich calli łączących sześć sestieri odzwierciedlała wzajemne po-wiązania między jej mieszkańcami. Strada Nuova i via XXII Marzo, ulice rozległe i proste, przypominały więzy rodzinne –

wyraźnie wytyczały kierunek, w którym należy podążać. Calle Lunga San Barnaba i Barbara de le Tole, także biegnące prosto, lecz znacznie węższe i krótsze, odpowiadały relacjom między bliskimi przyjaciółmi – trudno było zgubić drogę, ale 249

też nie zaszło się zbyt daleko. Natomiast liczne calli umożliwiały wprawdzie poruszanie się po mieście, były jednak wą-

skie i kręte i często kończyły się ślepym zaułkiem albo rozwi-dleniem, toteż zdarzało się, że przypadkowy człowiek nie-

świadomie zaczynał iść w kierunku przeciwnym, niż zamierzał – te zapewniające złudną osłonę ścieżki wybierali ci, któ-

rzy nie mieli dostępu do prostych dróg wiodących do celu.

Odkąd Patta przeniósł się do Wenecji, nie potrafił samodzielnie znaleźć drogi w plątaniu wąskich calli, ale przynajmniej nauczył się wysyłać przodem ludzi tutejszych, którzy

prowadzili go przez labirynt animozji i uraz narosłych w tym mieście przez stulecia; pomagali mu też omijać przeszkody i niebezpieczne zakręty powstałe w czasach nie tak odległych.

Bez wątpienia ktoś, kto zostanie przysłany przez centralne władze w Rzymie jako jego następca, będzie tu obcy – bo każdy, kto nie urodził się nad wodami laguny, zawsze był tu uważany za obcego – i żeby dokądkolwiek dotrzeć, zacnie błądzić po omacku w poszukiwaniu prostych dróg i bezpo-

średnich dojść. Przerażony tą perspektywą Brunetti musiał pogodzić się z myślą, że nie chce, by Patta wyjechał.

Od tych rozważań oderwał go przybliżający się głos Vianella. Jego niskiemu, dudniącemu śmiechowi wtórował piskliwy chichot signoriny Elettry. Wchodząc do biura, zatrzymali się na widok Brunettiego: śmiech zamarł, a uśmiech wy-parował z twarzy.

Nie wyjaśniając powodów ich nieobecności, signorina Elettra usiadła przy biurku i pstryknięciem w klawisz obudziła komputer do życia. Potem wcisnęła jeszcze kilka klawiszy i na ekranie pojawiły się dwie umieszczone obok siebie strony.

– To są, commissario, oferty złożone przez firmę wuja Fediego, które zostały przyjęte, kiedy Fedi był dyrektorem kuratorium.

Brunetti przysunął się bliżej i zobaczył u góry obu arkuszy znajomy nagłówek urzędu, a poniżej kilka akapitów napisanych wytłuszczoną czcionką. Signorina Elettra wcisnęła klawisz i pojawiły się dwie następne, prawie identyczne strony.

Po chwili znikły i zastąpiły je dwie kolejne. Pozbawione firmowego nagłówka, zawierały po lewej kolumnę słów lub dłuższych określeń, a obok odnoszącą się do nich kolumnę cyfr.

– To jest kosztorys, commissario.

Spojrzał na ostatnią stronę, żeby zobaczyć, jaka była cena materiałów i usług. Czuł się jak kompletny ignorant i nie miał

pojęcia, czego dotyczą pozycje na liście ani jaki powinien być ich koszt.

– Porównywała pani tę ofertę z innymi? – spytał, odrywając wzrok od ekranu.

– Tak.

– I co?

– Ta była tańsza – odparła z wyraźnym rozczarowaniem. –

Ponadto gwarantowała również zakończenie prac w określonym terminie, a nawet proponowała karę umowną za każdy dzień zwłoki w razie niedotrzymania terminu.

Brunetti ponownie spojrzał na ekran, jakby liczył na to, że dokładniejsze zbadanie kolumn słów i cyfr ujawni, jakiego podstępu użył Fedi, by wygrać przetarg. Ale choćby nie wiedzieć jak długo się w nie wpatrywał, i tak nic by nie wyczytał.

W końcu oderwał wzrok od ekranu i spytał:

– Były jakieś opóźnienia?

– Nie – odparła, po czym wystukała na klawiaturze kilka 251

słów i odczekała, aż pojawią się kolejne dokumenty. – Zlecenie zostało wykonane w terminie – wyjaśniła, wskazując na ekranie dokument, który, jak przypuszczał Brunetti, miał to potwierdzać. – Co więcej – ciągnęła – zmieścili się w planowanym budżecie, a inżynier budownictwa, do którego zadzwoniłam, zapewnił mnie, że praca odznaczała się wyjątkowo dobrą jak na tutejsze warunki jakością wykonania. – Widząc jego reakcję, dodała z pewnym ociąganiem: – To samo dotyczy remontów, które przeprowadzili w dwóch tutejszych szkołach.

Brunetti spojrzał na nią, potem na Vianella i znów na ekran. W przeszłości często sobie powtarzał, że powinien patrzeć na dowody, a nie na to, co chciał, by nimi było. A jednak znów zachował się tak samo: miał przed oczyma informację, która nie potwierdzała przyjętego przezeń założenia, i w pierwszym odruchu chciał ją podważyć – mówiąc sobie,

że to tylko na pozór tak wygląda, a w rzeczywistości jest na pewno inaczej – lub znaleźć coś, co tę informację zdezawuuuje.

I wtedy go olśniło: ten trop, którym z uporem kazał im po-dążać, nie tylko zaprowadził ich w ślepią uliczkę, ale już na samym początku nadał błędny kierunek poszukiwaniom.

– To jedna wielka pomyłka – powiedział. – Wszystko, co dotąd robiliśmy, to pomyłka. – Przypomniał sobie tytuł książ-

ki, którą czytał kilka lat temu, i wymówił go na głos: – Pochód szaleńców*. To właśnie dotąd robiliśmy: człapaliśmy niemra-wo za grubą zwierzyną, zamiast skupić się na pieniądzech.

* Książka Barbary Tuchman wydana w Polsce pod tytułem Szaleństwo władzy (1992).

– A czy tu też nie chodzi o pieniądze? – spytał Vianello, wskazując ekran.

– Mam na myśli pieniądze na kontach – upierał się Brunetti. – Patrzyliśmy na sumę, a nie na pieniądze.

Sądząc po ich minach, wciąż nie nadążali, co potwierdził pełen oburzenia głos Vianella:

– Dla niektórych trzydzieści tysięcy euro to jednak są pieniądze.

– Oczywiście, że tak – zgodził się Brunetti. – To mnóstwo pieniędzy, zwłaszcza dziesięć lat temu. Ale my skupiliśmy uwagę na łącznej sumie, a nie na comiesięcznych wpłatach.

Ktoś, kto dobrze zarabia, mógłby płacić taką kwotę, prawie tego nie odczuwając. Nawet pan, gdyby był wciąż kawalerem i mieszkał z rodzicami, też dałby radę – dodał, zaskakując inspektora.

W pierwszym odruchu Vianello chciał się sprzeciwić, ale rozważył warunki, o których mówił Brunetti, i po chwili, choć niechętnie, przyznał:

– Owszem, gdybym nadal mieszkał z rodzicami i nie musiał spłacać kredytu, gdybym nigdy nie jadał na mieście ani nie dbał o to, w co się ubieram, pewnie dałbym radę wpłacać takie sumy. – Nadąsany z powodu porażki dodał: – Ale mimo wszystko nie byłoby tak łatwo. To jednak fura pieniędzy.

– Ale nie aż tak dużo, by zapłacić za milczenie komuś, kto wiedział, jak doszło do rozstrzygnięcia przetargu na kapitalny remont tych budynków – upierał się Brunetti. Dźgnął palcem ekran komputera, gdzie widniał ostateczny koszt przedsię-

wzięcia, bająska wręcz suma. – Wygrywając przetarg, mogli zarobić miliony euro. Żaden szantażysta – dodał, nazywając wreszcie przestępstwo po imieniu – nie zażądałby tak 253 śmiesznej sumy, gdyby w grę wchodziło poważne zlecenie.

Popatrzył na nich oboje, czekając na reakcję. Vianello powoli skinął głową, a signorina Elettra uśmiechnęła się, co znaczyło, że zgadzają się z jego interpretacją.

– Zafiksowaliśmy się... – zaczął, ale zaraz się poprawił: –

Nie, to ja się zafiksowałem na myśli, że za tymi wpłatami kryje się jakiś wielki, poważny interes, na przykład kontrakt budowlany. A najpewniej mamy tu do czynienia z jakąś drobną, czysto osobistą sprawą.

– I prawdopodobnie śliską – dorzucił Vianello.

Komisarz zwrócił się do signoriny Elettry.

– Nie mam pojęcia, czego może się pani dowiedzieć o ludziach, którzy pracowali w kuratorium w tym czasie, gdy za-częły się wpłaty – powiedział, z rozmysłem nie dodając, że już go nie obchodzi, w jaki sposób ona zdobywa takie informacje.

– Nie wiem też, jakiej właściwie osoby szukamy. Signora Battestini powiedziała siostrzenicy, a potwierdziła to prawniczka, że Paolo zabezpieczył ją na stare lata – wzniosł oczy do nieba z udawaną pobożnością – z pomocą Matki Boskiej. –

Oboje się uśmiechnęli na ten gest, a Brunetti ciągnął: – Szukamy kogoś, kto pracował wtedy w kuratorium i mógł płacić sto tysięcy lirów miesięcznie.

– Może to był ktoś tak zamożny, że nie musiał się liczyć z pieniędzmi – wtrącił Vianello.

Signorina Elettra odwróciła się ku niemu i powiedziała:

– Tacy ludzie raczej nie zatrudniają się w kuratorium, inspektorze.

Przez moment Brunetti obawiał się, że Vianello poczuje się dotknięty jej sarkastycznym tonem, ale tak się nie stało. Inspektor zastanowił się chwilę, a potem skinął głową.

– Swoją drogą to dziwne, jak się o tym pomyśli, że wysokość wpłaty nigdy się nie zmieniła. Przez ten czas płace wzrosły, wszystko podrożało, a kwota pozostała taka sama.

Zaciekawiona tym, co powiedział, signorina Elettra wślizgnęła się na krzesło przed komputerem, wystukała kilka słów, potem jeszcze kilka i na ekranie, zamiast dokumentów z ofertami, pojawiły się zestawienia wpłat na nieistniejących już kontach signory Battestini. Przewinęła wykaz w dół, do miesiąca, w którym wprowadzono euro. Sprawdziła wpłatę w styczniu, potem w lutym i popatrzyła na Brunettiego.

– Niech pan spojrzy, commissario. Wpłata z lutego różni się od wpłaty ze stycznia.

Brunetti pochylił się, żeby lepiej widzieć, i zobaczył, że rzeczywiście wpłata lutowa jest o pięć centesimi wyższa od styczniowej. Signorina Elettra stuknęła w klawisz i pojawiły się dwa następne miesiące, marzec i kwiecień, ze skorygowaną łączną sumą. Wyjęła z szuflady malutki kalkulator, jaki dostał pocztą każdy obywatel kraju w okresie zmiany waluty na euro. Szybko zrobiła obliczenia.

– Suma w lutym jest prawidłowa – powiedziała i wsunęła kalkulator z powrotem do szuflady. – Pięć centesimi – jęknęła z przerażeniem, jakby spodziewała się najgorszego.

– Albo ta osoba sama dostrzegła błąd... – zaczął Vianello, lecz Brunetti, znalazłszy prawdopodobne wyjaśnienie, wszedł mu w słowo.

– ...albo signora Battestini kazała jej skorygować sumę – dokończył.

– O pięć centesimi – powtórzyła signorina Elettra cichym głosem, wciąż przerażona bezmiarem chciwości, która skłania kogoś do tak precyzyjnych rozliczeń.

Brunetti przypomniał sobie swoją rozmowę z doktorem Carlottim i niemal wykrzyknął:

– Jej telefon! Jej telefon! Jej telefon! – Widząc ich zdeorientowane miny, wyjaśnił: – Nie wychodziła z domu od trzech lat. Mogła więc kazać tej osobie skorygować różnicę wyłącznie przez telefon.

Przeklął się w duchu za to, że nie pomyślał wcześniej o zdobyciu jej billingów; przeklął się za to, że z uporem podążał

dotąd tropem, który chciał uważać za słuszny, zamiast przyjrzeć się temu, co ma przed oczyma.

– Zajmie to parę godzin – oznajmiła signorina Elettra. Zanim zdążył spytać, dlaczego nie można dotrzeć do billingów wcześniej, wyjaśniła: – Żona Giorgia właśnie urodziła dziecko, więc on pracuje tylko pół dnia i będzie w firmie dopiero po obiedzie. – Uprzedzając kolejne pytanie komisarza, dodała: –

Nie. Obiecałam mu, że nie będę się włamywać do systemu na własną rękę. Gdybym popełniła błąd, od razu by się połapali, że to on mi pomaga.

– Błąd? – zdziwił się Vianello.

Zapadło długie milczenie i gdy już zaczynało się stawać niezręczne, powiedziała:

– To znaczy przy poruszaniu się w systemie. Poza tym dałam mu słowo. Więc nie mogę tego zrobić.

Brunetti i Vianello wymienili spojrzenia, aprobując jej decyzję, bo obaj pomyśleli o błędzie, który popełniła kilka lat temu.

– W porządku – zgodził się komisarz. – Proszę sprawdzić wszystkie rozmowy przychodzące i wychodzące. – Przypomniał sobie dzień, wiele lat temu, kiedy miał okazję poznać jej przyjaciela Giorgia. – Chłopiec czy dziewczynka? – spytał.

– Dziewczynka – odparła z niemal błogim uśmiechem. –

Dali jej na imię Elettra.

– Dziwię się, że nie nazwali jej Compaq – rzucił Vianello, a gdy się roześmiała, powrócił swobodny nastrój.

Wracając do swojego biura, Brunetti próbował wymyślić scenariusz, w którym ktoś staje się obiektem szantażu. Wyobrażał sobie wszelkiego rodzaju sekrety, występki czy skandale mogące uczynić z kogoś ofiarę signory Battestini. Słowo

„ofiara” dźwięczało dziwnym dysonansem, bo nabierał coraz większej pewności, że osoba szantażowana była również za-bójcą signory. Powód w takim razie? I gdzie znajdowała się linia dzieląca szantaż od morderstwa, jaki impuls skłonił za-bójcę do jej przekroczenia?

Przebiegł w myślach listę możliwych przestępstw i występków i w pewnej chwili uzmysłowił sobie, że Paola miała rację: większość grzechów głównych nie uchodzi już za grzechy. Bo któż by zabił, nie chcąc, by wyszło na jaw, że jest winny obżarstwa, lenistwa, zazdrości czy pychy? Pozostały tylko pożądanie i gniew, jeśli prowadziły do przemocy, no i chciwość, obejmująca także branie łapówek. Cała reszta już nikogo nie obchodziła. Raj, jak mu mówiono w dzieciństwie, jest światem bez grzechu, ale ten nowy wspaniały świat, który nastał potem i w którym żył, trudno było pomylić z rajem.

Rozdział 21

Brunetti wszedł w tę fazę dochodzenia, której nienawidził

najbardziej: kiedy wszystko zatrzymywało się w miejscu i trzeba było rysować nową mapę. W przeszłości frustracja z powodu takiego wymuszonego przestoju skłaniała go do po-chopnych działań, których później żałował. Ale teraz pohamował impulsywne odruchy i starał się robić tylko to, co uwa-

żał za uzasadnione. Wyciągnął książkę telefoniczną i wynotował numery domowe i służbowe Fediego i Sardellego, chociaż raczej nie zaliczał ich do kręgu podejrzanych: gdyby chodziło o jednego z dyrektorów, Paolo Battestini zażądałby znacznie więcej.

Wyjął teczkę z materiałami dotyczącymi zabójstwa signory Battestini i przestudiował wszystkie wycinki prasowe. I wtedy to znalazł. Na drugi dzień po morderstwie „La Nuova” doniosła, że kobieta, która podawała się za Florindę Ghiorghiu, zaczęła pracować u signory Battestini zaledwie pięć miesięcy przed tragicznym wydarzeniem i że jedyny syn ofiary zmarł

przed pięcioma laty. A więc dyrektor kuratorium mógł bez większego problemu poznać szczegóły z życia signory Battestini i jej rodziny.

Godzinę później Vianello, zarzekając się, że signorina Elettra uzyskała te informacje w odpowiedzi na formalne zapytanie, 258

przyniósł gotową listę osób, które pracowały w kuratorium w okresie co najmniej trzech miesięcy poprzedzających pierwszą wpłatę.

– Szuka równocześnie tych nazwisk w innych rejestrach dostępnych w sieci – powiedział – żeby sprawdzić, gdzie te osoby teraz pracują, czy się przeprowadziły albo zmieniły stan cywilny. I czy w ogóle żyją.

Brunetti zobaczył, że lista zawiera dwadzieścia dwa nazwiska. Przemawiające przez niego doświadczenie, uprzedzenia i intuicja zwały szeregi.

– Pominiemy kobiety? – zapytał.

– Możemy, przynajmniej na razie – zgodził się Vianello. –

Ja też widziałem zdjęcia zwłok signory Battestini.

– To zostaje nam ośmiu.

– Przepisałem dla pana cztery pierwsze nazwiska z listy.

A sam pójdę na dół i zacznę dzwonić tu i tam, żeby się czegoś dowiedzieć o pozostałej czwórce.

Gdy tylko Vianello wyszedł, Brunetti sięgnął po słuchawkę. Rozpoznał już trzy nazwiska na liście, może dlatego, że figurował tam Costantini i dwóch Scarpów, ale wszyscy trzej przypadli Vianellowi. Z pamięci wybrał numer siedziby związku, do którego należał – podobnie jak większość urzędników państwowych – podał swoje nazwisko i powiedział, że chce rozmawiać z Daniele Masiero.

Rozmowa została przełączona i w trakcie oczekiwania musiał wysłuchać fragmentu jednej z Czterech pór roku.

– Ciao, Guido – odezwał się w końcu Masiero. – Sekrety czyjego życia prywatnego mam ci dzisiaj zdradzić? – A sły-sząc, że Brunetti wciąż nuci pod nosem temat przewodni drugiej części koncertu, zapewnił: – To nie ja wybrałem muzykę.

Na szczęście nie muszę do siebie dzwonić, więc nie muszę też jej słuchać.

– To skąd o niej wiesz? – spytał Brunetti.

– Wiele osób już mi mówiło, że niedobrze im się robi, kiedy znów to słyszą.

W zwykłych okolicznościach komisarz zapewne przestrze-gałby konwenansów i zagadnął Masiera o rodzinę i pracę, ale tego dnia brakowało mu cierpliwości, więc spytał wprost:

– Mam nazwiska czterech osób, które pracowały w kuratorium jakieś dziesięć lat temu, i chciałbym, żebyś spróbował

się czegoś o nich dowiedzieć.

– Chodzi o sprawy, które mają związek z moją pracą czy twoją?

– Moją.

– Na przykład?

– Powody, dla których mogli być szantażowani.

– Rozległe pole.

Komisarz pomyślał, że lepiej oszczędzić koledze przemy-

śleń na temat siedmiu grzechów głównych, więc skwitował

krótko:

– Tak.

Sądząc po odgłosach po drugiej stronie linii, Masiero szukał czegoś po omacku, a potem powiedział:

– Podaj mi nazwiska.

– Luigi D'Alessandro, Riccardo Ledda, Benedetto Nardi i Gianmaria Poli.

Masiero chrząkał przy każdym wyczytanym nazwisku.

– Znasz któregoś z nich? – spytał Brunetti.

– Poli nie żyje od dwóch lat – odparł Masiero. – Zmarł na atak serca. A Ledda został przeniesiony do Rzymu sześć lat 260

temu. O dwóch pozostałych nic nie wiem, ani tym bardziej o powodach, dla których mogliby być szantażowani. Ale spró-

buję popytać.

– Chciałbym cię tylko prosić, żebyś to zrobił dyskretnie, nie ściągając na siebie uwagi.

– Na przykład podchodząc do któregoś i pytając, czy nie był przez kogoś szantażowany? – odparł Masiero, nie kryjąc irytacji. – Nie jestem idiotą, Guido. Zobaczę, co da się wyszperać, i oddzwonię.

Brunetti chciał go przeprosić, ale nie zdążył, bo Masiero się rozłączył.

Potem zadzwonił ponownie do Lallego do biura. Wysłuchawszy tłumaczenia przyjaciela, że nie znalazł dotąd czasu, by dowiedzieć się czegoś o Battestinim, podał mu jeszcze dwa nazwiska: D'Alessandro i Nardi.

– Dobra, zajmę się tym. Spróbuję coś znaleźć – obiecał

Lalli, a Brunetti pomyślał, że jest chyba jedynym człowiekiem w tym mieście, który nie wariuje pod presją pracy.

Z nawyku podszedł do okna, skąd miał widok na długie płachty materiału zwisające z rusztowania na fasadzie Ospedale di San Lorenzo, będącego obiektem kolejnej gruntownej renowacji. Dźwig, być może ten sam, który przez całe lata tkwił bez ruchu nad kościołem, stał teraz tak samo nieruchomo obok domu opieki dla starych ludzi. Nic nie wskazywało na to, by prowadzono jakieś prace budowlane. Brunetti bezskutecznie próbował sobie przypomnieć, czy widział kiedykolwiek robotnika na rusztowaniu; próbował też sobie przypomnieć, kiedy postawiono rusztowanie – na pewno wiele miesięcy temu. Tablica na frontonie kościoła informowała – o ile wiedział – że renowację rozpoczęto na mocy ustawy z 1973 roku, 261

ale wtedy nie pracował jeszcze w komendzie, nie miał więc pojęcia, czy renowację rozpoczęto wraz z uchwaleniem ustawy.

Wrócił do biurka i wyciągnął terminarz z 1998 roku, w któ-

rym miał zapisane numery telefonów. Odszukał jeden z nich, zadzwonił do biura stowarzyszenia Arcigay w Margherze i powiedział, że chce rozmawiać z dyrektorem Emilio Desiderim. Kiedy czekał na połączenie, dowiedział się, że Vivaldi, obojętne czy był homo, czy hetero, ma ogromne wzięcie.

– Desideri – odezwał się niski głos.

– Emilio? To ja, Guido. Chciałbym cię prosić o przysługę.

– Którą mogę wyświadczyć z czystym sumieniem?

– Chyba nie.

– No to bez niespodzianek. O co chodzi?

– Mam dwa nazwiska, właściwie cztery – powiedział, postanowiwszy dołączyć jeszcze Sardellego i Fediego – i chciał-

bym, żebyś mi powiedział, czy któryś z tych mężczyzn mógł być szantażowany.

– Bycie gejem nie jest już przestępstwem, Guido, pamiętasz?

– Ale rozwalenie komuś głowy tak, Emilio – odparował

Brunetti. – Dlatego do ciebie dzwonię. – Czekał, aż Desideri coś powie, ale ten uparcie milczał. – Chciałbym tylko, żebyś mi powiedział, czy któryś z nich jest gejem.

– A to ci wystarczy do tego, by stwierdzić, że był zdolny rozwalić komuś głowę, jak to delikatnie ująłeś?

– Emilio – rzekł Brunetti – nie próbuję nękać ani ciebie, ani żadnego innego geja. Nie obchodzi mnie, czy jesteś gejem.

Nie obchodzi mnie, czy jest nim papież. Czasem nawet myślę, 262

że gdyby się okazało, że mój syn jest gejem, to też by mnie to nie obeszło. Chociaż to chyba nie jest prawda. Chciałbym tylko zrozumieć, co mogło się przydarzyć tej starej kobiecie.

– Mówisz o Battestini? Matce Paola?

– Znałeś ją?

– Słyszałem o niej.

– Możesz mi powiedzieć od kogo?

– Paolo był zaangażowany w związek z kimś, kogo zna-

łem, i to ten mój znajomy mi powiedział – ale dopiero po śmierci Paola – jaką jędzą była jego matka.

– Myślisz, że zgodziłby się ze mną porozmawiać?

– Być może, jeśli jeszcze żyje.

Brunetti skwitował te słowa długim milczeniem, a potem spytał:

– Czy pamiętasz, co jeszcze ci mówił twój znajomy?

– Podobno Paolo wciąż powtarzał, jak bardzo kocha matkę, ale on zawsze odnosił wrażenie, że mówi to tak, jakby jej nienawidził.

– Z jakiego powodu?

– Była chciwa. Żyła tylko po to, żeby ciuć pieniądze w banku. To była jej największa radość. I chyba jedyna.

– Jakim człowiekiem był Paolo?

– Nigdy go nie poznałem.

– A co mówił o nim twój znajomy?

– Właściwie nie był moim znajomym, tylko pacjentem.

Przez trzy lata przychodził do mnie na terapię.

– Sorry. A co mówił o Paolu?

– Że miał z nią ciężko, ale że największą radość sprawiało mu dawanie jej pieniędzy, bo to ją uszczęśliwiało. Zawsze odbierałem to tak, że dzięki temu przestawała truć mu dupę, 263

ale mogę się mylić. Może rzeczywiście czerpał z tego radość.

Bo niewiele jej zaznał w życiu.

- Zmarł na AIDS, prawda?
- Podobnie jak jego przyjaciel.
- Przykro mi, naprawdę.
- Wyczuwam, że mówisz to szczerze, Guido – powiedział

Desideri bez zdziwienia.

- Bo tak jest. Nikt na to nie zasługuje.

- W porządku. Podaj mi te nazwiska.

Brunetti podyktował mu nazwiska D'Alessandra i Nardiego, a po chwili dorzucił jeszcze Fediego i Sardellego.

Przez długi czas Desideri się nie odzywał, a napięcie w jego milczeniu było tak wyczuwalne, że Brunetti wstrzymał

oddech. W końcu Desideri spytał:

- Sądzisz, że Paolo mógł szantażować tę osobę?

- Z zebranych przez nas dowodów wynika, że to prawdopodobne – odparł Brunetti, grając na zwłokę.

Usłyszał chrypienie, gdy Desideri wziął głęboki oddech, a potem padła krótka odpowiedź:

- Nie mogę tego zrobić. – I połączenie zostało przerwane.

Brunetti przypomniał sobie, że Paola zacytowała kiedyś angielskiego pisarza, który powiedział, że jeśli miałby wybierać między zdradą swego kraju a zdradą przyjaciela, to zdradziłby swój kraj. Uważała, że to jezuicki pogląd, a on zmuszony był się z nią zgodzić, chociaż Anglicy po mistrzowsku potrafili z nikczemności czynić cnotę. A więc jeden z tej czwórki był gejem i na tyle dobrym znajomym albo pacjentem, że Desideri zdecydował się ujawnić jego nazwiska policji, mimo że było to dochodzenie w sprawie morderstwa, a może właśnie dlatego. W każdym razie lista została zawężona, chyba 264

że Vianello odkryje, że któryś z pozostałych też był gejem.

Albo jeśli się okaże, pomyślał Brunetti, że istniał inny powód szantażu.

Dwadzieścia minut później Vianello przyszedł do niego, wciąż trzymając w ręce listę nazwisk. Zajął jak zwykle miejsce po drugiej stronie biurka i rozpostarł na nim kartkę.

- Nic – powiedział.

Brunetti rzucił mu pytające spojrzenie.

- Jeden nie żyje – rzekł inspektor, wskazując nazwisko na liście. – Odszedł na emeryturę rok wcześniej, zanim zaczęły się wpłaty, i zmarł trzy lata temu. – Przesunął palcem w dół

kartki. – Ten wpadł w manię religijną i mieszka teraz w komunie albo czymś w tym rodzaju niedaleko Bolonii; jest tam od trzech lat. – Przesunął kartkę o parę centymetrów w stronę Brunettiego i oparł się na krześle. – A z tych dwóch pozosta-

łych, którzy wciąż tam pracują, jeden, Giorgio Costantini, został naczelnikiem działu

wizytacji. Jest żonaty i sprawia wrażenie przyzwoitego człowieka.

Brunetti wymienił nazwiska dwóch byłych premierów i zauważył, że to samo można by powiedzieć o nich. Zepchnięty do defensywy, Vianello zaproponował:

– Mam kuzyna, który w weekendy grywa z nim w rugby.

Mówi, że on jest w porządku, i ja mu wierzę.

Brunetti pozostawił tę uwagę bez komentarza.

– A ten drugi? – spytał.

– Porusza się na wózku inwalidzkim.

– Co?

– To ten facet, co zachorował na polio, kiedy pojechał do Indii. Czytał pan o nim, prawda?

Ta historia pobrzmiwała mu gdzieś w zakamarkach umysłu, choć nie pamiętał szczegółów.

– Tak, coś sobie przypominam. Jak dawno to było, z pięć lat temu?

– Sześć. Zachorował, będąc jeszcze w Indiach, ale zanim udało się postawić diagnozę, było już za późno, żeby go ewakuować, więc leczono go na miejscu. A teraz jeździ na wózku inwalidzkim. – Tonem wskazującym, że nie może przeboleć, iż komisarz nie uwierzył w poręczenie jego kuzyna za Giorgia Costantiniego, dodał: – Może to niewystarczający powód, żeby go wykluczyć, ale sądzę, że człowiek na wózku inwalidzkim ma inne problemy na głowie niż płacenie haraczu szantażyście. – Znowu przerwał. – Oczywiście mogę się mylić.

Brunetti posłał Vianellowi długie spojrzenie, ale nie dał się złapać na haczyk.

– Wciąż mam nadzieję, że Lalli mi coś powie – rzekł, zmieniając temat.

– Zdradzi kumpla geja? – spytał Vianello tonem, którego komisarz nie lubił.

– Ma trójkę wnucząt.

– Kto?

– Lalli.

Inspektor pokręcił głową, nie wiadomo, czy z niedowierzaniem, czy z dezaprobatą.

– Jest moim przyjacielem od wielu lat – odparł Brunetti spokojnym głosem. – To porządny człowiek.

Vianello wiedział, że to reprimenda, więc postanowił się nie odzywać.

Komisarz zamierzał coś powiedzieć, gdy nagle Vianello odwrócił wzrok. Może nie zgadzał się z opinią Brunettiego o Lallim, a może po prostu nie chciał w tym momencie patrzeć na zwierzchnika.

Tym razem to Brunetti poczuł się dotknięty, czemu dał wyraz.

– Wolałbym raczej porozmawiać z tym drugim, co nie jeździ na wózku inwalidzkim. Graczem w rugby.

– Jak pan sobie życzy, commissario – odparł Vianello i nie mówiąc nic więcej, wyszedł z pokoju.

Rozdział 22

Gdy tylko za Vianellem zamknęły się drzwi, Brunetti oprzytomniał.

– Skąd się to wszystko bierze? – mruknął pod nosem.

Czy tak budzą się pijacy z delirycznego snu, zapytał siebie, albo zaślepieni gniewem narwańcy? Czy obaj nie mieli wrażenia, że stoją z boku, przyglądając się, jak jacyś przebrani za nich ludzie wygłaszają kwestie rodem z kiepskiego scenariusza? Odtworzył w myślach swoją rozmowę z Vianellem, pró-

bując wychwycić moment, w którym zwyczajna wymiana informacji między przyjaciółmi wymknęła się spod kontroli i przerodziła w napędzaną testosteronem bitwę o terytorium. Co gorsza, jedyny powód rywalizacji tkwił w tym, że Brunetti nie chciał polegać na czyjejś opinii tylko dlatego, że ten upodobał

sobie grę w rugby.

Przesiedział za biurkiem jeszcze kilka minut, a wtedy odezwało się w nim lepsze ja, więc sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do pokoju służbowego. Odebrał Pucetti, który głosem zdradzającym nerwowość odparł po długim wahaniu, że Vianella nie ma. Brunetti odłożył słuchawkę, myśląc o naburmu-szonym Achillesie siedzącym w swoim namiocie.

Zadzwonił telefon i Brunetti, mając nadzieję, że to Vianello, szybko odebrał.

– To ja, commissario – powiedziała signorina Elettra. –

Mam wykaz rozmów signory Battestini.

– Jak to się pani udało?

– Lekarze postanowili zatrzymać żonę Giorgia jeszcze jeden dzień w szpitalu, więc przyszedł do biura.

– Coś jest nie tak? – spytał Brunetti, w którym odezwał się instynkt pantoflarza.

– Nie, to nic poważnego. Jej wuj jest tam ordynatorem i uznał, że powinna zostać jeszcze jeden dzień. – Signorina Elettra próbowała rozwiać jego niepokój o zdrowie kobiety, której nigdy nie widział na oczy. – Naprawdę dobrze się czuje.

Odczekała jeszcze chwilę, na wypadek gdyby komisarz miał dalsze pytania, po czym wróciła do przerwane go wątku.

– Giorgio odebrał mój e-mail i sprawdził numer signory Battestini. W ostatnim miesiącu życia wykonała tylko jeden telefon: zadzwoniła do centrali kuratorium. A następnego dnia ktoś do niej oddzwonił, z tego samego numeru. Poza tym odebrała jeszcze tylko jeden telefon, od siostrzenicy. I to wszystko.

– Jaki okres sprawdził Giorgio?

– Cały miesiąc, aż do dnia jej śmierci.

Żadne z nich nie skomentowało faktu, że osiemdziesięcio-trzyletnia staruszka, która całe życie spędziła w Wenecji, w ciągu miesiąca odebrała tylko dwa telefony. Brunetti przypomniał sobie, że w pudłach przechowywanych na strychu w ogóle nie było książek: życie signory Battestini ograniczało się do fotela ustawionego przed telewizorem i obecności kobiety, która prawie nie mówiła po włosku.

Kiedy myślał o pudłach i o tym, jak pośpiesznie przeglądał

ich zawartość, umknęło mu następane zdanie signoriny Elettry:

- ...dzień przed jej śmiercią.
- Słucham? Byłem myślami daleko stąd.
- Ktoś zadzwonił z kuratorium dzień przed jej śmiercią.

Choć w głosie signoriny Elettry pobrzmiwała wyraźna duma, Brunetti jedynie krótko jej podziękował i odłożył słuchawkę. W trakcie rozmowy naszała go pewna myśl: trzeba dokładniej obejrzyć przedmioty leżące na strychu. Gdy był

tam poprzednio, nie brał pod uwagę szantażu jako motywu zabójstwa, teraz jednak uznał, że trzeba lepiej im się przyjrzeć.

Nawet jeśli nie do końca wiedział, czego szuka, spodziewał się, że coś znajdzie.

Sięgnął po telefon, chcąc zaproponować Vianellowi, żeby wybrał się z nim do domu signory Battestini, ale przypomniał

sobie, że go nie ma. W takim razie Pucetti. Zadzwonił do pokoju służbowego i bez żadnych wyjaśnień polecił młodemu policjantowi, by za pięć minut czekał na niego przed głównym wejściem; dodał, że będzie im potrzebna motorówka.

Poprzednim razem wślizgnął się do domu signory Battestini jak złodziej, starając się, by nikt go nie zauważył; teraz zjawi się tam w majestacie prawa i – miał nadzieję – nikogo to nie zdziwi.

Pucetti, który już czekał na dole przed wejściem, z biegiem lat oduczył się salutować komisarzowi za każdym razem, gdy go widzi; nie wyzbył się jednak odruchu wyprężania się na baczność. Przeskoczyli na pokład motorówki, Brunetti powiedział pilotowi, dokąd ma ich zawieźć, a potem – z mocnym postanowieniem, że nie będzie się już dopytywać o Vianella 270

– zszedł do kabiny, pozostawiając Pucettiego na pokładzie.

Dopiero gdy usiadł, przypomniał sobie długi ustęp opisują-

cy rozterki Achillesa w namiocie, pompatyczną litanie zniewag i afrontów, które w jego odczuciu go spotkały. Achilles doznał zniewagi od Agamemnona; Brunetti został znieważony przez swojego wiernego Patrokla. Kiedy tak kontemplował

dzieło Homera, przyszło mu na myśl określenie, którego używał Raffi, kiedy obraził go jakiś kolega: „Ale mi dowalił!” Wymamrotał pod nosem:

– Vianello mi dowalił.

Parsknął śmiechem, a potem, już w znacznie lepszym humorze, wyszedł na pokład.

Motorówka dobiła do riva i chwilę później znaleźli się przed frontem budynku. Brunetti

zerknął w górę i zobaczył, że zarówno okiennice, jak i okna dawnego mieszkania signory Battestini są szeroko otwarte, choć na zewnątrz nie wylewał się jak dawniej dźwięk włączonego telewizora. Nacisnął dzwonek, obok którego widniało już inne nazwisko: van Cleve.

Z okna na piętrze wychyliła się głowa blondynki, a chwilę później także głowa mężczyzny. Komisarz cofnął się o parę kroków i chciał zawołać, żeby ich wpuścili, ale najwyraźniej wystarczył widok Pucettiego w mundurze, bo obie głowy od razu znikły i rozległo się brzęczenie oznaczające otwieranie drzwi.

Mężczyzna i kobieta, o takich samych blond włosach, jasnej karnacji i jasnych oczach, stali w drzwiach mieszkania.

Patrząc na nich, Brunetti mimowolnie pomyślał o mleku i serze, i bezbarwnym niebie wiecznie zasnutym chmurami.

Słabo znali włoski, ale zdołał im wytłumaczyć, kim jest i do którego pomieszczenia chciałby wejść.

– No chiave – powiedział mężczyzna z uśmiechem, rozkładając bezradnie ręce.

Kobieta wykonała taki sam gest.

– Va bene. Non importa – odparł Brunetti, po czym od-wrócił się i ruszył schodami na strych, a Pucetti podążył za nim.

Na pierwszym podeście komisarz obejrzał się i zobaczył, że Holendrzy nadal stoją przed drzwiami mieszkania, które być może było już ich własnością, i z zaciekawieniem, zupełnie jak sowy, przyglądają się niespodziewanym gościom.

Dotarłszy na ostatnie piętro, Brunetti wyjął z kieszeni monetę dwudziestocentową, pewny, że za jej pomocą odkręci obluzowane śruby w metalowym uchwycie. Ale gdy stanął przed drzwiami, zobaczył, że metalowa płytką zwisa krzywo, oderwana od framugi. Dwie śruby, które tak starannie przykręcił, też były obluzowane, a między drzwiami a framugą widniała kilkucentymetrowa szpara.

Wyciągnął ostrzegawczo rękę w stronę Pucettiego, ale on już zorientował się w sytuacji i przesunął się na prawo od drzwi, sięgając do kabury. Obaj zastygli, nasłuchując odgłosów ze strychu. Stali tak przez kilka minut. Brunetti postawił

lewą stopę pośrodku dolnej krawędzi drzwi i napał z całej siły, uniemożliwiając w ten sposób jakąkolwiek próbę otwarcia ich od wewnątrz.

Po upływie kilku następnych minut Brunetti skinął na Pucettiego, a sam cofnął stopę, rzucił się naprzód i z impetem staranował drzwi. Wpadł pierwszy do środka, krzycząc: „Policja!” – i w tej samej chwili poczuł, że się wygłupił.

Na strychu nie było nikogo, ale nawet w przyćmionym 272

świetle dało się dostrzec ślady czyjejs obecności. Ktoś zjawiał

się tu przed nimi. Porozrzucane dokoła przedmioty świadczy-

ły, że ciekawość tej osoby przerodziła się we frustrację, potem w gniew, wreszcie w dziką furję. Kilka pudeł, przedtem uło-

żonych w stos, stało teraz obok siebie na podłodze w pobliżu miejsca, gdzie zostawił je Brunetti. Inne leżały przewrócone na bok, a wokół walała się ich zawartość. Pudeł z kolejnej sterty, w których znalazł zbiór dokumentów, zostały splądrowane: jedno było rozprute, otoczone wianuszkami rozsypanych papierów. Ostatnie pudeł, te zawierające kiczowate ko-

ścielne pamiątki, doświadczyły prawdziwego męczeństwa: tułowia i kończyny świętych leżały rozrzucone w niemożliwych do wyobrażenia, bezbożnych pozach: oderwana od krzyża postać Jezusa wyciągała ku Brunettiemu ręce, a pomalowana na niebiesko gipsowa

Matka Boska miała ułamaną głowę po zderzeniu ze ścianą, inna straciła Dzieciątko.

Kiedy Brunetti ogarnął wzrokiem całą tę scenę, odwrócił

się do Pucettiego i powiedział:

– Niech pan zadzwoni do komendy i wezwie ekipę techników. Chciałbym, żeby zdjęli odciski palców ze wszystkich tych przedmiotów. – Położył mu rękę na ramieniu i lekko pchnął go w stronę drzwi. – Niech pan zaczeka na nich na dole. – Potem, łamiąc wszelkie reguły, których go uczono, mówiące o tym, że nie wolno dopuścić do „naruszenia” miejsca przestępstwa, dodał: – Chciałbym się tu trochę rozejrzeć, zanim przyjadą.

Pucetti był wyraźnie zdezorientowany, co było zarówno widać, jak i słyszać, ale wykonał polecenie: wyslizgnął się przez drzwi, uważając, żeby ich nie dotknąć, i zbiegł schodami na dół.

Komisarz wciąż stał, wodząc wzrokiem po pobojowisku i rozważając, jakie będą konsekwencje znalezienia jego odcisków palców na tych wszystkich walających się tu papierach i pudłach. Mógłby oczywiście wytłumaczyć ich obecność tym, że w oczekiwaniu na techników próbował zbadać dowody. Ale równie dobrze mógłby się przyznać, że był tu już wcześniej i sprawdzał zawartość niektórych pudeł w trakcie poprzedniej, nieformalnej wizyty w domu signory Battestini.

Zrobił krok w stronę pudeł. W półmroku nastąpił niechcący na szklaną kulę z zatopioną w środku sceną narodzin Jezusa, poślizgnął się i stracił równowagę. Upadł na prawe kolano, wylądowawszy na czymś, co rozkruszyło się pod jego ciężarem. Ostre odłamki przedziurawiły tkaninę spodni i wbiły się w skórę. Oszołomiony upadkiem i nagłym bólem, dopiero po chwili dźwignął się na nogi. Spojrzał najpierw na kolano i zobaczył, że przez materiał zaczyna przesiąkać krew. Potem popatrzył na podłogę, żeby sprawdzić, na jaki przedmiot upadł.

Była to trzecia Matka Boska. Kolanem zmiążdżył jej brzuch, ale ocalały głowa i nogi. Patrzyła na niego przebacza-jącym wzrokiem, uśmiechając się łagodnie. Schylił się odruchowo, jakby chciał jej pomóc, a przynajmniej odłożyć ocalałe części w jakieś bezpieczne miejsce. Przyklęknął na zdrowe kolano, krzywiąc się z powodu bólu, jaki ten ruch wywołał w drugim, skaleczonym, i obiema rękami podniósł roztrzaskaną figurkę. Wśród odłamków rozkruszonego gipsu leżał spłaszczony rulonik papieru. Zaskoczony Brunetti spojrział na podstawkę figurki i zobaczył, że ma na spodzie mały owalny otwór zatkany korkiem, tak jak solniczka. Kartka została zrolowana w zwitek i wciśnięta w wąski cylindryczny otwór we wnętrzu figurki.

Wrzucił gipsową głowę i nogi do kieszeni marynarki i wyszedł na korytarz. Przysunął się do okna i przytrzymał delikatnie czubkami palców lewej ręki górny lewy róg kartki, paznokciami prawej rozprostował ją, mając nadzieję, że nie zostawi na niej odcisków. Ale papier wciąż się zwijał i Brunetti nie mógł przeczytać, co jest na nim napisane. Usłyszał dobiegający z dołu głos Pucettiego:

– Ekipa jest już w drodze, commissario!

Kiedy policjant wyłonił się u szczytu schodów, komisarz przywołał go do siebie. Znow przyklękając, rozprostował

kartkę na podłodze opuszkami palców i poprosił Pucettiego, żeby stanął na obu jej górnych rogach. Kiedy została unieruchomiona, czubkami małych palców ponownie ją rozpląszczył, przygważdżając na końcu do podłoża palcami wskazującymi.

Pojedynczy arkusz, opatrzony nagłówkiem wydziału nauk ekonomicznych uniwersytetu w Padwie, nosił datę sprzed dwunastu lat. Pismo adresowane było do działu personalnego kuratorium miasta Wenecji i – po kilku grzecznościowych zwrotach powitalnych – stwierdzało, co następuje: „Z przykrością informujemy, że w ewidencji naszego wydziału nie ma żadnej informacji, jakoby osobie o nazwisku Mauro Rossi nadano tytuł doktora nauk ekonomicznych. W istocie nie znaleźliśmy żadnej wzmianki o tym, że osoba o tym nazwisku i dacie urodzenia była kiedykolwiek studentem naszego wydziału”. Podpis był nieczytelny, ale widniejąca poniżej pieczęć uniwersytetu nie budziła żadnych wątpliwości.

Komisarz wpatrywał się w pismo, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co przeczytał. Próbował sobie przypomnieć dyplomy, które widział na ścianie w gabinecie Rossiego, wśród 275

nich duży, oprawiony w ramkę dyplom na tłoczonym pergaminie, zaświadczający o nadaniu mu tytułu doktora, ale wówczas Brunetti nie zwrócił uwagi na nazwę uczelni, która go przyznała.

Pismo było adresowane do naczelnika działu personalnego, lecz naczelnicy z pewnością nie otwierają przychodzącej do nich korespondencji – od tego mają urzędników i asystentów.

A ci rozcinają koperty, czytają pisma i opatrują je służbową notatką, potwierdzając, że informacje podane w CV są zgodne z prawdą. Dołączają do akt listy polecające, oceny uzyskane na egzaminach konkursowych, pilnując, by z tej papierowej układanki wyłonił się ostatecznie obraz osoby godnej piastowania urzędu państwowego.

Albo, jak sobie wyobrażał, czasem zdarza im się weryfikować – zapewne wrywkowo – niektóre dane zawarte w setkach, wręcz tysiącach podań o pracę, składanych przez ludzi ubiegających się o jakieś stanowisko w administracji. A jeśli urzędnik kuratorium odkryje, że ktoś podał fałszywe informacje, może ujawnić oszustwo i tym samym zdyskwalifikować osobę, która się go dopuściła, na zawsze zamykając jej drogę do urzędów. Albo może wykorzystać tę sytuację do własnych celów – i dla własnej korzyści.

Na moment wyobraził sobie rodzinę Battestini zgrupowaną wokół stołu albo, co bardziej prawdopodobne, przed telewizorem. Tata Niedźwiedź pokazuje Mamie Niedźwiedzi-cy, co on i Małe Niedźwiedziątka przynieśli dziś z pracy. Aż wzdrygnął się na tę wizję i podniósł się z podłogi.

– Co to takiego, commissario? – spytał Pucetti, wskazując pismo.

– To powód, dla którego zamordowano signorę Battestini 276

– odparł Brunetti i wciąż trzymając kartkę za rogi, ruszył schodami na dół, by zaczekać przed domem na techników.

Po drodze zatrzymał się i porozmawiał z holenderską parą, tym razem po angielsku. Spytał, czy odkąd się tu wprowadzili, ktoś próbował dostać się do budynku. Powiedzieli, że raczej nikt nie zakłócał im spokoju, tylko dwa dni temu zjawił się syn signory Battestini i poprosił, żeby go wpuścili, bo zapomniał kluczy – tyle w każdym razie zrozumieli z jego wyja-

śnięć, dodali z zakłopotanym uśmiechem – a musi wejść na strych, żeby sprawdzić stan okien. Nie, nie sprawdzali jego tożsamości: bo kto inny mógłby chcieć dostać się na strych?

Był tam od jakichś dwudziestu minut, kiedy oboje wyszli na lekcję włoskiego, a po powrocie już go nie zastali. Albo nie słyszeli, jak wychodził. Nie, nie poszli na strych, żeby cokolwiek sprawdzić: oni tylko wynajmują to mieszkanie i uważają, że byłoby to niestosowne.

Dopiero po chwili Brunetti uzmysłowił sobie, że mówią całkiem serio. To przecież Holendrzy.

– Mogliby państwo opisać mi syna signory Battestini? – poprosił.

– Wysoki – powiedział mąż.

– I przystojny – dodała żona.

Mężczyzna skarcił ją spojrzeniem, lecz się nie odezwał.

– W jakim według pani był wieku? – Brunetti zwrócił się do kobiety.

– Och, po czterdziestce – odparła. – Wysoki. I atletycznie zbudowany – dokończyła, rzucając mężowi spojrzenie, które-go komisarz nie potrafił rozszyfrować.

– Rozumiem. – Potem, zmieniając temat, spytał: – A ko-mu płacą państwo za wynajem?

– Signorze Maries... – zaczęła, ale mąż jej przerwał.

– Mieszkania użyczyła nam znajoma, więc nic nie płaci-my, tylko za usługi komunalne.

Brunetti nie zamierzał zignorować kłamstwa.

– Aha, więc Graziella Simionato jest państwa znajomą?

Sądząc po ich minach, nic im to nazwisko nie mówiło.

Mężczyzna pierwszy się zreflektował.

– Właściwie to znajoma znajomej.

– Rozumiem – odparł Brunetti i przez chwilę zastanawiał

się nad tym, czy im nie powiedzieć, jak mało go obchodzi, czy ktoś płaci podatki za wynajmowanie mieszkania, uznał jednak, że byłoby to niestosowne.

– Czy rozpoznaliby państwo syna signory Battestini, gdyby znów go zobaczyli?

Obserwował zmaganie widoczne na ich twarzach, gdy uczciwość i poszanowanie dla prawa, które mieszkańcy Europy Północnej mają we krwi, musieli skonfrontować z wiedzą o kombinatorstwie Włochów.

– Tak – odparli równocześnie, a Brunetti przyjął tę odpowiedź z zadowoleniem.

Podziękował im, mówiąc, że skontaktuje się z nimi, gdyby identyfikacja tej osoby okazała się konieczna, i wyszedł z budynku. Policyjna motorówka przybiła już do brzegu kanału, a Bocchese i dwaj inni technicy wyładowywali ciężki sprzęt.

Brunetti ruszył w stronę łodzi, wciąż trzymając przed sobą zwisającą kartkę, jakby to była ryba, którą przed chwilą złowił

i chciał podarować Bocchesemu. Widząc go, technik schylił

się i otworzył jedną ze skrzynek stojących na chodniku. Wyjął

przezroczystą plastikową torebkę i rozchylił brzegi, by komisarz mógł wsunąć kartkę do środka.

– Idźcie na strych. Ktoś tam był i porozrzucił rzeczy.

Zbierzcie odciski palców i wszystkie inne ślady, które pozwolą zidentyfikować tę osobę.

– Pan wie, kto to był? – spytał Bocchese.

Brunetti potwierdził skinieniem głowy.

– Mogę wziąć motorówkę?

– Tak, ale niech pan szybko odeśle ją z powrotem. Musimy dźwigać to cholerstwo – rzekł Bocchese, wskazując sprzęt zrzucony u jego stóp.

– W porządku. – Zanim wszedł na pokład, odwrócił się do technika. – A tak przy okazji, nie ma moich odcisków na żadnym z przedmiotów na strychu.

Bocchese posłał mu długie, porozumiewawcze spojrzenie.

– Jasne.

Dźwignął jedną ze skrzynek i ruszył w kierunku drzwi dawnego domu signory Battestini.

Rozdział 23

Brunetti oparł się pokusie i nie poprosił pilota, aby zawiózł go na Ca' Farsetti na niezapowiedziane spotkanie z Rossim.

Głos rozsądku i wstrzeźliwości podpowiedział mu, że to nie pora na kowbojskie zagrywki, konfrontacje sam na sam, podczas których nie ma żadnych świadków i nikt, oprócz dwóch zaangażowanych stron, nie słyszy wypowiedzianych słów. Ilekroć nie posłuchał tego głosu w przeszłości, zawsze obracało się to potem na jego niekorzyść, na niekorzyść śledz-twa oraz – ostatecznie – niekorzyść ofiar, które mają prawo przynajmniej do tego, żeby ich zabójcy ponieśli karę.

Wrócił motorówką do komendy i natychmiast udał się do pokoju służbowego. Vianello, słysząc, że wchodzi zwierzchnik, podniósł wzrok i rozciągnął twarz w uśmiechu, który najpierw wyrażał zakłopotanie, a potem – kiedy Brunetti odpowiedział uśmiechem – ulgę. Inspektor wstał i zbliżył się do drzwi.

Komisarz dał mu znak, żeby szedł za nim, i ruszył do swojego biura.

– To Rossi – oznajmił, kiedy Vianello się z nim zrównał.

– Ten facet z kuratorium?

– Tak. Znalazłem motyw.

Dopiero gdy usiedli w pokoju, Brunetti dopowiedział: 280

– Poszedłem jeszcze raz obejrzeć te rupiecie na strychu.

W jednej z figurek należących do signory Battestini znalazłem ukryte pismo z uniwersytetu w Padwie. Było zwinięte i we-pchnięte do środka. Natknąłem się na nie –

zakończył, nie udzielając dalszych wyjaśnień.

Vianello przypatrywał mu się w milczeniu.

– Pochodzi mniej więcej sprzed dwunastu lat, a napisano w nim, że nikt o nazwisku Mauro Rossi nie studiował na tam-tejszym wydziale nauk ekonomicznych, a już na pewno nie zrobił tam doktoratu.

Vianello ściągnął brwi w wyrazie dezorientacji.

– I co z tego? – spytał.

– To oznacza, że kłamał, gdy ubiegał się o stanowisko.

Twierdził, że ma doktorat, a wcale go nie miał.

– To rozumiem – odparł cierpliwie Vianello – nie rozumiem jednak, jak to zmienia sytuację.

– Gdyby Battestini pokazała komuś to pismo, straciłby wszystko: pracę, karierę, majątek – wyjaśnił Brunetti, zdziwiony, że podwładny nie może tego pojąć.

Vianello wykonał gest, jakby zamierzał odpędzić muchę.

– To też rozumiem. Ale dlaczego to takie ważne? Przecież to tylko stanowisko, na miłość boską! Czy aż tak ważne, żeby kogoś zabić?

Odpowiedź na to pytanie padła wcześniej w rozmowie Brunettiego z Paolą i teraz niespodziewanie mu się objawiła.

– To pycha – stwierdził. – Nie żądza ani chciwość. Pycha.

Przez cały czas szliśmy tropem niewłaściwego grzechu.

Vianello był całkowicie zdezorientowany. Nie ulegało wątpliwości, że nie wie, o czym mówi zwierzchnik. Wreszcie powtórzył:

– Nadal nie rozumiem. – A po chwili dodał: – Idziemy go zgrańć czy nie?

Brunetti nie widział powodu do nadmiernego pośpiechu.

Signor Rossi – bo już nie dottor – nie porzuci przecież swojej kariery ani rodziny. Intuicja podpowiadała komisarzowi, że należy on do ludzi, którzy grają ryzykownie do samego końca, że będzie z uporem powtarzał, iż nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi ani dlaczego jego nazwisko zostało skoja-rzone ze starą kobietą, która na nieszczęście została zamordowana. Brunetti niemalże słyszał jego wyjaśnienia i był pewny, że zmieniałyby się – niczym w kalejdoskopie – w miarę jak policja przedstawiałaby coraz bardziej obciążające dowody.

Rossi od ponad dziesięciu lat z powodzeniem wyprowadzał wszystkich w pole: z pewnością teraz też obrałby taką strategię.

Vianello poruszył się nerwowo na krześle. Brunetti próbo-wał go uspokoić:

– Najpierw musimy mieć odciski jego palców na przed-miotach przechowywanych na strychu. Jak tylko Bocchese się z tym upora, pomyślimy o wezwaniu go na przesłuchanie.

– A jeśli nie zgodzi się na pobranie odcisków?

– Zgodzi, gdy już przywieziemy go tutaj – odparł Brunetti z całkowitym przekonaniem. – W przeciwnym razie rozpętał-

by się skandal. Prasa zjadłaby go żywcem.

– A oskarżenie o zabójstwo starej kobiety nie wywoła skandalu?

– Owszem, wywoła, ale innego rodzaju. Taki, z którego będzie miał nadzieję się wywikłać. Będzie twierdził, że sam jest ofiarą, że nie wiedział, co robi, że nie był sobą, gdy ją zabił. – Zanim Vianello zdążył odpowiedzieć, Brunetti dodał: 282

– Odmowa pobrania odcisków palców w sytuacji, kiedy jest to nieuniknione, zakrawałaby na tchórzostwo, więc będzie pró-

bował tego uniknąć. – Na moment odwrócił spojrzenie od Vianella i zerknął przez okno, po czym znów skupił na nim uwagę. – Wystarczy się nad tym zastanowić. Wiele lat temu stworzył sobie fałszywą tożsamość, tożsamość fałszywego doktora, i nie zamierza wyrzec się tej roli bez względu na to, co zrobimy ani co mu udowodnimy. Żyje w tym przebraniu już tak długo, że prawdopodobnie się z nim identyfikuje, a przynajmniej wierzy, że zyskał prawo do specjalnego trakto-wania z powodu swej pozycji.

– No i? – spytał Vianello, najwyraźniej znudzony tymi spekulacjami i spragniony konkretów.

– No i czekamy na wyniki od Boccheseego.

Vianello podniósł się i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz się rozmyślił i wyszedł.

Brunetti pozostał przy biurku, dumając o władzy i ludziach, którzy uważają, że z racji jej

posiadania należą im się przywi-
leje. Myślał o swoich współpracownikach, szukając u nich tej cechy, a kiedy te refleksje doprowadziły go do porucznika Scarpy, wstał i zszedł do jego pokoju.

– Avanti! – krzyknął Scarpa w odpowiedzi na pukanie.

Komisarz wszedł, pozostawiając otwarte drzwi. Na widok przełożonego porucznik uniósł się nieco z krzesła, co równie dobrze mogłoby zostać odczytane jako próba znalezienia wy-godniejszej pozycji, a nie wyraz szacunku.

– Czym mogę służyć, commissario? – odezwał się, siadając z powrotem.

– Jak wygląda sytuacja z signorą Gismondi?

Scarpa uśmiechnął się, udając zadowolenie.

– Czy mogę spytać, dlaczego to pana interesuje?

– Nie – odparł Brunetti tonem tak stanowczym, że porucznik nie zdołał ukryć zaskoczenia. – Jak wygląda pańskie dochodzenie dotyczące signory Gismondi?

– Rozumiem, że rozmawiał pan z vice-questore i otrzymał pozwolenie na zaangażowanie się w tę sprawę – powiedział Scarpa beznamiętnie.

– Poruczniku, zadałem panu pytanie.

Być może Scarpa sądził, że uda mu się grać na zwłokę, a może chciał się przekonać, na jak wiele może sobie pozwolić wobec Brunettiego.

– Rozmawiałem z kilkoma jej sąsiadami, żeby się dowiedzieć, gdzie była tego ranka, kiedy popełniono morderstwo –

odparł, spoglądając na komisarza. Ten milczał, więc porucznik ciągnął: – I zadzwoniłem do jej pracodawców, żeby ustalić, czy historia o wyjeździe do Londynu jest prawdziwa.

– Czy tak właśnie się pan wyraził?

Scarpa wykonał nieśmiały gest ręką, po czym odpowiedział:

– Chyba nie wiem, o co panu chodzi, commissario.

– Czy tak właśnie pan to ujął? Czy prawdą jest to, co mó-

wiła na policji? Albo czy spytał pan po prostu, gdzie wtedy przebywała?

– Obawiam się, że nie pamiętam dokładnie, jak się wyraziłem. Bardziej interesowało mnie ustalenie prawdy niż niuan-se językowe.

– I czegoś pan się dowiedział w trakcie swojej próby ustalenia prawdy, poruczniku?

– Wszyscy potwierdzają jej zeznania. Wydaje się, że faktycznie była w Londynie. Tak jak zeznała.

– A więc mówiła prawdę? – spytał Brunetti.

– Na to wygląda – odparł Scarpa z przesadną niechęcią, po czym dodał: – Chyba że znajde kogoś, kto temu zaprzeczy.

– Nie znajdzie pan, poruczniku.

Scarpa podniósł wzrok, zaskoczony.

– Słucham, commissario!

– Nie znajdzie pan, bo odtąd ma pan przestać wypytywać ludzi o signorę Gismondi.

– Obawiam się, że do moich obowiązków należy...

Brunetti stracił zimną krew.

Pochylił się nad biurkiem, przysuwając twarz do twarzy porucznika. Poczul, że oddech mężczyzny pachnie lekko mię-

tą.

– Poruczniku, jeśli zapyta pan choćby jeszcze jedną osobę o tę kobietę, rozprawię się z panem.

Zdumiony Scarpa szarpnął głową do tyłu, otwierając usta.

Wychylając się jeszcze dalej nad biurkiem, Brunetti wbił dłonie w blat i znów przysunął twarz do twarzy Scarpy.

– Jeśli się dowiem, że rozmawiał pan z kimś o niej albo insynuował, że jest w jakikolwiek sposób zamieszana w tę sprawę, dopilnuję, żeby pan stąd wyleciał.

Komisarz uniósł prawą rękę i chwycił Scarpę za klapę munduru, zaciskając dłoń w pięść i przyciągając go do siebie.

Twarz poczerwieniała mu z gniewu.

– Rozumie mnie pan, poruczniku?

Scarpa próbował coś powiedzieć, ale zdołał jedynie otworzyć usta.

Brunetti odepchnął go i wyszedł z pokoju. Na korytarzu niemal wpadł na Pucettięgo.

– O, commissario – powiedział młody policjant, zachowując obojętną minę. – Chciałem pana zapytać o grafik dyżurów 285

na przyszły tydzień, ale niechcący usłyszałem, że właśnie go pan ustalił z porucznikiem Scarpą, więc nie będę już panu zwracał tym głowy.

Z szacunkiem krótko zsalutował i się oddalił, a Brunetti poszedł z powrotem do swojego biura, by poczekać na telefon od Bocchesego, który, jak się spodziewał, wkrótce go poinformuje, jakie ślady udało się znaleźć na strychu. Tymczasem zadzwonił do Lallego, Masiera i Desideriego, by powiedzieć im, że mogą przywołać psy z powrotem, bo najprawdopodobniej znalazł już zabójcę signory Battestini. Żaden nie zapytał, kto nim

jest; wszyscy podziękowali mu za wiadomość.

Zadzwoił także do signoriny Elettry i powiedział, co według niego znaczył ten ostatni telefon do kuratorium.

– Ale dlaczego miałyby wtedy do niego dzwonić tak ni z tego, ni z owego? – spytała, gdy skończył. – Sprawa ciągnęła się przecież ponad dziesięć lat, a w tym czasie skontaktowała się z nim tylko raz, kiedy przeszliśmy na euro. – Uprzedzając jego pytanie, dodała: – Tak, sprawdziłam wykaz jej połączeń z ostatnich dziesięciu lat. I to były jedyne rozmowy, jakie kiedykolwiek odbyli. – Odczekała dłuższą chwilę. – To nie ma żadnego sensu.

– Może stała się jeszcze bardziej chciwa? – podsunął.

– W wieku osiemdziesięciu trzech lat? Muszę się chwilę zastanowić – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Godzinę później zszedł do pokoju Bocchesego, ale jeden z techników powiedział mu, że szef wciąż jeszcze bada miejsce przestępstwa w Cannaregio. Brunetti wybrał się więc do baru przy moście, gdzie wypił kieliszek wina i zjadł panino, a potem przespacerował się wzdłuż riva, spoglądając ponad kana-

łem na San Giorgio.

Kiedy wrócił do komendy i od dziesięciu minut próbował

zaprowadzić jakiś ład w zagraconych szufladach swojego biurka, w drzwiach stanęła signorina Elettra. Zanim zdążyła się odezwać, zauważył, że ma zielone buty.

– Miał pan rację, commissario – oznajmiła. – Stała się jeszcze bardziej chciwa. – W odpowiedzi na jego pytające spojrzenie dodała: – Mówił pan, że całe jej życie ograniczało się do siedzenia przed telewizorem, prawda?

Jeszcze przez chwilę kontemplował tę osobliwą zieleń, po czym powiedział:

– Tak. Mówili o tym wszyscy ludzie z sąsiedztwa.

– No, to niech pan spojrzy na to. – Podeszła do biurka i podała mu kopię programu telewizyjnego, który ukazywał się codziennie w „Il Gazzettino” – Niech pan zobaczy, co pokaza-li o jedenastej wieczorem.

Zerknął na program i zobaczył, że lokalna stacja zapowiadała program dokumentalny zatytułowany I nostri professioni-sti.

– Nasi kto? – spytał.

Ignorując pytanie, powiedziała:

– A teraz niech pan spojrzy na datę.

Koniec lipca, trzy dni przed morderstwem, dzień przed telefonem signory Battestini do kuratorium.

– I co? – spytał, oddając jej kartkę.

– Gościem programu był jeden z „naszych profesjonalistów”, doktor Mauro Rossi, dyrektor kuratorium, udzielający wywiadu Alessandrze Duca.

– Jak pani to znalazła? – Jego zdziwienie nie przyćmiło podziwu.

– Wrzuciłam jednocześnie do wyszukiwarki nazwisko i wykaz programów telewizyjnych z ostatnich kilku tygodni –

odparła. – Wydawało mi się, że tylko w ten sposób signora Battestini mogła się czegoś dowiedzieć, skoro jedynym jej zajęciem było oglądanie telewizji.

– I? – dopytywał Brunetti.

– Rozmawiałam z tą dziennikarką. Powiedziała, że ten program to zwyczajna zapchajdziura: wywiady z urzędnikami na temat ich fascynującej pracy w urzędzie miejskim. Z rodzaju tych, co nadawane są późnym wieczorem, bo i tak nikt ich nie ogląda.

Brunetti pomyślał, że ten opis doskonale pasuje do wszystkich lokalnych środków przekazu.

– No i? Pytała ją pani o Rossiego?

– Tak. Powiedziała, że wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami: rozwodził się długo nad swoją karierą i osiągnięciami, fałszywie je bagatelizując. Podobno tak nieudolnie ukrywał arogancję, że wbrew swemu zwyczajowi nie starała się go przyhamowywać, bo była ciekawa, jak daleko zabrnę.

– I jak daleko zabrnął?

– Mówił, jak twierdzi Duca, z udawaną skromnością, o możliwości przeniesienia do ministerstwa w Rzymie.

Brunetti rozważył implikacje tego faktu i podsunął:

– I związaną z tym możliwością znacznej podwyżki pensji?

– Powiedziała, że tylko dawał to do zrozumienia. Przypomniała sobie, że napomknął coś o tym, że chciałby poświęcić się służbie dla lepszej przyszłości włoskich dzieci. – Odczekała chwilę, a potem dodała: – Powiedziała też, że z tego, co wie o tutejszych politykach, Rossi ma takie same szanse na przeniesienie do Rzymu jak nasz burmistrz na reelekcję.

Brunetti odezwał się po długiej przerwie:

- Otóż to.
- Słucham?
- Chciwość. Nawet w wieku osiemdziesięciu trzech lat.
- Tak. To wyjątkowo smutne.

Bocchese, który nawet jeśli przebywał w komendzie, nigdy nie wychylał nosa ze swojego pokoju, nagle pojawił się w drzwiach.

- Szukałem pana – upomniał komisarza. Skinąwszy głową signorinie Elettrze, podszedł szybko do biurka i coś na nim położył: – Chciałbym wziąć próbkę.

Brunetti zobaczył typowy kartonik z wyznaczonymi polami, służący do pobierania odcisków palców. Bocchese otworzył płaskie pudełko z tuszem i skinął niecierpliwie na komisarza, który podszedł i podał mu prawą rękę. Chwilę później lewą.

Bocchese odsunął kartonik na bok, odsłaniając nowy.

- Teraz chciałbym prosić panią o to samo, signorina.
- Nie, dziękuję – odpowiedziała, odchodząc parę kroków i stając przy drzwiach.
- Co? – zdziwił się technik, a ton jego głosu wyrażał coś pomiędzy prośbą a żądaniem.
- Wolałabym nie – odparła, ucinając sprawę.

Bocchese wzruszył ramionami, wziął kartonik z odciskami Brunettiego i uważnie im się przyjrzał.

- Nie, nic takiego nie znaleźliśmy na strychu, ale powiedziałbym, że jest tam mnóstwo odcisków palców innej osoby, prawdopodobnie męczyzny, potężnej postury.
- Mnóstwo? – spytał Brunetti.
- Wygląda na to, że spenetrował wszystko – odparł technik. Widząc, że przykuło to uwagę komisarza, dodał: – Taki 289

sam zestaw odcisków palców znaleźliśmy pod blatem kuchennego stołu. Cóż, na razie to tylko moje przypuszczenie, bo żeby mieć całkowitą pewność, musimy wysłać te odciski do ekspertyzy do Interpolu.

- Długo to potrwa? – spytał Brunetti.

Kolejne wzruszenie ramion.

- Tydzień? Miesiąc? – Wsunął kartoniki do plastikowej saszetki, a pudełeczko z tuszem schował do kieszeni. – Zna pan tam kogoś? W Brukseli? Żeby przyspieszyć sprawę?
- Nie – odparł komisarz.

Obaj mężczyźni skierowali błagalne spojrzenia ku signorinie Elettrze.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała.

Rozdział 24

Następną godzinę Brunetti spędził samotnie w swoim biurze, zastanawiając się nad najlepszym sposobem stawienia czoła Rossiemu. Krążył między biurkiem i oknem, nie mogąc się skupić, a każda jego myśl nieuchronnie zatrzymywała się i grzęzła pośród siedmiu grzechów głównych. Uświadomił sobie, że w dzisiejszych czasach żaden z nich w świetle prawa nie stanowi przestępstwa; w najgorszym razie można je uznać za skazy charakteru. Czy to może być wyznacznik dla nowego sposobu naukowego datowania, rozróżniania pomiędzy dawnym światem a nowym? Od tygodni słuchał, jak Paola czyta na głos fragmenty podręcznika, z którego ich córkę uczono religii, jednak ani razu nie przyszło mu do głowy, by się zastanowić, czy jednocześnie uczono ją o grzechu, a jeśli tak, to jak to pojęcie definiowano.

Kradzież to czyn, chciwość i zazdrość to po prostu przywary, które do kradzieży prowadzą. Podobnie jak grzech lenistwa: z doświadczenia wiedział, że wielu ludzi przywiodło do przestępstwa płynące z lenistwa przekonanie, że łatwiej kraść niż uczciwie pracować. Szantaż to też czyn; prowadzą do niego te same trzy przywary.

U Rossiego Brunetti dostrzegał oznaki pychy i był przekonany, że w niej właśnie kryją się motywy jego zbrodni. Każdy 291

normalny człowiek uznałby, że zdemaskowanie oszustwa kosztować będzie Rossiego niewiele więcej niż trochę wstydu.

Być może straciłby fotel dyrektora kuratorium, ale człowiek o jego koneksjach bez trudu znalazłby inną pracę; miejska biu-rokacja przesunęłaby go na jakieś uboczne stanowisko, na którym otrzymywałby taką samą pensję i spokojnie doczekał

emerytury.

Ale nie byłby dłużej dottorem Rossim, przestałaby mu nad-skakiwać miejscowa telewizja, nie poproszono by go więcej, żeby opowiedział przejętej dziennikarce o widokach na obję-

cie stanowiska w Rzymie. Wiadomość o jego zdemaskowaniu przebrzmiałaby w ciągu tygodnia, wywołując niewielkie poruszenie w lokalnych gazetach; nie byłoby to wydarzenie, które zainteresowałoby prasę ogólnokrajową. Pamięć zbiorowa –

nastawiona na czas trwania wideoklipu w MTV – z dnia na dzień staje się coraz krótsza, więc o Rossim, doktorze czy nie, zapomniano by przed upływem miesiąca. Ale jego duma nie zniosłaby nawet tego.

Wreszcie ciekawość wzięła górę, więc Brunetti zadzwonił

po Vianella i powiedział lakonicznie:

– Jedziemy po niego.

Poświęcił tylko chwilę, aby zejść do biura Bocchesego i wziąć jedną z kopii pisma z uniwersytetu w Padwie, które przygotował technik.

Do biura Rossiego poszli na piechotę i choć rozmawiali o nim po drodze, wyglądało na to, że ani jeden, ani drugi nie potrafi w pełni zrozumieć postępowania tego człowieka, co Brunetti postrzegał jako etyczną krótkowzroczność albo brak wyobraźni.

Nie zatrzymali się w portierni, lecz weszli od razu na schody i skierowali się na trzecie piętro. Tego ranka w biurze 292

panował ruch: ludzie krążyli z dokumentami i papierowymi teczkami w rękach – pracowite mrówki, które tłoczą się w każdym miejskim urzędzie. Kobieta z kolczykami w skroni siedziała za swoim biurkiem – tak samo niezainteresowana rzeczywistością jak wtedy, gdy Brunetti widział ją po raz pierwszy. Jej oczy, kiedy go zobaczyła, nie wyrażały niczego.

Podobnie nieświadoma wydawała się faktu, że na krzesłach pod ścianą czeka kilku patentów, którzy jak na komendę wlepili wzrok w Brunettiego i Vianella, gdy ci dwaj weszli.

– Chcielibyśmy zobaczyć się z dyrektorem – odezwał się komisarz.

– Jest chyba w swoim gabinecie – odparła, wykonując zamaszysty ruch dłonią zwieńczoną zielonymi paznokciami.

Brunetti podziękował jej i ruszył do drzwi prowadzących na korytarz, gdzie znajdował się gabinet Rossiego, lecz musiał

się odwrócić i przywołać Vianella, bo ten stał wciąż jak zahip-notyzowany przed recepcjonistką.

Zobaczyli, że drzwi do gabinetu są otwarte, więc weszli bez pukania. Dyrektor siedział za biurkiem; niby ten sam człowiek, a jednak – choć Brunetti nie od razu potrafił powiedzieć, na czym polega różnica – nie ten sam. Spojrzał na nich oczami, które w dziwny sposób przypominały oczy kobiety w poczekalni. Miały ten sam kolor co poprzednio, ciemnobrązo-wy, lecz były pozbawione skupienia.

Komisarz przeszedł przez pokój i zatrzymał się przed biurkiem. Obracając lekko głowę, mógł przeczytać pełny tekst widniejący na dyplomie wystawionym przez uniwersytet w Padwie, który nadał Maurowi Rossiemu tytuł doktora nauk ekonomicznych.

– Skąd pan go wziął, signor Rossi? – spytał Brunetti, wskazując kciukiem dyplom oprawiony w rzeźbioną ramkę z drewna tekowego.

Mężczyzna odchrząknął, wyprostował się nieco w fotelu i powiedział:

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Słyszając te słowa, komisarz wzruszył ramionami, wyjął z kieszeni kopię pisma z uniwersytetu, którą dał mu Bocchese, i położył przed nim na biurku.

– Może w takim razie ma pan pojęcie, o czym tu jest mo-wa, signor Rossi? – rzucił przesadnie napastliwym tonem.

– Co to jest? – zapytał dyrektor, nie mając odwagi spojrzeć na kartkę.

– To, czego pan szukał na strychu.

Rossi zerknął na Vianella, potem znów na Brunettiego, wreszcie skupił wzrok na leżącym przed nim piśmie. Najpierw tylko przebiegł wzrokiem po kartce, a następnie przeczytał ją ponownie, tym razem znacznie wolniej. Komisarz spostrzegł, że czytając, porusza wargami.

Podniósł wzrok znad kartki, spojrzął na Brunettiego i powiedział:

– Ale ja mam dwoje dzieci.

Przez moment komisarz czuł pokusę, żeby wdać się z nim w dyskusję, wiedział jednak, dokąd by to mogło prowadzić: Rossi położyłby na jednej szali szczęście dwójki swoich dzieci, a na drugiej życie signory Battestini. Broniłby własnej re-putacji, niewątpliwie też honoru, przeciwstawiając je groźbom starej kobiety. Gdyby to było przedstawienie albo telenowela, a Brunetti byłby reżyserem, dobrze by wiedział, jakich wskazówek udzielić aktorowi grającemu rolę Rossiego, ażeby w 294

każdym wypowiedzianym zdaniu brzmiało pełne zaskoczenia oburzenie i, no tak, zraniona duma.

– Aresztuję pana, signor Mauro Rossi – rzekł w końcu komisarz – za zabójstwo Marii Grazii Battestini.

Mężczyzna wpatrywał się w nich oczami, które przypominały lustra; lecz zamiast być zwierciadłem duszy, miały taki sam nieobecny wyraz jak oczy recepcjonistki.

– Pojedzie pan z nami – dodał Brunetti, cofając się o krok od biurka.

Rossi wstał, kładąc płasko dłonie na blacie. Komisarz zauważył, że zakrył nimi kartkę, choć pewnie uczynił to bez-wiednie.

Tydzień później Rossi był już na wolności, chociaż podlegał aresztowi domowemu. Nie wrócił do pracy, nie został jednak zwolniony ze stanowiska direttore della Pubblica Istruzione. Udzielono mu bezterminowego urlopu, a tymczasem sprawa powoli toczyła się naprzód.

W trakcie przesłuchania w obecności adwokata Rossi przyznał się do zabójstwa signory Battestini, ale wciąż utrzymywał, że nie pamięta dokładnie momentu, w którym ją zaatakował. Zadzwoiła do niego jakiś czas przedtem – zeznał – i nalegała na rozmowę. W pierwszej chwili odmówił, lecz za-groziła mu, że sam będzie błagał o spotkanie, gdy odzyska rozum. Oddzwonił następnego dnia, mając nadzieję, że kobieta okaże więcej rozsądku, ale znów zaczęła się odgrażać, więc nie miał innego wyjścia, jak się z nią spotkać.

Najpierw zażądała więcej pieniędzy, znacznie więcej, pięć razy tyle co do tej pory. A kiedy jej powiedział, że nie zapłaci, odparła, że widziała go w telewizji i dobrze wie, że ma 295

otrzymać prestiżowe stanowisko w ministerstwie, więc na pewno będzie go stać, żeby jej płacić. Próbował z nią dysku-tować, tłumacząc, że ta posada to na razie tylko mrzonka, że jedynie wyraził taką nadzieję, nie mając pewności, że dostanie to stanowisko. Kiedy powiedział, że ma dwoje dzieci na utrzymaniu, zaczęła go obrażać, mówiąc, że ona nie ma już syna, bo umarł, więc za to też musi jej zapłacić. Starał się ją uspokoić, ale wpadła w histerię i – jak twierdził – próbowała go uderzyć.

Potem oznajmiła, że już nie chce pieniędzy i że wszystkim rozpowie o jego sprawkach. Okna były otwarte i zaczęła iść w ich stronę, grożąc, że wykrzyczy na całe miasto, że on jest fałszywym doktorem. Następnie – jak utrzymywał – nic już nie pamięta aż do chwili, gdy zobaczył ją leżącą na podłodze.

Mówił, że dla niego było to jak przebudzenie z nocnego koszmaru – jej widok. Kiedy Brunetti go przesłuchiwał, Rossi twierdził, że nie pamięta chwili, w której ją uderzył, bo nie był

tego świadomy, dopóki nie zobaczył, że trzyma w ręku zakrwawiony posążek.

Komisarz, wysłuchawszy tego, uznał, że Rossiemu zabrakło inwencji, ale całe jego przyznanie się do winy, wyraźnie obliczone na to, by oczyścić się z zarzutów, nie było zbyt fine-zyjne. Adwokat Rossiego, który przez cały czas zachowywał

kamienną twarz, w pewnym momencie zaczął chrząkać współczująco.

Strach, powiedział Rossi, to strach nim powodował, gdy wychodził wtedy z domu. Nie, nie pamięta, jak wycierał posą-

żek. Ponieważ – co zrozumiałe – nic nie mógł sobie przypomnieć, nie pamiętał, jak zabił signorę Battestini, lecz jedynie jej wrzask i to, że próbowała go uderzyć.

To wizyta Brunettiego w jego gabinecie skłoniła go do przeszukania strychu. Tak, wiedział o tym piśmie z uniwersytetu w Padwie; zatrulo mu życie na wiele lat. Dopisał ten nieistniejący tytuł do swojego CV wiele lat temu, tuż po narodzinach pierwszego dziecka, kiedy potrzebował lepiej płatnej pracy, żeby utrzymać rodzinę. Zapłacił zakładowi poligraficznemu za wykonanie fałszywego dyplomu, bo to zwiększało jego szanse na zdobycie posady. Przez te wszystkie lata żył w strachu, że to wyjdzie na jaw; na pewno miało to również wpływ na jego stan, kiedy spotkał się z signorą Battestini. Był ofiarą własnego przerażenia, podobnie jak ona stała się ofiarą swojej chciwości.

Kiedy następnego wieczoru Brunetti opowiadał o tym Paoli, przytoczył użyte przez niego słowo „ofiara” i stwierdził, że z pewnością będzie to kluczowe słowo w jego linii obrony.

– On jest ofiarą, rozumiesz – powtórzył, gdy rozsiedli się w jej pokoju do pracy.

Weszli do mieszkania, pozostawiwszy Raffiego i Sarę samych na tarasie, żeby mogli robić to, co zwykle robią młodzi ludzie w łagodnym świetle wieczoru u schyłku lata, mając przed oczyma rozległy widok na dachy Wenecji.

– A signora Battestini nie – powiedziała Paola. Nie użyła formy pytającej, chcąc, by to stwierdzenie obejmowało również wszystkich, którzy już nie żyli, a tym samym przestali się liczyć.

Brunetti przypomniał sobie pewną ponurą sentencję przypisywaną Stalinowi: „Nie ma człowieka – nie ma problemu”.

– Co będzie dalej z Rossim? – spytała Paola.

Brunetti nie miał co do tego żadnej pewności, ale mógł zgadywać, opierając się na doświadczeniu z podobnymi 297

sprawami, w których osoba zamordowana nie cieszyła się sympatią otoczenia, a sprawca przedstawiał siebie jako ofiarę.

– Prawdopodobnie zostanie skazany, co oznacza, że otrzyma wyrok siedmiu lat więzienia, może łagodniejszy, ale do tego czasu upłyną ze dwa, trzy lata, a zatem odbędzie już połowę kary.

– W areszcie domowym? – spytała.

– To też się zalicza do kary.

– A potem?

– Potem pójdzie do więzienia, do czasu wniesienia odwo-

łania od wyroku. A wtedy cała procedura sądowa zacznie się od początku. I w trakcie rozpatrywania apelacji, uznany za osobę, która nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa, znów zostanie wysłany do domu.

– Na długo?

– Do czasu rozstrzygnięcia odwołania. – Zanim zdążyła zapytać, dodał: – Co może potrwać jeszcze kilka lat, a jeśli wyrok zostanie podtrzymany, najprawdopodobniej sąd dojdzie do wniosku, że Rossi spędził już w areszcie wystarczająco długi czas, i delikwent zostanie zwolniony.

– Tak po prostu?

– Mogą się oczywiście pojawić drobne odstępstwa – powiedział i sięgnął po książkę, którą odłożył przed kolacją.

– I to wszystko? – drażyla, starając się nadać głosowi neutralny ton.

Skinął głową i przysunął książkę bliżej. Po dłuższej chwili spytał:

– Wciąż studiujesz podręcznik Chiary?

Pokręciła głową.

– Nie. Dałam sobie z tym spokój.

– Może tam znalazłabyś odpowiedź na te wszystkie pytania?

– Gdzie? Jak?

– Starając się myśleć eschatologicznie, jak mi to sama kiedyś zaleciłaś – odparł. – Śmierć. Sąd Ostateczny. Niebo.

Piekło.

– A ty w to wszystko nie wierzysz, prawda? – spytała zdziwiona.

– Przydałoby się czasami – odpowiedział i wrócił do lek-tury.